

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/493

1988

Wydanie krajowe

MMSL



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

REDAKTOR.: **OBSERWATORIUM**

Cz. MIŁOSZ : **W HENRYKOWIE, U PRZEORYSZY**

L. UNGER : **ILE JEST OPER SZWEDZKICH**

NA ŚWIECIE ?

PELIKAN : **PORNOGRAFIA**

W. PROMIŃSKI : **W POTRZASKU**

SPIS RZECZY

Redaktor:	<i>Do naszych Autorów w kraju</i>	2
Redakcja:	<i>Obserwatorium</i>	3
Czesław Miłosz:	<i>W Henrykowie, u przeoryszy</i>	8
Pelikan:	<i>Pornografia</i>	21
Włodzimierz Odojewski:	<i>Jedźmy, wracajmy... (dok.)</i>	29

WIERSZE

Jacek Bierezin:	<i>San Esteban, Salamanca; Bezsensowność, jawa, sen</i>	45
Wacław Iwaniuk:	<i>Trzy wiersze o śmierci</i>	46

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli</i>	49
Kamila Chylińska:	<i>Komplikacje niemiecko-niemieckie</i> ..	60
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (17)</i>	69

K R A J

Wit Promiński:	<i>W potrzasku</i>	72
Waldemar Kuczyński:	<i>Nomenklatura i bezpartyjni (dok.)</i> ..	83
mr:	<i>Galicyska debata</i>	91

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Antoni Pospieszalski:	<i>„Będziecie jako bogowie”</i>	95
-----------------------	---------------------------------------	----

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	102
Adam Macedoński:	<i>20-ta rocznica najazdu na Czechosłowację</i>	108
Krzysztof Hyla — Maciej Rybiński:	<i>Kronika niemiecka</i>	111

KRONIKA KULTURALNA

Renata Gorczyńska:	<i>Nieśmiertelna Rodziewiczówna</i>	114
W. Skalmowski:	<i>Dziwaczny pomysł</i>	122

KSIĄŻKI

Krzysztof Rutkowski:	<i>Na Kresach czyli w domu</i>	129
Janina Katz Hewetson:	<i>Szukanie równowagi</i>	133
Marek Zieliński:	<i>Nieudana monografia</i>	136
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	138

HABENT SUA FATA LIBELLI

I. Morżoł — M. Ogórek:	<i>Wymiana poglądów</i>	140
—	<i>Urząd Celny a książka</i>	147



—	<i>Wydarzenia miesiąca oraz kroniki austriacka i kanadyjska</i>	151
---	---	-----



J. Głowacki, J. Lewandowski, T. Połanowski, St. Sędziwy:	<i>Listy do Redakcji</i>	155
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	157



Maciej Poleski:	<i>Z ostatniej chwili</i>	158
-----------------	---------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1988

wydanie krajowe

MYŚL

INSTYTUT



LITERACKI

DO NASZYCH AUTORÓW W KRAJU

Od dłuższego czasu otrzymujemy wiele materiałów z Kraju. Dowodzi to, że w dużym stopniu bariera strachu została przełamana. Niestety jednak harmonijna współpraca z pisarzami krajowymi uległa ostatnio zakłóceniu. Jest rzeczą przyjętą, że jeśli przysyła się artykuł do pisma, to jest on przeznaczony tylko dla niego. A tymczasem coraz częściej się zdarza, że autorzy wysyłają jednocześnie swoje teksty do kilku pism na Zachodzie, czy do radiostacji. I tak np. p. J. Orliński swój, świetny zresztą, esej „O poszukiwaniu wyjść z sytuacji bez wyjścia” przysłał do nas, nie informując nas, że już przedtem dał go redakcji *Libertas* w Paryżu. Ponadto jest prawie regułą, że wszystkie teksty wysyłane na Zachód są przedtem drukowane w prasie drugiego obiegu.

Do tych zakłóceń dochodzi jeszcze jedno, mianowicie niezależne oficyny zaczynają coraz częściej przedrukowywać książki wydane przez Instytut Literacki nie tylko nie pytając nas o zgodę, ale nawet — dość często — nie podając, że jest to przedruk z wydania Instytutu Literackiego. To są złe obyczaje. Nie należy brać przykładu z Wydawnictwa Literackiego czy z tygodnika *Życie literackie* w Krakowie.

Reasumując: prosimy, aby teksty wysyłane do *Kultury* nie były jednocześnie wysyłane do innych pism na Zachodzie, ani do niezależnej prasy w Kraju; artykuły takie mogą być przedrukowywane po ukazaniu się tekstu w *Kulturze*, z zaznaczeniem że jest to przedruk. Bardzo się cieszymy, że nasze książki będą przedrukowywane w Kraju, ale dopiero po uzyskaniu naszej zgody. Chcielibyśmy również otrzymywać od danego wydawnictwa egzemplarze tych przedruków.

Jeżeli nasze postulaty nie będą przestrzegane, to z prawdziwą przykrością będziemy zmuszeni rezygnować z druku nadsyłanych tekstów i współpracy.

REDAKTOR

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Noemi i Andrzej Bogusławscy, Paryż — zamiast kwiatów na grób inż. Witold Tyrmana, zmarłego 22 sierpnia br. w Tel-Avivie	F. 100,00
Andrzej Brzeski, Davis, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób Zygmunta Herta w 9-tą rocznicę Jego śmierci (5 października 1979 roku) — \$ 100,00	F. 630,00
Stefan Jachna, Parsippany, NJ (USA), po raz 10-ty — \$ 100,00	F. 630,00
Irena Kretowicz, San Diego, CA (USA) — dla uczczenia pamięci mjr. Chrystiana M. Kretowicza, długoletniego przedstawiciela <i>Kultury</i> , zmarłego w San Diego, CA. — \$ 10,00	F. 63,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 159)

Obserwatorium

Symboliczne zwycięstwo „Solidarności”, realne zwycięstwo władzy — tak można ocenić w największym skrócie to, co się stało 31 sierpnia.

Przyjęcie przez generała Kiszczaka Lecha Wałęsę ze znaczkami „Solidarności” w kłapie i uznanie go przeto *de facto* za jedyne go prawowitego przedstawiciela strajkujących robotników było zaiste zwycięstwem. Przekreśleniem siedmiu lat polityki opartej na przekonaniu, że „Solidarność” przestała istnieć, a Lech Wałęsa jest tylko osobą prywatną, co wielokrotnie oświadczały rzeczniccy aparatu PZPR. Ale gest ministra spraw wewnętrznych, który zresztą zadbał o osłabienie jego wymowy, przyjmując natychmiast po Wałęsie różne „osobistości” oficjalne, okazał się niestety jedynym zwycięstwem „Solidarności”. Nie wymusiła ona bowiem na władzy żadnego ustępstwa, żadnego zobowiązania, niczego poza mglistą obietnicą rozmów z których porządku dziennego nie jest z góry wykluczona sprawa legalizacji związku.

Rozmowy na ten temat mogą jednak skończyć się na niczym. Delegacja Górnego Karabachu pojechała do Moskwy, by uzyskać przyłączenie tego okręgu do Armenii. Władze nie uchyliły się od dyskusji, co wskazuje, że ich sprawność socjotechniczna jest znacznie większa niż w czasach, gdy reagowały na konflikty tylko użyciem wojska i milicji. Ale Górny Karabach jak był częścią Azerbejdżanu, tak nią został. „Solidarności” grozi dziś, że po rozmowach przy okrągłym stole będzie równie nielegalna, co teraz. Doradcy Wałęsę mówią, że jeśli tak się stanie, to strajki wybuchną na nowo. Wiadomo jednak, że po 13 grudnia „Solidarność” nigdy nie zdołała zorganizować strajku; inicjatywa taka wychodziła nie od związku, ale od samych robotników. Wiadomo też, że bardzo trudno zacząć nowy strajk wkrótce po tym, jak spo-

wodowało się zakończenie poprzedniego. Ani w Polsce, ani gdziekolwiek indziej nie strajkuje się na zawołanie. Zaś zaufanie do Wałęsy i do jego doradców może ulec zupełnemu zniszczeniu, jeśli okaże się, że władza wystrychnęła ich na dudków.

Zwłaszcza, że zaufanie to jest już mocno naderwane. Świadczą o tym burzliwe dyskusje na temat słuszności wizyty u generała Kiszczaka, niechętnie przyjęcie przez strajkujących wezwania do zakończenia strajku, zarzut zdrady postawiony Wałęsie w Stoczni Gdańskiej. Taki jest pierwszy realny sukces władzy. Drugim jest to, że strajki się wreszcie skończyły. Trzecim to, że zyskała opinię skłonnej do podjęcia dialogu, podczas gdy przypuszczają można, że Wałęsa zgodził się wezwać do zakończenia strajków, ponieważ Kiszczak zaszantażował go interwencją sowiecką i zaapelował do patriotycznego poczucia odpowiedzialności za zagrożony rzekomo byt narodu; może zresztą groził nie interwencją sowiecką, ale obaleniem generała Jaruzelskiego przez beton partyjny, który pokazał na ostatnim plenum KC, że chce stanowczego rozprawienia się ze strajkującymi. To drugie przypuszczenie, które nie wyklucza pierwszego, jest nawet bardziej prawdopodobne, zważywszy, że Kiszczak wystąpił z inicjatywą spotkania z Wałęsą dopiero po plenum, choć mógł przecież podjąć ją wcześniej. Póki protokół spotkania nie zostanie opublikowany, wszystkie spekulacje na ten temat będą dozwolone, jak były swego czasu po tajnych negocjacjach, które zakończyły kryzys bydgoski; wiadomo dziś dobrze, że szantażowanie interwencją sowiecką miało wtedy zasadniczy wpływ na decyzje Wałęsy i jego doradców.

Ale jeśli porozumienie warszawskie z końca marca 1981 dało „Solidarności” w zamian za odwołanie strajku powszechnego realne korzyści, to teraz Wałęsa nie uzyskał nawet zapewnienia, że strajkujący nie będą podlegać żadnym represjom ani ze strony SB ani ze strony dyrekcji zakładów, że wypłaci się im dniówki za czas strajku, że zaspokojone zostaną ich roszczenia płacowe i dotyczące warunków pracy. Inna rzecz, że nie wiadomo nawet, czy się tego domagał, czy też wielka polityka całkowicie przesłoniła doraźne interesy strajkujących robotników. Faktem pozostaje, że natychmiast po rozmowie Wałęsy z Kiszczakiem dyrekcje wszędzie usztywniły swe stanowisko i że ani w Stalowej Woli, ani w Szczecinie, ani w „Manifeście Lipcowym” strajkujący niczego nie zyskali. Zaś w porcie gdańskim trzeba było aż interwencji biskupów, by dyrekcja zgodziła się ponownie zatrudnić robotników usuniętych z pracy za udział w strajku, co znaczy, jeśli nie się nie zmieni, że tracą oni wszystkie uprawnienia z tytułu wysługi lat. Tak więc po swej rozmowie z Kiszczakiem Wałęsa nie miał robotnikom do zaoferowania ani realnej perspektywy legalizacji „Solidarności”, ani zadośćuczynienia ich postulatami materialnym. Niczego poza symbolicznym gestem ministra Spraw

Wewnętrznych, gestem, któremu trzeba będzie dopiero nadać jakiś pozytywny sens, by nie okazał się przynętą w pułapce. Fakt, że w tych warunkach Wałęsie okazano posłuch, jest jeszcze jednym świadectwem zdyscyplinowania i gotowości do poświęceń poważnego odłamu polskich robotników. Nakazuje też rozumieć i podzielać ich rozgoryczenie.

Przywiązanie do „Solidarności” i skłonność do poświęceń na jej rzecz są jednak w Polsce nadzwyczaj nierównomiernie rozłożone. Inteligencja okazuje ich znacznie mniej niż robotnicy, czego wymownym świadectwem była słabość poparcia dla strajkujących, zwłaszcza zaś — nieobecność jakichkolwiek doradców poza Stoczną Gdańską. Górnicy w szczególności pozostawieni zostali własnemu losowi; nie zdołano nawet zapewnić przyzwoitej informacji o tym, co się wśród nich dzieje. Ale również w środowisku robotniczym różnicowanie jest ogromne. Strajki wybuchły na Śląsku, w Gdańsku, w Szczecinie i w Stalowej Woli. Ponadto w niektórych zakładach, m.in. w Cegielskim, zastrajkowało na krótko kilka wydziałów. Można zrozumieć, że nie było strajku w Nowej Hucie, która strajkowała w maju. Ale bardzo liczne, nazbyt liczne, są te zakłady, które grzecznie pracowały i wtedy i teraz. Dotyczy to w pierwszym rzędzie Warszawy, gdzie „Solidarność” została żywa chyba tylko w jednym miejscu — na grobie księdza Popiełuszki. Pomijając nieudane próby w Hucie i w Ursusie, robotnicy warszawscy nie wzięli udziału w strajku, choć jest ich tyłu, a ich ciężar jest tak wielki, że mogli przyczynić się w stopniu fozstrzygającym do uwieńczenia go realnym sukcesem. Prowadzona od lat polityka zastępowania związku zawodowego „Solidarność” przez ducha, ideę, ruch czy jak to tam jeszcze nazywano, nie minęła bez skutków — region Mazowsze po prostu przestał istnieć. Zostali tylko generałowie bez wojska. Pod tym względem kontrast jest uderzający między Warszawą z jednej strony, a z drugiej Krakowem, Śląskiem, Szczecinem, Gdańskiem czy Stalową Wolą.

W jakiej mierze bierze się to z tradycyjnie antysolidarnościowego nastawienia znacznej większości kleru warszawskiego, w jakiej zaś z roli odgrywanej w Warszawie przez sfery urzędniczo-inteligenckie? Trudno powiedzieć. Ale pytanie musi być zadane choćby dlatego, że wchodzimy w okres rozmów z władzą, w toku których warszawskie środowisko inteligenckie będzie odgrywać szczególnie ważną rolę. Głosy, które się słyszy, nie składają do optymizmu. Tu ktoś cieszy się na przyszłe rozmowy, bo można będzie coś konkretnego załatwić, co znaczy, że widzi w nich głównie forum do ubicia drobnych, koteryjnych interesów z przedstawicielami władzy. Tam ktoś wyraża nadzieję, że uzyska się zalegalizowanie „Solidarności” w ramach ustawy z października 1982, jak gdyby ustawa ta nie wykluczała samej możliwości istnie-

nia związku o takiej nazwie i który byłby niezależny od PZPR, i jak gdyby kluby polityczne i stowarzyszenia, instytucje typowo inteligenckie, mogły być rekompensatą za ewentualne ofiarowanie robotnikom związku zawodowego podrzędnej jakości, z góry upośledzonego w porównaniu z OPZZ. Najbardziej niebezpieczne są wszystkie te pomysły, które jawnie czy w sposób zawołowany godzą się z góry na przyznanie „Solidarności” prawa do istnienia tylko w poszczególnych zakładach, bez organizacji ogólnopolskiej. Czy znaczy to, że struktury krajowe mają przestać istnieć i że każdy zakład ma być zdany tylko na siebie? Trzeba jasno stwierdzić, że taka legalizacja, gdyby do niej doszło, byłaby po prostu kapitulacją.

Gdy artykuł ten ukaże się w druku, rozmowy będą prawdopodobnie jeszcze trwały. Uważa się powszechnie, że nie skończą się one prędko, choćby nawet zaczęły się niebawem. Jakoż przewlekanie ich leży w oczywistym interesie władzy, która zamieni je w ten sposób w nowe, poprawione wydanie Rady Konsultacyjnej, a zarazem zwiąże ręce Wałęsie i jego doradcom, zmuszając ich do gaszenia ewentualnych przyszłych pożarów robotniczych czy studenckich w imię legalizacji, która może odsuwać się coraz dalej, jak fatamorgana na pustyni. Władza liczy też — i trudno jej się dziwić — na wewnętrzne konflikty w „Solidarności”, która wchodzi w nowy okres swego istnienia, kto wie czy nie bardziej krytyczny od dotychczasowych, z podziałami silniejszymi niż kiedykolwiek. Jest zatem rzeczą wielkiej wagi szybkie uporządkowanie wszystkich, od lat zaniebawianych spraw organizacyjnych i wyłonienie wreszcie zespołu kierowniczego, który składałby się nie z zasłużonych kombatantów i różnej maści „doradców”, ale z osób sprawdzonych w ciągu ostatnich strajków i legitymujących się rzeczywistą działalnością w chwili obecnej, i który cieszyłby się z tego tytułu rzeczywistym autorytetem. Rozmowy z władzami nie powinny osłabiać działań zmierzających do budowania związku od podstaw, odtwarzania jego instancji i struktur, uporządkowania wreszcie gospodarki finansowej i jej społecznej kontroli i przywracania demokracji wewnętrznej wszędzie tam, gdzie działania takie są podejmowane.

Ale równie ważne, jeśli nie jeszcze ważniejsze, jest niedopuszczenie do rozłamu, choćby w imię najślusznieszych haseł. Skoro strajki zostały przerwane, skoro zgodzono się na podjęcie rozmów, to celem nadrzędnym staje się osiągnięcie dzięki nim tego celu, który przyświecał strajkującym — legalizacji „Solidarności”. Dlatego też Wałęsie i jego doradcom oraz ekipie, która reprezentować będzie „Solidarność” podczas rozmów okrągłego stołu, należy udzielić na czas ich trwania poparcia, by mogli występować wobec władz z możliwie mocnych pozycji. Rozliczać się ich będzie potem, na podstawie tego, co osiągnęli. Ale

udzielenie poparcia nie powinno być okazywaniem ślepego zaufania. Dlatego też od przedstawicieli związku, którzy będą uczestniczyć w rozmowach, należy żądać, by: 1) domagali się określenia z góry czasu ich trwania, który nie powinien przekraczać kilku tygodni; rozmowy mają doprowadzić do załatwienia najbardziej dziś palących polskich spraw, nie zaś służyć nieobowiązującej wymianie zdań; 2) występowali jednoznacznie wobec władzy jako strona konfliktu, którego jest ona stroną przeciwną, nie dając się włączyć do fałszywych sojuszy i pozornych koalicji; rozmowy winny być negocjacjami a nie nową odmianą Rady Konsultacyjnej; 3) informowali rzetelnie i na bieżąco opinię publiczną o przebiegu obrad i zajmowanych stanowiskach; rozmowy nie powinny w żadnym przypadku stać się kolejnym przykładem tajnej dyplomacji prowadzonej w imieniu „Solidarności”, dla dobra „Solidarności”, ale bez kontroli „Solidarności”; 4) nie zgadzali się za żadną cenę na pozorną legalizację „Solidarności”, która zostałaby opłacona utratą już posiadanych pozycji (struktur regionalnych i krajowych, drugiego obiegu wydawniczego itp.). Jeśli te warunki będą spełnione, to może nawet dojść do zawarcia jakiegoś kompromisu, który byłby do przyjęcia nie tylko dla władzy, ale również dla społeczeństwa. Zważywszy nastawienie władzy, jest to znikomo mało prawdopodobne. Ale w sytuacji, w jakiej znajduje się dziś Polska, nie należy z góry wykluczać żadnej, nawet najmniej prawdopodobnej możliwości.

Wszystkie pozytywne zmiany w PRL dokonywały się za sprawą nacisku wywieranego przez większość społeczeństwa; przez chłopów w 1956 roku, gdy szło o walkę z kolektywizacją wsi, oraz, wtedy i w latach 1980-1981, przez sojusz robotników i inteligencji. Gdy te siły społeczne występowały osobno — ponosiły klęskę, jak w marcu 1968 czy grudniu 1970. Opozycja, zwłaszcza zaś „Solidarność”, znalazła się obecnie na ostrym zakręcie. Jeśli zdoła utrzymać sojusz inteligencji z robotnikami, ma szansę na realne sukcesy. Jeśli jednak środowiska inteligencje ulegną pokusie porozumienia się z władzą bez rzeczywistego załatwienia problemów żywotnych dla robotników, to skutek może być tylko jeden: pojawienie się wśród nich nastrojów ostro antyinteligencjskich oraz poczucia osamotnienia i beznadziejności. A wtedy widmo żywiołowego wybuchu, które krąży od lat po polskiej scenie politycznej i społecznej, może rychło stać się rzeczywistością.

REDAKCJA

W Henrykowie, u wieczory

Największą stratą, jaką poniósłem mieszkając dziesiątki lat za granicą był brak teatru. W Ameryce teatr nie istnieje. Nie istnieje dla mnie — czy i w jakim stopniu istnieje dla innych, nie podejmuję się orzekać. Widziałem różne przedstawienia, które jednak zostały mi obojętne, jak bym ich wcale nie widział. Ale niemal to samo stosuje się do teatrów w Paryżu, skąd jako płoń zebrałem tylko trzy wieczory: przed wojną sztukę Pirandella z Ludmiłą Pitoëff, ściślej, jedną scenę, kiedy bohaterce zmieniają charakteryzację, tak że w kilka minut z młodej dziewczyny staje się starą kobietą; po wojnie „Czekając na Godota” — ale chyba głównie z powodu mego oburzenia na publiczność, reagującą tylko śmiechem, i wreszcie „Kaukaskie koło kredowe” Brechta, z powodu rytmu, w którym fingowana jest długa podróż pieszo. Dodałbym może występ opery chińskiej z Pekinu. Teatr dla mnie to przede wszystkim język, czy też, żeby być dokładniejszym, to, co stanowi jego tło, co mu towarzyszy. Jeżeli mowa jest obca, nie moja, wołam sam ruch na scenie, ale to nie dosyć. Tak więc życie pozbawione teatru i zamiast niego kino.

Jestem rówieśnikiem kina. Od migających obrazków z niemieckimi napisami w Dorpacie 1918 roku, od filmów niemych w Wilnie z burzliwym akompaniamentem fortepianu i skrzypiec w momentach dramatycznych („Łysy, graj!” z galerii), do wyrażanie-nihilistycznych produktów lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wzruszałem się nieszczęściami Mary Pickford, Lillian Gish, Silvii Sidney, kochałem się w Grecie Garbo, dokonywałem niezwykłych czynów z Douglasem Fairbanks („Złodziej z Bagdadu”), śmiałem się z Buster Keatona i Chaplina. Wchłaniałem potężne dawki melodramatu i kiczu. Bo tak, film był przede wszystkim melodramatem i kiczem. Przyszedł do nas nieproszony,

nie zapowiedziany żadną teorią, plebejska rozrywka, której cichcem, trochę się wstydząc, oddawali się też wykształceni. Analogie z początkami powieści są zbyt wyraźne, żeby o tym nie myśleć. Powieść tak samo pojawiła się jako „prawdziwe przygody”, jako sentymentalny romans, jako odmiana jarmarcznych baśni o rycarzach i smokach. Co prawda jeden z ojców powieści, Cervantes, już pisał „Don Kichota” jako parodię romansu rycerskiego.

Mimo skromnych początków, tak że jeszcze około roku 1800 nie zaliczano powieści do gatunków szacownych, jak poezja liryczna, epos i tragedia, powieść szybko urosła i stała się „zwierciadłem” obyczajów, psychologii ludzkiej, idei krążących w społeczeństwie, a nawet służyła dyspacie filozoficznej i teologicznej. Różni się pytanie, czy film tak właśnie się rozwija, od niepowagi do powagi, nie tylko rywalizując z powieścią, wchodząc nawet na jej miejsce, czyli poruszając wszelkie problemy zaprzatające móich współczesnych.

Nicola Chiaromonte twierdził, że nie, że analogia jest mylna. Próbuje odtworzyć sobie te rozmowy przy stole w wiosce Boca di Magra (czyli ujście rzeki Magra) koło Carrary, latem 1963 roku. Dużo czerwonego wina. Jazdy całego naszego towarzystwa motorówką do zatoki białych marmurowych skał, gdzie wspaniałe pływanie. I te dyskusje — Nicola, jego żona Miriam, Mary McCarthy, Janka, ja. Chiaromonte jest jedną z tych postaci bohaterkich dwudziestego wieku, które muszą być zapomniane, żeby tym większa była ich chwala kiedyś, kiedy winy i zasługi będą sprawiedliwie rozdzielone. Był intelektualistą o umyśle prawnym, niezależnym, znał się na ustrojach totalitarnych, przeciwko którym walczył: przeciwko faszyzmowi w swojej ojczyźnie, Italii; przeciwko Franco w Hiszpanii jako lotnik dywizjonu Malraux (czytający Platona); przeciwko sowieckiemu komunizmowi po wojnie jako współredaktor (z Ignazio Silone) pisma *Tempo Presente*. Nazwisko jego trafiło do mnie, kiedy podczas mego pierwszego pobytu w Ameryce czytałem z uznaniem jego eseje w *The Partisan Review* i w *Politics*. Tak więc Nicola, ceniony wtedy w Rzymie jako krytyk teatralny, argumentował przy winie, że ambicje reżyserów filmowych — Fellini, Antonioni na przykład — nie są na miarę ich umysłowego przygotowania, że próbując dorównać wielkim pisarzom dziewiętnastego wieku odsłaniają swoje ubóstwo myślowe i podatność na społeczne *clichés*. Przypominają mi się jego surowe sądy ilekroć idę do kina z nadzieją nakarmienia i oczu i umysłu, po to tylko, żeby później wyjść na ulicę z niesmakiem, wstydem albo wręcz furia. Taka wspaniała technika, taka umiejętność pięknych zdjęć i takie nic? Można nawet myśleć, że w samym tym medium, wskutek konieczności, które jakoś przykro obnażają się, podczas kiedy pisarz, jako że pracuje w materiale słownym, ma wiele innych sposobów

przykucia uwagi czytelnika. Tak czy inaczej, postacie i ich wzajemne odniesienia tracą swoją wielowymiarowość. Słowa, jeżeli już na nich reżyser próbuje się oprzeć, raz wymówione przepadają razem z upływającą minutą, nie są przed oczami jak w książce. Czy też odpowiedzialność za mizerne wyniki da się przerzucić na presje — finansowe, społeczne, na charakter danej cywilizacji, albo na selekcję, artystycznie biorąc *in minus*, typu ludzkiego nadającego się na reżysera, który musi być zanadto człowiekiem czynu, politykiem, finansistą, żeby lubił go Muzy.

Ale — powie ktoś — film wydał arcydzieła. To prawda. Możliwe jednak, że są to arcydzieła właściwe jedynie dla niego, zamknięte w nim i nieprzetłumaczalne na te myśli i odczucia, które stanowiły siłę powieści w jej wieku dojrzałym. Zdarzały się wyjątki, niemniej widz taki jak ja ma ciągle poczucie nieskonczonych niemal możliwości filmu, dotychczas niezrealizowanych. I być może główna rola kina w tym stuleciu polegała na tym, że jego ujęcia i sposoby wspaniale zapładniały literaturę, poezję i prozę, a także malarstwo.

Układałem w wyobraźni swoje własne filmy, nie kwapiąc się do pisania scenariuszów. Jeden taki film właśnie oglądałem na moim prywatnym ekranie. Występują w nim osoby znane nie tylko mnie z imienia i nazwiska.

Leon Schiller. Wtedy kiedy spotykałem się z nim, z Jaraczem, z Edmundem Wiercińskim, z Bohdanem Korzeniewskim, mieszkał na którymś wysokim piętrze Prudentialu i sływał ze swoich rozległych lektur, niezwykłych nawet jak na dużo czytającą okupacyjną Warszawę. Po prostu potrzebował nie więcej niż cztery godziny snu, resztę nocy mógł więc poświęcić czytaniu. Ukazywał się nam, o ileż młodszym, z całą swoją przeszłością reżysera — i piosenkarza. Zasiadał do pianina i śpiewał piosenki kabaretowe Młodej Polski, których, gdyby nie tamte wieczorne zebrania, nigdy bym nie usłyszał. Mimo wysiłków nie umiem sobie przypomnieć, gdzie się to odbywało. Ale słyszę wyraźnie:

*Wiatr za szybami śmieje się,
Psiakrew, to życie takie złe.
Nie, już nie będę więcej pić.
Jutro inaczej zacznę żyć.*

Albo z innej piosenki, bardzo ciepłej i serdecznej, co prawda tylko początek:

*Moja kochanka jest taka brzydka,
Ząbki spróchniałe...*

Prawie pewnośc, że piosenkarstwo Młodej Polski wywodziło

się przede wszystkim z Paryża, zawdzięczam uczestnictwu w tych sesjach z Schillerem, niekiedy Teofilem Trzczańskim. Schiller mieszkał przecie w Paryżu w latach 1907-1909, ponownie w 1910-1911, kiedy należał do Towarzystwa Artystów Polskich przy rue Denfert-Rochereau (tak jak Oskar Miłosz).

Legendarna postać w historii polskiego teatru, Schiller jako reżyser i jako teoretyk teatru wymyka się zobaczeniu, nie wtedy jednak, kiedy zasiadał do pianina i śpiewał. Teksty i nuty chyba można odnaleźć, choć jego zbiory spaliły się z jego mieszkaniem w Warszawie. Był to mężczyzna niewysoki, z dużą głową, ociężałej, nieco atletycznej budowy, ciemnoskóry brunet z niebieskimi oczami. Wydawał mi się bardzo leciwy, nie miał sześćdziesiątki, ale należał do tych, którzy wyglądają starzej niż ich lata.

Schiller swoje tajemnice zabrał ze sobą, bo nie myślę, żeby gdzieś został utrwalony ich ślad. A był tak wielowymiarowy, że jakiegokolwiek przyrządzenie go na modłę filmową musiałoby go strywializować.

Henryków. Podziemne życie teatralne Warszawy dzieli się na dwie części: przed zastrzeleniem Igo Szyma i po tym akcie, kiedy to Schiller i Jaracz zostali aresztowani (1941) i posłani do Oświęcimia. Po kilku miesiącach wydobyto ich stamtąd z wielkim trudem. Niedawno na lotnisku Charles de Gaulle kupiłem książkę „*Des écrivains et des artistes sous l'occupation (1940-1944)*”, autorzy Gilles Ragache i Jean-Robert Ragache, i czytając ją doszedłem jeszcze raz do wniosku, że niemiecka okupacja Francji różniła się zasadniczo od metod niemieckich w Polsce. Tłumaczy to chyba niemiecki kompleks niższości wobec kultury francuskiej i zupełna pogarda wobec „podludzi” na wschód od Niemiec. Ale także inne zachowanie się Polaków i Francuzów. Koncesja na prowadzenie teatrów, którą otrzymał Igo Sym, nie byłaby we Francji niczym szczególnym, ale w Polsce został zastrzelony jako zdrajca, bo ogłosił się Reichsdeutschem (pochodził z Austrii) i jako demoralizator aktorów, namawiający ich do kolaboracji, tj. do grania w teatrze koncesjonowanym przez władze okupacyjne. Kto go zastrzelił, dotychczas nie wiadomo, Niemcy ścigali Dobiesława Damięckiego, który wraz z żoną, Ireną Górską-Damięcką musiał uciekać z Warszawy i zmienić nazwisko. Po zamachu na Szyma ustały prawie próby założenia oficjalnego teatru, wyłomy zaczęły się później, zwłaszcza przy samym końcu okupacji. Aktorzy pracowali głównie jako kelnerzy i kelnerki (np. wytworona kawiarnia Arria przy Mazowieckiej, zwana też „U aktorów”). Czytanie nowych sztuk, oryginalnych i przekładów, odbywało się w prywatnych mieszkaniach, gdzie urządzano też sporo przedstawień teatralnych. Podziemna Rada Teatralna czuwała nad tym wszystkim, wyrokowała co wolno, przygotowywała repertuar na

po wojnie, zamawiała przekłady sztuk, opracowywała plany organizacji teatrów, a decydujący głos w niej miał Leon Schiller, choć działali głównie Edmund Wierciński i Bohdan Korzeniewski.

Nie od razu w Polsce zdano sobie sprawę z niemieckich eksterminacyjnych zamiarów i wielu z początku sądziło, że jest to zwyczajna okupacja przez wojska zwycięskie w wojnie. Tym na przykład tłumaczy się rejestrowanie się w odpowiednim niemieckim urzędzie dla wykonywania różnych wolnych zawodów, w tym zawodu literata. W naszym środowisku doradzał rejestrować się Ferdynand Goetel i niektórzy ulegli jego namowom, wśród nich na przykład Jerzy Zagórski. Jerzy Andrzejewski i ja byliśmy przeciwni, ale lojalnie muszę stwierdzić, że ludzenie się wtedy, w 1940 roku, było jeszcze możliwe.

To bodaj Jerzy Andrzejewski, z którym widywaliśmy się często, powiedział pewnego zimowego dnia przed Bożym Narodzeniem 1942 roku, że jesteśmy zaproszeni do Henrykowa do zakonnicy na przedstawienie „Pastorałki” Schillera, które przygotował sam Schiller. Nie wiedziałem co to Henryków, okazało się, że za Wisłą, gdzieś na północny wschód, nigdy nie byłem w tamtych okolicach. Zakonnice benedyktynki miały tam klasztor i zakład dla małoletnich przestępczyni, głównie prostytutek, zgarnianych przez granatową policję na ulicach Warszawy.

Podróż więc do Henrykowa. Najpierw Janka i ja tramwajem z naszego przystanku przy rogu Alei Niepodległości i Rakowieckiej do śródmieścia, tam spotkanie z Jerzym i tramwajem przez most Kierbedzia na Pragę. Szarość miasta pod okupacją, szarość mokrej zimy, zatłoczony tramwaj, w którym pierwszy wagon jest tylko dla Niemców, na wprost stanie, na wprost wiszenie. Z Pragi podmiejska kolejka. Nic z niej nie pamiętam, tyle, że już spotkaliśmy znajomych jadących w tym samym celu. Nie pamiętam też nic z Henrykowa, aż do chwili kiedy wprowadzono nas chyba do kaplicy, w której stały rzędy niskich ławek, mieściła się na nich publiczność, około setki osób, twarze przeważnie dobrze znane, bo aktorzy, literaci, malarze, ludzie uniwersyteccy.

Stanisława Umińska. Cofnijmy się w czasie. Miasto Warszawa we wczesnych latach dwudziestych jest trudne do umieszczenia w wyobraźni, chyba głównie dlatego, że era sprzed pierwszej wojny, długi i powoli przrastająca, nadal wtedy jeszcze trwa, ale już ustępuje miejsca modom i obyczajom nowej ery. Kaszkiety, dużo kaszkietów, jako znamię klas niższych, kapelusze, niezbędny rekwizyt klas wyższych (nikt nie odważyłby się wyjść na ulicę z gołą głową), płaskie, czarne denka pobożnych Żydów w długich chałatach, kobiety już wyzwolone z gorsetów, ale jeszcze dziewiętnastowieczne, na ulicach ciągnięte przez konie wozy cięża-

rowe, dorożki konne, samochody. I na pewno w powietrzu triumf odzyskanej wbrew prawdopodobieństwu niepodległości, pewność siebie wskutek wygranej wojny z Rosją 1920 roku (ileż Polakom zdarzało się wygranych wojen?), razem z nędzą robotniczych dzielnic i bezrobociem, krzyki sprzedawców gazet o sensoryjnych nagłówkach, wzajemnymi wymyślaniami sobie stronnictw w Sejmie, częstymi dymisjami rządu. Zdjęcia z ówczesnego Londynu, New Yorku, mogą pomóc, bo przecież wszystkie większe miasta łączy w każdej dekadzie wspólny im duch czasu. Szczególnym rysem Warszawy było chyba przekształcanie się miasta „Zachodniej Rosji” z silnymi prowincjonalnymi pozostałościami, w stolicę kraju. Kawiarnie, redakcje pism, teatry, dużo teatru, poeci recytujący na estradach, już sławni, choć tak młodzi, zaledwie dwudziestokilkuletni, jakby na znak, że wszystko się zaczyna, a tamto, literatura, sztuka, moda, oddzielona od dnia dzisiejszego przez hiatus wojny, jest starzyzną odesłaną do muzeum na zawsze.

Co znaczyło wtedy być młodą i zdolną aktorką? Stanisława Umińska szybko się wybiła. Jej sławną rolą była rola Pucka w „Śnie nocy letniej” Szekspira. Podobno był to Puck wyjątkowo dobrze zagrany. A do tego trzeba wdzięku, chłopciej urody, lekkości skoku. *Wiadomości Literackie* z 15 czerwca 1924 roku dają jej dużą fotografię wraz z opisem: „jedna z najwybitniejszych i najciekawszych artystek młodego pokolenia, świetna odtwórczyni Consueli („Ten którego biją po twarzy”), Lidii („To co najważniejsze”), osiągnęła nowe sukcesy inteligentną, skupioną grą w roli Berty („Świerszcz za kominem”).

Można się domyślać, że tę pochwałę redaktor umieścił, ponieważ był świadomy związku Umińskiej ze współpracownikiem *Wiadomości* Janem Żyznowskim i wyjazdu obojga do Paryża na jego leczenie. O Żyznowskim czytam w *Słowniku Współczesnych Pisarzy Polskich*: „Ur. 15 czerwca 1889 w Warszawie, w rodzinie ziemiańskiej. Syn Antoniego Żyznowskiego i Michaliny z Jamiołkowskich. Na parę lat przed pierwszą wojną światową pojechał do Paryża w celu uzupełnienia studiów literackich i malarzkich. W chwili wybuchu wojny przebywał w Paryżu i jako jeden z pierwszych w polskiej kolonii zaciągnął się do Legionu Bajonczyków. Po jego rozwiązaniu w 1915 wyjechał do Rosji i pracował w dzienniku *Głos Polski* w Petersburgu. Po powrocie do kraju brał udział w wojnie 1920 roku. Po zdemobilizowaniu został kierownikiem działu krytyki artystycznej w pismach: *Rzeczpospolita*, *Tygodnik Ilustrowany* i *Pani*. Przez parę miesięcy w 1924 prowadził dział recenzji z wystaw plastycznych w *Wiadomościach Literackich*. Ciężko chory na raka wyjechał na kurację radową do Paryża. Zastrzelony na własną prośbę przez narzeczoną, aktorkę teatralną, Stanisławę Umińską, zmarł 15 lipca 1924 roku w Paryżu”.

Paryż 1924 roku pozostaje zawsze dla mnie zagadką z przyczyny artystycznego tam wybuchu. Przecie upłynęło zaledwie kilka lat od wielkiej rzezi i ulicami chodzili ludzie, którzy nie tak dawno przebywali w pieklach Verdun czy bitew nad Sommą. Zdawałoby się, że po takim zstąpieniu w otchłań ogólny ton myśli, sztuki, literatury powinien być mroczny. I był taki w sąsiednich Niemczech, ale też w Anglii, która straciła znaczną część swojej młodej elity. Do ówczesnych tam nastrojów dobrze pasowała „Ziemia jałowa” T. S. Eliota, poemat bądź co bądź satyryczny i katastroficzny. A Francja, gdzie każde małe miasteczko wystawiało pomnik z nazwiskami poległych, nieraz liczącymi dwie trzecie jego mężczyzn, przewodziła obiegającym planetę prądem euforii i raz jeszcze przyciągała wszystkich entuzjastów przemiotu w malarstwie i literaturze. Była to pora „ekspatriacji” również amerykańskich pisarzy i artystów, z których dużej liczby najbardziej zasłynęli Hemingway i Gertrude Stein. Lata szczytowe Montparnassu i jego kawiarni — nie tyle „Closerie des Lilas”, która swój szczyt miała przed 1914, ile „La Rotonde” i „La Coupole” z ich wyplatany mi krzesłami na całą szerokość chodnika i kosmopolitycznym tłumem, ale nie turystów jak w Paryżu późniejszym, co stwarza zasadniczą różnicę aury.

W tym euforycznym Paryżu ich dwoje, Żyznowski i Umińska. Na tarasie „La Coupole”, sącząc Dubonnet i patrząc na rewie przechodniów. Pomyśleć, że nigdy, po wieki wieczne, nie będzie wiadomo o czym rozmawiali i jak kształtowała się ich decyzja. Przyjechali szukać u lekarzy nadziei i może zyskali dnie czy tygodnie nadziei. Kiedy jej zabrakło, pozostała wierna miłość kobiety, nie cofająca się przed aktem pomocy, wyręczenia, który musiał ją przerażać. I zaraz gazety paryskie pełne sensacji dokładnie takiej, jakiej oczekiwało miasto codziennych awantur modernistycznej bohemy: aktorka zastrzeliła kochanka.

Sensacją także był jej proces. Twarze francuskiego jury, jego obrady — czy można przeniknąć za drzwi zamknięte? Historia była wzruszająca i musiała trafiać do serc, zwłaszcza kobiet, mimo że oskarżona należała do niewłaściwej narodowości. Miasteczka północnej Francji roiły się wtedy od Polaków przyjeżdżających pracować w kopalniach i fabrykach, często prosto ze wsi i niekonięcznie uważanych za przynależnych do białej rasy, raczej za tych cudzoziemców, którymi straszy się dzieci, takich jak późniejsi Algierczycy. W kronice kryminalnej Polacy byli głównymi sprawcami kradzieży i morderstw, toteż przyjęło się wyrażenie *les bandits polonais*.

Tym większą sensacją było orzeczenie jury: niewinna. Znać było to nie tylko, że zabójstwo bywa niekiedy niezawinione,

także chyba, że zabójstwo dla skrócenia (w tym wypadku raczej uniknięcia) czyichś cierpień nie powinno być karane.

Możliwe, że Umińska, szukając przede wszystkim anonimatu, uciekając od ludzkiego oczu i języków, znalazła schronienie gdzieś we Francji, możliwe, że zaraz wróciła do Polski. W każdym razie nie do teatru. Ten rozdział swego życia uznała za skończony. Wstąpiła do klasztoru. Można rozmaicie tłumaczyć tę jej decyzję i wszelkie tłumaczenia będą oparte tylko na domysłach. W tradycji katolickiego kraju klasztor był schronieniem kobiet niezamężnych, których przynależność do tej kategorii miała różne powody, rodzinne, finansowe, osobiste, niekoniecznie więc powołanie. „Wstąpienie do klasztoru” stało się też synonimem ucieczki od świata po jakimś osobistym dramacie. Umińska mogła ulegać pewnej tradycji, a klasztor dawał jej anonimaty przybranego imienia, na którym jej zależało. Wolno też się domyślać, że wybierając klasztorną dyscyplinę, wymierzała sobie karę za czyn, którego nie mogła sobie wybaczyć, albo za zaniechanie, za to, że sama nie towarzyszyła Żyznowskiemu w Świerci. Najtrudniej oczywiście snuć przypuszczenia co do rodzaju jej wiary religijnej i daru modlitwy. Nie należy przy tym zapominać, że nasze życie wewnętrzne nie jest nigdy statyczne, że każdy miesiąc i rok wprowadza zmiany, że więc jedne nasze cechy ulegają atrofii, inne się rozwijają.

W ciągu wielu lat spędzonych w klasztorze Umińska, jak to dzieje się ze wszystkimi zakonnice, musiała równocześnie poruszać się w kierunku pionowym i poziomym. Ten pierwszy określa dzieje ludzkiej duszy w samotnej kontemplacji i dążeniu do Boga, ten drugi dotyczy codziennych spraw zamkniętej zakonnej wspólnoty, a więc licznych i wielorakich stosunków z siostrami. Osobowość wtedy kształtuje się w nieuniknionym ścieraniu się charakterów. Nie mogło to być dla Umińskiej łatwe, bo bardzo się od swojego nowego otoczenia różniła, górując chyba poziomem umysłowym, a przede wszystkim, mimo młodego wieku, doświadczeniem, które dały jej teatr, miłość, osobista tragedia. Dostosowanie więc było w pierwszym rzędzie kwestią pokory czyli pracy nad poskromieniem swojej odrębności. Mogła jej w tym pomagać także umiejętność wczucia się w różne role. Tak czy owak, stała się zakonnicą wzorową, cenioną przez zakon za swoją pobożność, takt i życzliwość wobec bliźnich. W 1942 roku była przeoryszą klasztoru w Henrykowie.

Czy w ciągu swoich lat zakonnych całkowicie zerwała ze środowiskiem teatralnym czy też przeciwnie, utrzymywała niektóre przyjaźnie albo przynajmniej śledziła co w teatrze się dzieje, nie wiemy. Kiedy jednak po wykupieniu z Oświęcimia Schiller został przez nią zaproszony do Henrykowa, rozmowy z nim były

pewnie dla niej nielada świętem. Należałoby wyjaśnić, jak do tego doszło, czyja była inicjatywa, jego, jej, czy też przyjaciel szukających dla niego bezpiecznego miejsca, zwłaszcza po kilku miesiącach oświęcimskiej kaźni.

Schiller i klasztor, to się nie zgadzało. Choć wtedy w okupacyjnej Warszawie dawne podziały mniej były wyraźne i przeszłość Schillera mniej się liczyła niż fakt, że był główną postacią polskiego teatru. Przed wojną miał opinię lewicowca, ale ja na przykład dopiero nagrywając wywiady z Aleksandrem Watem dowiedziałem się, jak bardzo Schiller był zaangażowany. Dawał na przykład pieniądze na komunistyczny *Miesięcznik Literacki* i nie wszedł do redakcji tylko z powodów taktycznych. Wiele zebrań sympatyków komunizmu odbywało się w jego (wytworzonym) mieszkaniu. Że Schiller był przekonany komunistą, nie może ulegać wątpliwości, „salonowym komunistą”, jeżeli kto woli, bo przecie wartość jego dla partii polegała wyłącznie na polityzacji teatru, to był jego język, w nim się wypowiadał. Był przedmiotem napaści w prasie pravicowej i od czasu do czasu tracił teatry. Kiedy po wojnie wstąpił do PPR i jako kandydat do Sejmu napisał w 1946 roku swoją autobiografię, dużo o tych prześladowaniach mówi, nie wspomina jednak o typowych polskich układach, to znaczy swoich przyjaźniach z dygnitarzami rządu, które go jakoś chroniły. Nie ma też tam oczywiście ani wzmianki o jego stosunku do religii, choć teoretyk i praktyk „teatru ogromnego”, reżyser „Dziadów”, „Nieboskiej”, „Snu srebrnego Salomei” nie mógł o tych sprawach nie myśleć.

W Henrykowie Umińska dała do jego dyspozycji swoje małe prostytutki jako surowy materiał aktorski i w ten sposób Schiller mógł wprawiać swoją reżyserską rękę. Jednakże jego pobyty w klasztorze (w 1943 przeniósł się tam na stałe) nie spowodowały się do tego. „Został wówczas oblatem benedyktyńskim, przybierając imię zakonne Avdalion” — podaje *Słownik biograficzny teatru polskiego* (PWN 1972). Oblat to osoba świecka stosująca się do reguł życia zakonnego, nie składająca jednak ślubów. Reguły zakonne obejmują stały udział w Eucharystii, czyli Schiller stał się wtedy praktykującym katolikiem. Możliwe są różne hipotezy. Nastąpił w nim przełom w sytuacji skrajnej, to jest w Oświęcimiu. Nawróciła go Stanisława Umińska. Czy też niezależnie od swego antyklerykalizmu nabytego za młodu w klerykałnym Krakowie, ten człowiek ołsniewający erudycją i inteligencją był dostatecznie bogaty, żeby zawsze przebywać na kilku poziomach równocześnie, godząc swoją rewolucyjność z sekretnym doświadczeniem religijnym. Może zawodziła mnie moja intuicja, ale wyczuwałem u Schillera dużą wewnętrzną koncentrację, jakiś rdzeń nieodślaniany nikomu, jak to bywa u ludzi o skłonnościach mistyków. Nikt, o ile wiem, nie próbował o tym drugim Schillerze

pisać. Na krótko przed powstaniem wrócił z Henrykowa do Warszawy, wywieziony po powstaniu do Niemiec zorganizował tam zaraz po końcu wojny teatr dla Polaków, pod patronatem YMCA, następnie w Polsce Ludowej działał wszechstronnie a skutecznie jako zasłużony rewolucjonista i członek partii, poseł na Sejm, nie mogło więc być mowy o jakichś jego prywatnych odchyleniach. Na ogół była o nim opinia w latach stalinowskich, że działając z głębokiego przekonania posuwał się w gorliwość dalej niż należało, dalej niż chciała partia. Tym niemniej nie zdziwiło mnie jakos, kiedy usłyszałem od Wata, że ten dogmatyczny komunista w dzień, w nocy leżał pokutnie przed krucyfiksem.

Pastorałka. „Ona ma wejście wielkiej aktorki”, powiedział Jerzy, kiedy przeorysza wkraczała na salę ze swoimi zakonnkami, żeby zająć pierwsze rzędy w ławkach. Wyraził w ten sposób to, co czuliśmy wszyscy: respekt dla jej, ciągle jeszcze, urody i dostojństwa.

„Pastorałki” nie znałem. Schiller ułożył ludowe kolędy i piosenki jako „Szopkę staropolską” w 1919 roku, następnie już jako „Pastorałkę” wystawił w 1922 roku w „Reducie”. Te informacje podaję teraz, nie wydaje mi się, że wtedy nimi rozporządzałem, najwyżej coś obito mi się o uszy.

I oto nie grecka tragedia, nie dzieło Szekspira, nie dramat romantyczny dały mi najsilniejsze przeżycie teatralne mego życia, ale widowisko ludowe, szopka, jasełka, odegrane przez biedne dziewczęta z warszawskiej ulicy, które nigdy może nie były w teatrze. Z pewnością, polskie kolędy mają w sobie coś szczególnie uroczego, rzewność, kordialność, humor, które w tych proporcjach nie pojawiają się w żadnych bożonarodzeniowych pieśniach, i być może w nich trzeba szukać samej istoty polskiej poezji. Moja podatność na to przedstawienie może się tłumaczyć osłuchaniem z kolędami od dziecka, ale też tak tylko właśnie działa teatr, apełując do tego, co najbardziej dla nas swojskie, swoje, i najgłębiej tkwiące w rytmach naszego języka. Rzecz tedy można, że przyczyną moich późniejszych złych stosunków z teatrem za granicą były obce mnie intonacje.

W szopce, jak zresztą kiedyś w Grecji, akcja niczym nie zaskakuje, bo z góry jest dana, umiana na pamięć. Także postacie są gotowe i wszystko rozgrywa się pomiędzy: pomiędzy postacią i jej wcieleniem przez aktora, pomiędzy tekstem i wykonaniem, w mowie, w śpiewie, w tańcu.

Matka Boska była ubrana oczywiście na niebiesko, nieduża, prawie dziecinna, szczupła, jasnowłosa. Ukazywała się na tle wielowiekowej tradycji tak właśnie ją przedstawiającej w malarstwie czy w polichromowanej rzeźbie, choć istniała i tradycja inna,

Madonny o oliwkowej skórze, czarnookiej i czarnowłosej. Reżyser wybrał ją bezbłędnie, być może także ze względu na jej głos. Był to malutki, mysy głosik, od którego kiedy śpiewała, dźwięki mnie w gardle ze wzruszenia. Uczestniczyłem w misterium, równocześnie odślaniającym esencję teatru. Tą esencją jest chyba ludzka możność *bycia kim innym*, co, jeżeli się zastanowić, znaczy że każdy człowiek jest domem wielu osobowości przebywających w nim potencjalnie, nigdy nie zrealizowanych, bo jedna tylko z nich występuje na zewnątrz i dostarcza przyjętej przez innych maski. Zmiana w układzie przez zmianę współgrających przywołuje ukryte i dotychczas tłumione osobowości inne. Czystość i świętość Matki Boskiej były najniewątpliwiej jej własne, tej dziewczynki-aktorki, choć zarazem była ona kimś innym i ta inna sprzedawała się niedawno niemieckim żołnierzom za parę złotych. Tak więc teatr jest czy powinien być celebrowanym świętem ludzkiej wielopostaciowości i plastyczności, która sprawia, że każdy i każda nosi w sobie całą skalę doznań i uzdolnień, od najwyższej cnoty do powszedniego zła, niejasno o tym wiedząc i dlatego mogąc współbrzmieć z aktorami na scenie. Powstaje pytanie, w jakim stopniu potrzebna jest świadomość, że oglądamy na scenie istoty podwójne, czyli że na przykład ta dziewczynka „odgrywa” Matkę Boską, będąc i „sobą” i nią. W teatrze pudełkowym „jak z życia”, każą nam o podwójności zapominać i dlatego jest to chyba niski gatunek teatru. Ale tutaj, w Henrykowie, przedstawienie było amatorskie, zmienione w zawodowe przez znakomitego reżysera, tak że twierdzę, ostrość teatralnego przeżycia można też tłumaczyć naszą wiedzą o tym, kim są te biedne dzieci doraźnie przekształcone w zespół. I, być może, niejeden z nas myślał, że żeby tak zagrać Matkę Boską, trudno nie doznać wewnętrznego przekształcenia, a więc ona, ta wykonawczyni, razem z jej niewyobrażalną dalszą biografią, też była obecna.

Święty Józef ubrany w rodzaj brązowego burnusa, z laską wędrowca, prowadził delikatnie Marię w ich ucieczce do Egiptu. Widzę tę scenę i słyszę, jak Maria śpiewa tym swoim cienkim głosikiem, choć słów nie jestem całkowicie pewien, notuję z pamięci:

*Pomaluśku Józefie
Pomaluśku proszę.
Bo ja przecie nie mogę
W tak daleką biec do drogi.*

W „Pastorałce” przeplatają się te czułe ciche melodie z wybuchami radosnych koled i triumfalnych tańców. Na samym początku do tego *vivace* daje okazję przybycie pasterzy do stajenki i składanie przez nich darów. Jak wiadomo, trudno w Polsce oddzielić „ludowość” od wkładu kościelnych pisarzy i muzyków

czy też żaków i rybałów pracujących dla parafii. Najżywsza aktywność przypada na wiek siedemnasty, toteż ów „folklor” staropolski, a przede wszystkim koledy, nosi silne piętno Baroku. Pasterze przynoszą ze sobą rubaszny humor wsi, swoje zabawy i błaznowania, ale przyłącza się też do nich jakiś żak kierujący porządkiem:

*Kontrabasy i tenory
Podzielimy na dwa chory
Hej nam hej!*

Pamiętam te melodie wesołych koled i radość wykonawczyń, które się dorwały do wyładowania energii w dozwolony sposób, wyładowania pewnie bardzo potrzebnego w surowym, z natury rzeczy, zakładzie. Umyka mi zupełnie część dramatyczna, a więc okropne przygody Heroda ze Śmiercią, natomiast dotychczas łączę się w entuzjazmie z siedzącymi obok mnie Janką i Jerzym, z całą publicznością, kiedy „Pastorałka” kończy się dionizyjskim tańcem. Jest to już zupełny szal, rozpasanie na scenie, wyrwanie się poza wszelkie granice, choć słowa ubożuchne:

*Hajże ino, Panie Jezu
Hajże ino, hoc hoc!*

Upojenie tancerek, ich wariackie skoki i obroty są samym żywiołem ruchu.

Ponieważ widziałem tę „Pastorałkę”, utrzymywałem odtąd, że wiem czym jest prawdziwy teatr i przykładałem jej miarę do późniejszych moich teatralnych wieczorów, zwykle z negatywnym wynikiem. Oczywiście wolno powiedzieć, że szczególne warunki złożyły się na tak gorące (nie przeze mnie jednego) przyjęcie schillerowskiego spektaklu. Wyglodzenie oczu i przez ponurą bezbarwność okupowanego miasta i przez brak teatralnych czy kinowych rozrywek; niezwykłość całej imprezy, wynagradzającej długie tłuczenie się tramwajem i podmiejską kolejką, a nawet niespodzianka, jaką było odkrycie tylu aktorskich talentów u przypadkowo zebranych dziewcząt. Być może, że podobne uo warunki zawsze pomagają chłonności widzów, bo przeciw do istoty teatru należy kreacja magicznego miejsca, barwnej feerii rozwijającej się wbrew otaczającemu niedostatkowi koloru. Czy też potrzebna jest nagła zmiana wewnętrznego rytmu wskutek przeskoku z jednej rzeczywistości w inną. „Pastorałka” w Henrykowie włącza się w ciąg terapeutycznych niejako przedstawień w Europie dotkniętej totalitarną dżumą, a miejscem ich były okupowane miasta, getta, obozy jeńców. Nie chcę jednak wierzyć, że prawdziwe przeżycie teatralne jest możliwe jedynie w epokach wielkich zaburzeń.

Nie, nie chciałbym mojego filmu układanego w wyobraźni przenosić na ekran. Im bardziej Schiller jest obecny, im bardziej obecnością jest Umińska, a nawet nie wiadomo jak wyglądający Żyznowski, im wyraźniej ukazują się dziewczęta z „Pastorałki”, które dzisiaj jeżeli żyją, są już starymi kobietami, tym mocniej czuję ubóstwo środków filmowych w porównaniu z bogactwem ludzkich charakterów i losów. Bo wszystkie te postacie istnieją równocześnie w różnych swoich fazach, ale ten wymiar czasu jest niemożliwy do uchwycenia w sposób linearny, czyli według rozwijającej się akcji, mimo coraz częstszego użytku techniki rzutów wstecz. Nicola Chiaromonte, kiedy odmawiał filmowi możliwości rywalizowania z literaturą, chyba się nie mylił. Dobrze, ale gdzie są te wyjątkowe zalety literatury? Pewnie też skromne, choć jej nieporadność kiedy próbuje schwytać i utrwalić w słowach rzeczywistość, to już osobny temat.

Czesław MIŁOŻ

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości \$ US 50.00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych. ● Wszelkie aparaty medyczne. ● Okulary. ● Aparaty słuchowe. ● Preparaty dentystyczne.

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.

Największy Polski Dom wysykowy

T A Z A B LTD.

Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.

Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.

Tel.: 42 85 79 45.

Pornografia

Między innymi wyszło u nas z użytku opowiadanie dobrych, pieprzonych kawałów. Zamiast tego opowiada się kawały polityczne. Jeszcze jeden dowód korupcji obyczajów w epoce bolszewizmu stosowanego. Ktoś na przykład próbuje opowiedzieć kawał o *strip-tease*'ie. Nie dopuszczają go do głosu. — Chcesz mieć *strip-tease*? Zaraz to będziesz oglądał w wesrji współczesnej.

I wyciągnąwszy pierwszy tom „Archipelagu Gułag” podsuwa się amatorowi dowcipów odpowiedni ustęp w rozdziale pt. „Śledztwo”: „... Każdy proceder wywołujący wstrząs psychiczny w umyśle oskarżonego. Oto jak był przesłuchiwany F.I.W. z Krasnogorska, na przedmieściu moskiewskim (według sprawozdania I.A.P....ewa). W trakcie przesłuchania prowadząca śledztwo kobieta zaczęła się w obecności więźnia rozbierać, w kilku etapach (pokaz *strip-tease*'u), nie przestając przy tym zadawać pytań, jakby nigdy nic, zbliżając się do niego i usiłując wywierać wpływ na zeznania. Możliwe, że postępowała tak pod wpływem jakiejś konieczności osobistej, ale nie wykluczone, że był to skutek zimnej kalkulacji: a nuż umysł obwinionego dozna szoku i w końcu podpisze! Co do niej, nic jej nie groziło, miała pod ręką pistolet i dzwonek”.

Słuchano tego w roztargnieniu. Próbowano dywersji za pomocą dowcipu opartego na tradycyjnych przesłankach. — Czy słyszeliście państwo, że Gorbaczow chciał popełnić samobójstwo? A tak. Tylko nie zastali go w domu.

Zanik zwyczaju opowiadania pieprzonych dowcipów jest stratą minimalną. Ale każda nawet najmniejsza strata jest tylko objawem znacznie głębszych ustępstw. W Polsce społeczeństwo zaczęło ustępować ze swoich pozycji zaraz po zakończeniu wojny i dotąd nie przestaje ustępować. Najpierw zrezygno wało z po-

ziomu codziennego życia. Potem odebrano mu prawo do informacji. Każdy z nas tę pauperyzację przeżywa osobiście. Odczuwam to jak stopniowe obdzieranie z tożsamości. Inaczej wyobrażałem sobie kiedyś naturalne wchodzenie w starość. Wsuwanie się w futerał starości winno odbywać się możliwie bez hałasu i we względnej zgodzie z otoczeniem. Całe moje fizyczne otoczenie, moją ziemię zatruto, wraz z wodami i wierzchołkami drzew, nie darowano nawet górskim potokom. Jednocześnie brudnymi nogami wdarto się w samą prawdę języka. Cała semantyczna struktura polskiej mowy została w ciągu tych czterdziestu paru lat zdeprawowana. Każdy z tych aktów gwałtu odczuwam jak proces atrofii rozłożony na tempa. Kurczy się skóra jaszczura.

W tym miejscu rozmowy (w pewnym znaczeniu wszystko jest rozmową) niecierpliwy amator żartów zażądał jakiegoś dobrego kawału — i znowu usłyszał nie to, czego mu brakło. — Znasz kawał o Stalinie, któremu rozwiązało się sznurowadło u buta? No to posłuchaj. Staremu Stalinowi rozwiązało się sznurowadło, pochylił się więc, żeby je zawiązać. Raptem podbiega do niego mały chłopak i sprawnie to sznurowadło zasupłuje. Stalin pogłaskał malca po głowie i rzekł: — Nu, *mołodiec*. A jak się nazywasz?

— Miszka Gorbaczow — odpowiedział usłużny chłopak.

Słuchający zaśmieli się z przymusem, nie doceniając interesującego morału, jaki zawieła tak zwana sztafeta pokoleń.

Zjawił się u nas jeden z przyjaciół, który mimo siwej głowy nie przestanie być urwipółciem, przyszedł w nocy, zbudził cały dom, tylko po to, aby oskarżyć siebie, że wypił bruderszafft z Sokorskim. Było to śmieszne i patetyczne, zupełnie jak sławne nocne telefony zalanego tragicznie Broniewskiego. Ten nasz przyjaciel, dobry grafik, zasiaduje w jakimś permanentnym jury wybierającym najlepszy plakat, w tym wypadku związany z akcją zwalczania narkomanii wśród młodocianych. Jest w jury i Sokorski, który niemal zawsze bierze udział w tego rodzaju ciałach. Może wpływa to na uzyskanie większych sum na nagrody. Dość, że ostatnie posiedzenie skończyło się w knajpie, a nasz przyjaciel stwierdził poniewczasie, że mówi z Sokorskim na ty. Rozgrzeszyliśmy go z przestępstwa. Nie był to nawet skrajny przypadek przymusowego — albo raczej mechanicznego — bratania się z osobami, którym w normalnych warunkach nie powinno się podawać ręki. Tak wynika ze wspólnej jazdy w tym od dawna niemytym tramwaju. Sokorski należy do tych, którzy świadomie nie chcą być nietykalni. Odwrotnie. Bóg wie ilu ludziom, i to z prawdziwego zdarzenia, obdarzonym talentem, mówi ty i żąda, żeby mu odpowiadano tym samym. Zdaje się, że dobru

poecie, Grochowiakowi, kazał sobie mówić Włodziu i tak samo jest na ty z Andrzejem Kuśniewiczem. Upodobał sobie, ten człowiek nomenklatury, styl bycia, który się określa słowami „brat łąta”.

Miałem kiedyś, prawie dwadzieścia lat temu, interes do Putramenta. Wszystko jedno, jaki interes. Była to znowu doskonałe oportunistyczna sytuacja, modelowa sytuacja ocierania się o siebie we wspólnym tramwaju. Pod tym względem tramwajowe stosunki okupacyjne, z przedziałem *Nur für Deutsche*, miały więcej wygody moralnej i higieny. W spotkaniu z Putramentem chodziło o kogoś z Wybrzeża, kto po 1970 nie mógł publikować pod własnym nazwiskiem, a obu nam był znany z Paryża, gdy Putrament był tam ambasadorem. Pytałem, czy da się coś zrobić. Trzeba, powiedział, udać się do prezesa tzw. Komitetu Radia i Telewizji, czyli do Sokorskiego. Obiecał, że do niego zatelefonuje. Siedzieliśmy na ławeczce gdzieś na skwerze przy Puławskiej, na wysokości ulicy Jarosława Dąbrowskiego, którego w PRL przemaalowano na czerwono. W rzeczywistości ten genialnie uzdolniony i płomienny Polak nic z żadną współczesną sobie wersją komunizowania nie miał wspólnego. Ta okolica Warszawy wprowadza mnie zawsze w rodzaj roztargnienia. Strzelałem tu z różnych okien i bram w sierpniu i wrześniu 1944. Chyba się zamysliłem i Putrament musiał mi przypomnieć, o czym mowa. Wtedy z ust partyjnego purpurata padło bardzo związane określenie jego kolegi, Sokorskiego. Nie oczekiwałem żadnej opinii o Sokorskim, nie była mi potrzebna. To Putrament uległ jakiemuś nieodpartemu popędowi. Jego zdanie miało smak i wiarygodność z pierwszej ręki.

— Sokorski to największa szmata w Polsce Ludowej — oświadczył Putrament swoim powolnym głosem. Był już chyba po pierwszym zawale, uważał na każdy ruch i nie krzyczał jak kiedyś. Dlaczego podkreślił, że największa szmata? W wytwórni tego rodzaju tekstyliów, jaką jest jego Polska, akcent ten był wyróżnieniem. Prawie w tej samej chwili przesunęła się w pobliżu ławeczki jakaś starsza pochylona para. Putrament wstał i złożył ukłon. Gdy się oddalili, powiedział z nieklamany szcunkiem:

— A to był Gabriel Karski. Jaki to świetny tłumacz!

Zestawienie z Karskim dodatkowo uwypuklało obraz Sokorskiego. Odtwarzając to mokotowskie popołudnie nie mogę oprzeć się wrażeniu, że zarysowała się wokoło nas jakaś paradoksalna mapa sytuacyjna. I Sokorski i Putrament i Karski — i Jarosław Dąbrowski u dołu, w legendzie. Za plecami Powstanie. Zyjemy tu wszyscy w jakiejś nieznośnej asymetrii, której głębszego sensu nikt nie zdoła odczytać.

Szmata to epitet, za mało, aby człowieka określić. Sokorski nie należał do niedotykalnych, ale i do niego, z drugiej strony, nie się nie kleiło. Żeby móc czuć się skompromitowanym, trzeba mieć jakieś minimum przyczepności na powierzchni. Mimo strasznie pomarszczonej twarzy ten człowiek jest jak kawał wymoczonego rzemienia. Pytano go czasem o pierwszy tzw. sejm, gdy ze swojej ławy poselskiej wykrzykiwał bandyckie obelgi pod adresem starych pepesowców i ludzi Mikołajczyka, mordowanych potem na boku. A czemuś pan, jako minister, robił ten beznadziejny i ogłupiający socrealizm? Na wszystkie takie pytania żywo i bez skrępowania odpowiadał. Na ostatnim walnym zjeździe ZLP w lokalu Związku Nauczycielstwa, nad Wisłą, oskarżano wszystkich i wszystko bez obwijania w bawełnę, niektórzy gęsto się tłumaczyli, jak Ryszard Matuszewski — tłumaczyć się rzadziej ludzka. Inni wyłgiwali się ze łzami w ślepiach. W pierwszym rzędzie krzesel obserwowałem świecąca łysiną Sokorskiego. Pochyłał się do sąsiadów, szeptał i uśmiechał się szeroko. Miał chyba swoją filozofię cynizmu. Cynizm to realizm. Dajcie spokój z pretensjami, bo to nudne. Sypia zdaje się doskonale i jak na swój wiek porusza się sprawnie. Widzę, że w trakcie tego portretowania Sokorskiego zaczynam się przywiązywać do starej kanałij.

Otóż wizerunek ten trzeba uzupełnić informacją, że od kilku lat pisuje on i często wydaje niedługie pornograficzne powieści. Gdy w Polsce odzwyczajono się od pieprznych historyjek, Sokorski rozwinął gatunek w powieści, podjął się wypełnienia dotkliwej luki. Charakterystyczna przemiana. Chyba że pornografia to nie jakaś tam licha kategoria literacka, tylko coś z samego kanonu ustrojowego: Grecy znali i takie rządy, które sprawowały kurwy, a zwało się to pornokracją.

W rok po ogłoszeniu stanu wojennego Sokorski miał się komuś całkiem serio zwierzać ze swoich kłopotów: — Nie wiem, co się teraz porobiło? Pisałem dotąd powieści całkiem po prostu: facet rozkłada babkę na tapczanie, nastawia płytę i kupuje trochę koniaku. Cała filozofia. Ale teraz już nic nie rozumiem. Przecież jako pisarz jestem zobowiązany do obserwowania ludzi, no nie? Otóż porobiło się teraz coś takiego niesłychanego z tymi młodymi, że całkiem można się zgubić. Jakby już im w portkach nie stawał. I pisz tu powieści! Co robić?

Wyobrażam sobie tę rozmowę, w jej tonacji i w całej mi-nice, a owo „co robić” musiało zabrzmieć po leninowsku. Coś się zważyło w poprzek pisarskiemu powołaniu Sokorskiego i żalił się, był zaskoczony. Jak to napisał Raymond Aron? „Jeżeli historia czasem przybiera twarz ludzka, to w tym znaczeniu, że swojemu ślepemu przeznaczeniu człowiek potrafi przeciwstawić kon-

cepcję celu, że trwa w poszukiwaniu swojego powołania". Nie byłem świadkiem tych zwierzeń Sokorskiego, ale — nie myślę tu sztych — wydał mi się w tym kontekście bardzo ludzki i bardzo polski. Od pewnej chwili pisanie przestało mu iść, bo pozująca na podium rzeczywistość zaczęła się jakoś dziwnie kręcić. Przecież identyczny problem mieli w tych czasach — i wciąż mają — wszyscy inni pisarze, również ci prawdziwi, wyrażający całym innym niż Sokorskiego stosunek do życia i do słowa pisanego. Może więc rację ma ten człowiek, uważając się za prawowitego członka tzw. środowiska — choć inaczej go zażywa, drogą destylacji i tylko od strony czerpanych stamtąd wygód.

To implikuje rozmaite kwestie, a do najważniejszych należy taka. Po czterdziestu paru latach jazdy tym samym zapchanym tramwajem, któremu na imię bynajmniej nie jest pożądanie, po tylu latach ocierania się o dużych i małych Sokorskich identyfikujących się z nami (a właściwie nie można im zadać kłamstwa w oczy!) kim i czym w końcu staliśmy się, kim i czym jesteśmy? W jakim sensie, czy aby już tylko nie intencjonalnym, pasują do nas historyczne nazwy, zaczynając od nazw Polska i Polacy?

Można być zdania, że mimo wszystkich katastrof i przekształceń pod wpływem przemocy polska esencja została nienaruszona. Ale jakże to esencja, czy coś takiego można w ogóle pomyśleć w abstrakcji od polityki, gospodarki i ekologii? Za tym romantycznym rodzajem optymizmu ma świadczyć nieustający bunt narodowo-społeczny i próby zrzucenia niewoli. Robotnicy szybko zrozumieli, że to nie jest państwo dla nich, tylko przeciw nim. Chłopi nie wypuścili z rąk ziemi. Młodzież zaraz po dorostaniu przestaje mieć jakiegokolwiek złudzenia. To fakt, że gniew jest doskonałym utrwalcaczem najlepszych cech i odrębności narodowych. Można się więc upierać, że mimo niezmiernych kosztów społeczeństwo się zahartowało i nic mu nie grozi. Byle wyczuć tempo historii i odczekać. Może tak i jest. Przeraza jednak to, co za tymi okopami optymizmu widać już teraz gołym okiem. Sterczą tam fragmenty ruin. Jak inaczej zakwalifikować fakt oduczenia Polaków od pracy, czego żadne okoliczności, żadna taktyka i kalkulacja nie ratują. Praca musi leżeć w obyczajach etycznych człowieka, tak samo jak troska o własne zdrowie, praca musi tkwić w odruchowych nawykach całego społeczeństwa, bo została tam zakodowana od niepamiętnych epok wypalania borów i organizowania sobie przestrzeni życiowej. Zmieniły się warunki technologiczne i racje gospodarcze, ale jeżeli zmienił się sam stosunek do pracy, to znaczy że nadchodzi śmierć. Praca jest instynktem życia.

Po drugie, oduczono Polaków od myślenia normalnego, to znaczy konstruktywnego w stosunku do całej egzystencji. Myślenie obronne, urazowe, sprowadzone do *idées fixes* (cała literatura tego dowodzi) zapewne nic nie jest, warte, na pewno nic nie jest warte w koncercie myślenia ludzkości. Brak w tych dziedzinach instrumentów pomiarowych, nikt takiej katastrofy jak intelektualna katastrofa całego społeczeństwa nie skomputeryzuje, bo jak to zaprogramować?

Istnieją ugruntowane przekonania, których wartość dialektyczna stała się z biegiem czasu prawie żadna, a to dlatego, że uległy kompletnej banalizacji. Kto ma czas i ochotę zajmować się jeszcze truizmanii i eufemizмами! Na niektóre niesłychanie żywotne pojęcia zbanalizowanie działa jak barwa ochronna w przyrodzie. Żuczek stał się zielony jak cały krzak i zapomnieliśmy, że niesie jad. Komu teraz przyjdzie do głowy zmierzyć jeszcze raz zawartość utartego jak mydło pojęcia o życiu w kłamstwie? Życie w kłamstwie: gdzie tu właściwie podmiot, a gdzie przedmiot i czy należy to czytać jako stronę bierną, czy jako stronę czynną?

Ano — właśnie. Proces, historycznie rzecz traktując, nie jest taki stary. Dopiero w końcu poprzedniego stulecia sprawujący władzę zaczęli się orientować, że ograniczenie wolności to bynajmniej nie ostatnie słowo. Można także zamknąć na klucz umysły. Heine w ślicznym wierszu przechwalał się, że może mu celnik na granicy zabrać co chce, ale tego co ma w głowie nikt nie tknie. Otóż nieprawda. Dobrano się i do tych skrytek. Vaclav Havel wydał na Zachodzie esej pt. „Totalitaryzm oglądany ze wschodu” (Editions Economica, 1984). Dowiadujemy się tam, że: „Człowiek w owych systemach bynajmniej nie jest przymuszany do wierzenia we wszystkie te mistyfikacje, ale winien tak się zachowywać, jakby w nie wierzył — a już co najmniej tolerować je w milczeniu i być w zgodzie z rządzącymi. I od tego momentu musi żyć w kłamstwie. Nikt mu nie każe tego akceptować, wystarczy że współżyje z kłamstwem. Tym samym już potwierdza system, daje mu sens, buduje go i staje się jego integralną częścią”. Partia już nie używa przestarzałych recepty Zdanowa-Goebbelsa, wedle której im kłamstwo grubsze i natarczowsze, tym większa szansa, że się przyjmie. Teraz kłamstwo afiszuje się bez specjalnej intencji, aby zostało wzięte za coś innego niż jest w rzeczywistości. Ma inną funkcję. Jest aktem autorytatywnym, sposobem wypróbowywania autorytetu.

Oto co pisał Petr Fidelius w lipcowo-sierpniowym zeszytzie *Esprit*, w artykule „*Pour prendre le mensonge au sérieux*”: „Życie w kłamstwie nie musi koniecznie objawiać się poprzez afirmację czegoś, o czym wiadomo, że jest fałszywe. Istota reżimu

kłamstwa jest bowiem zawarta w tym, po prostu, że się bierze udział — wszystko jedno, świadomie czy nieświadomie — w zbiorowej dewaloryzacji tego, na czym opiera się godność i cała chwała ludzkiego życia. Bierze się udział nie tylko w dewaluacji prawdy jako takiej, ale także jeszcze w dewaluacji samego dążenia do poznania. Człowiek, który żyje w kłamstwie postępuje gorzej, niż gdyby 'nie mówił prawdy': a to dlatego, że przykłada się swoją postawą do tego, aby pozbawić sensu sam fakt mówienia prawdy, w ogóle".

Zagadnienie nie ma granic. Wciąż jeszcze mamy szansę — drogą analizy — pogłębić swoje upokorzenie, swoją pierwiastkową nędzę. Zawsze na ten temat takich jest pogadać towarzyski mefisto, Sokorski, o oczach jak szpary w podłodze. Jak w dziejach cywilizacji rozróżnia się erę postindustrialną, tak w dziejach państwowości mówi się już o erze posttotalitarnej (najpierw była zwykła totalitarna). Na tym drugim etapie podporządkowane społeczeństwa znają tylko jeden rodzaj oporu: za pomocą lgnięcia, jak lep na muchy, który krępuje ruch palców. Całą uwagę ogniskuje na trosce o przetrwanie. Pragnienie spokoju, rytym biologiczny unieruchamiają człowieka i samo życie ukazuje się jako wartość najwyższa i jedyna. Zachodni obserwatorzy dochodzą często do wniosku, że ludzie żyjący pod rządami totalitarnymi przestali brać oficjalne slogany za dobrą monetę. Z czego wnioskuje przedwcześnie o „ideologicznym bankructwie” tamtych systemów. Nie ma większego złudzenia, pisze Vaclav Havel. „O skuteczności propagandy wcale nie decyduje procent ludności dającej jej wiarę, czy nie dającej jej wiary. Tajemnica prawdziwego wpływu propagandy nie ma nic wspólnego z intencją narzucania głoszonej wersji. Chodzi o co innego: o podstępą sugestię mającą na celu zakwestionowanie samej idei prawdy jako wartości powszechnie uznawanej i przekazywalnej. Chodzi o przedstawienie jej jako *pure-nonsense*'u. Jako chimery nie do urzeczywistnienia”.

Gdy się tkwi u nas (nikt nie wie po co) przed odbiornikami telewizyjnymi i słucha się rzecznika rządu, Urbana, to takie własne refleksje tłoczą się w głowach. Tylko tym myślom brak sformułowania, co ma pewnie swoje zalety, ale i wady. Trudno całe swoje samopoczucie sprowadzać do irytacji. Hłasko w jednym z rozdziałów z tomu „Piękni dwudziestoletni” wspomina z nieukrywanym uczuciem ekipę tygodnika *Po prostu*, wymienia parę nazwisk, między innymi Jurka Urbana. Hłasce nie brakło imaginationsi, ale nie był w stanie przewidzieć, do jakich form rozwinię się i dojrzeje ten Jurek w ramach dochodzenia do władzy. Urban doskonale wie, że nikt w jego androny nie wierzy, ale właśnie z tego czerpie nowy rodzaj przyjemności. Patrząc na to od naszej strony, to także coś nowego — w psychologii doznawania opresji.

Zamieniamy się w przyrząd do słuchania, bez możliwości odrzucenia tego, co się w nas leje.

Zastanawiam się od dobrych lat dwudziestu nad niszczącym moralnie stanem długotrwałej nienawiści. Bo przecież to też owoc tych rządów. Ale jest coś jeszcze, co napawa większym niepokojem, niż sam fakt zatrucia tym uczuciem. Czy uczuciem nienawiści nie obejmujemy także — w jakiej części? — samego społeczeństwa, którego jesteśmy składnikiem? To może problem rachunkowy, nawet dla komputera. Ilu jest agentów partii, ilu tych pornokratów w rodzaju Sokorskiego? Tylu a tylu. Sto tysięcy? Pewnie znacznie mniej. Ale są oni fizycznie, instrumentalnie wpleceni w rdzenną masę polską. Splątani z losami Polaków, by użyć pięknego wyrażenia Janka Osmańczyka z czasów, gdy jeszcze żywił złudzenia i nawoływał do pracy. Splątani jesteśmy ze sobą jak w uścisku erotycznym, tylko w nienawiści, zahaczeni ze sobą u samych korzeni języka, który stanowi o świadomości narodowej. Syn wyszkolonego w partyjnych szkołach moskiewskich Modzelewskiego okazuje się raptem świętym i czujnym Polakiem. Takich wypadków są setki i więcej. Kogo tedy ogarniamy naszym potężnym gniewem, który — i to prawda — chroni i utrwala nasze cnoty? Tego węzła nikt nie rozplącze, a rozcinanie węzła byłoby kolejnym aktem gwałtu.

Nikt nie lubi i w gruncie rzeczy nie szanuje samotników. Nie wiadomo dlaczego. Tak samo narody samotne wskutek swej przy-musowej sytuacji, o poprzecinanych drutach łączności, nie cieszą się popularnością wśród innych narodów. We współczesnej cywilizacji opartej, *grosso modo*, na dużych liczbach, na kolosalnych parametrach, na niezgłębionym hałasie fizycznym i na hałasie znaczeń, samotność poczytuje się człowiekowi za odstępstwo od normy, za błąd, w końcu za występki. Ale czy to samo nie odnosi się do narodów, absolutnie samotnych, które bez własnej winy utraciły środki porozumienia z innymi partnerami w świecie? To też jest jeden z rezultatów historii ostatnich czterdziestu lat. Człowiek pojedynczy może sobie pozwolić na samotność. Naród nie może sobie na to pozwolić, to jest status niemożliwy, status nieobecności.

PELIKAN

Jedźmy, wracajmy... (dok.)

— Wszystko w porządku... — powiedział. — Niewiele w ostatnich dniach spałem. Chodzenie po mieście, te różne urzędowe i prywatne spotkania, to dość męczące. I wstaliśmy dzisiaj tak wcześnie...

— Niech pan zapali papierosa, to dobrze robi... Mnie nie przeszkadza. A widziałem, pan pali. Niektórzy źle znoszą długą jazdę samochodem.

— W porządku. Zapewniam pana — powtórzył.

— Myślę, że zaraz zrobimy mały postój — odezwał się znowu kierowca, po minięciu niewielkiej brzeziny zjeżdżając z szosy na boczną drogę. — I tak jesteśmy już prawie u celu. Może chłopiec popatrzy sobie przedtem na to, co pan nazywa Pantalichą. Bo to musi być tutaj. Z pół rejonu łąk. Ale niechże się pan nie krępuje, mnie dym nie przeszkadza!

Wyjął więc z trzymanego w dłoni pudełka z papierosami jednego, wygniół go w palcach i zapalając, powtórzył raz jeszcze coś o zmęczeniu, o senności. Ale, jakby na przekór temu, co powiedział, jego myśli nie były zmęczone, a już na pewno nie senne i pamięć nie odskakiwała, jak zawsze, kiedy pomyślał o śmierci dziadka, nie cofała się w panice spiesznego poszukiwania jakichś innych dni z przeszłości, innych wydarzeń, innych do rozpamiętywania obrazów i — być może dlatego, że zbliżali się do celu — widział wszystko tamto, jakby zdarzyło się wczoraj, jednocześnie jednak zastygłe, niby w strumieniu wulkanicznej lawy, albo oddalone o tysiące kilometrów.

A wtedy nie musiał dziadka nawet długo szukać. Płuca rozdał mu ból i ślina w ustach stała się lepka, żelazista, kiedy po biegu stanął u furki tego ogrodu przy łąkach i stawach, i zaledwie raz spojrzął, już wiedział, że coś się stało. Choć drzwi letniaka

dziadka były zamknięte, okna też i w ogrodzie nie było żadnego nieporządku. A nawet zdawało mu się, że wiedział nie tylko wtedy, kiedy biegł, ale już przed tygodniem albo dwoma, kiedy tak blisko miasta niebo nocą zapłonęło, albo jeszcze wcześniej, całe lato, kiedy ludzie porzucali w panice co dalsze wsie i kiedy matka dziadkowi mówiła, żeby z losem nie igrał i zostawił te przeklęte sady i stawy, nic nikomu z nich nie przyjdzie, lecz on się uparł i odpowiadał, że nie, bo nie ma ochoty zmieniać swych zwyczajów z powodu jakiejś tam z Kołomyji łobuzerki.

Wokoło było cicho, szuścił drobno deszcz, z komina zaś nawet najwęższe nie snuło się pasemko dymu (później przypomniał sobie, że tego dymu wypatrywał z lękiem, idąc ścieżką wzdłuż brzegu rzeki, jeszcze zanim zaczął biec) i stał, i czekał, aż uciszy mu się oddech, a gdy oddech uciszył mu się wreszcie, ruszył czujnie ścieżką ku chacie. Lecz nim tam doszedł, zobaczył prowadzące w głąb ogrodu strużki zakrzepłej na ścieżce krwi i ślady dwóch krech wrytych w żwirze, zdradzające, że go od drzwi ciągnęli wpoł uniesionego i że jego nogi wlokły się po ziemi, więc już do wnętrza chaty nie zajrzał. Przystanął wtedy po raz drugi i znowu stał chwilę, gromadząc w sobie siły. A potem był już przygotowany. I poszedł za śladami, nie spuszczając ich z oczu. I po kilkudziesięciu krokach go znalazł pod płotem na stronie odogrodowej; dziadek leżał na plecach płasko, w tym miejscu, gdzie Małanka znosiła zagrabione badyle i łęty, i gdzie wokół bujnie rozrosły się pokrzywy. Jakby zaciągnęli go tam i rzucili na zwal suszu, żeby spalić albo pod tym suszem na spodzie go ukryć, nigdy nie domyślił się ich zamiarów, ale właśnie tylko tak rzucili i poniechali.

I znowu stał. I oddychał szybko, płytko, przesyty grozą. Bo to był on wprawdzie, jego dziadek, ale jednocześnie nie on. To były jego ręce z żółtymi plamami i piegam na skórze, jego długie palce ze zgrubieniami na knykciach, paznokcie równo i krótko przycięte, jego chude nogi w spodniach, w jakich zwykle na co dzień chodził, cajgowych, nieco na kolanach przetartych, jego szczupłe, płaskie ciało, skóra, ścięgna i kości, ale równocześnie jakby to był ktoś inny, albo już w ogóle nikt, ktoś zupełnie odczłowieczony, i na zawsze.

W końcu jednak się przemógł, ten stos suszu obszedł dookoła, zbliżył do leżącego ciała od tyłu i ujął pod ramiona, usiłując bezskutecznie podźwignąć (udało mu się tylko przesunąć je na ścieżkę), a potem, widząc jeszcze, jak z otwartej szyi pociekła lepka ciecz, nie krew, ciecz przejrzysta, jak woda, jął się cofać, zataczając jak pijany, potykając, nie mogąc oderwać od tej okaleczonej okrutnie szyi wzroku, i cofał się tak długo, aż ciało dziadka zakryły przed nim rosochate zielska. Wtedy dopiero się

odwrócił i popędził do chaty. Bo już i tu również wiedział, co się stało, co oni zrobili z Małanką. I szarpnął drzwi, i wbiegł do środka, i ją znalazł: leżała obok pieca na podłodze z zadartą pod brodę spódnicą, z rozkraczonymi nogami zakrzepłymi w krwi. Więc gdy tylko popatrzył, zrobiło mu się słabo na chwilę i, jakby mu coś wzrok odrzuciło wstecz. Ale całym wysiłkiem woli zmusił się do nachylenia nad nią, myśląc, że to tylko on teraz może zrobić i że to się dziadkowi od niego należy. A potem stał w zupełnej ciszy, ogłuszony biciem swego serca, chwiejąc się i uginając, jakby cały obarczony był ciężarem nie do udźwignięcia, choć to jedynie jego zaciśnięte dłonie nie potrafiły sobie z tym ciężarem poradzić. I zrozumiał, że ulga przychodzi w krzyku, ale w żaden sposób nie mógł go z siebie wydobyć, nawet najłżejszego głosu, i milczał, i myślał, że cokolwiek zrobi, będzie i tak błędne, jeżeli zresztą jest coś do zrobienia jeszcze...

Aż jego wzrok padł przez okno na ogród, na ścieżkę ku furtce i dalej na furtkę. I zobaczył gromadzących się tam ludzi z okolicy. Wtedy, przytomniejąc, zszarpnął Małance spódnicę na nogi. I zaraz popędził do drzwi, i na kraniec ogrodu do tej sterty suszu raz jeszcze. A później stał obok ciała dziadka, któremu przywrócił człowieczy kształt, już zupełnie nieruchomo, oddychając coraz spokojniej i tylko spokojnie czekał, aż oni nadejdą.

— Tak, to tu, Pantalicha... — powiedział, strżasając z siebie tamten koszmar, gdy kierowca zatrzymał „wołgę” na poboczu drogi. Teraz był zupełnie pewny, że poznaje okolicę, choć przedtem, zanim wypadli z brzeziny i skręcili z szosy, powinna była na kurhanie tuż przy drodze stać kapliczka z Frasnoblwym, nie było jej, ale poznawał z całą pewnością, bo przed samochodem rozciągała się rozległa równina dziko zarośnięta trawą, gdzieniegdzie z rzadka zakrzewiona przy ziemi nisko, bez drzew, także bez jednej chociażby niewielkiej słobódki, która by wynurzyła się gdzieś z głębi, bez jednej samotnej chaty nawet. — Tak, to tu — powtórzył później już półgłosem do siebie samego tylko, otwierając drzwi i wysiadając na rozoraną kołami traktorów drogę, gdy tymczasem syn i kierowca, którzy wysiedli po przeciwnej stronie nieco wcześniej, wyładowywali coś z bagażnika.

Zszedł z drogi i poszedł przed siebie, od razu rozpoznając stopami przez podeszwy butów nigdy chyba nie tkniętą lemieszem pługu ziemię, czując rozkosz, kiedy jego nogi rozgarniały miotły różnorodnych zwiędłych ziół, sterczących twardo ze skłębionej w suszy i w deszczach trawy, wdychał głęboko i cierpki i gorzki zapach rozkładu, butwienia, jesiennej pleśni i rdzy, unoszący się w bezwietrznym powietrzu. Szedł nie oglądając się za siebie tak długo, aż odgłosy rozmowy syna z kierowcą Daniłem przestały być dosłyszalne. Potem przystanął i próbował ułović słuchem jakieś inne odgłosy (nawet samemu sobie nie umiałby

wyjaśnić jakie, po prostu inne), ale poza dalekim krakaniem wron nie usłyszał nic więcej. W mżącym przez białosiną oponę chmur słońcu step stał złotawy, nieruchomy i pusty. Przez chwilę miał przemożną ochotę tak jak niegdyś, gdy był chłopcem, położyć się na ziemi brzuchem do góry, zadrzeć głowę pod niebo i przekonać się, czy i teraz, tak jak wtenczas, będzie mu się zdawało, że ziemia się kołysze i pod plecami łagodnie przesuwają, ale rozproszyć swych wątpliwości nie miał odwagi. Więc tylko uniósł głowę i zacisnął mocno powieki. Tamto dawne wrażenie jednak nie powtórzyło się, a nawet nieruchomość świata potwierdziła się jak gdyby dobitniej jeszcze. Gdy otworzył oczy, szybko odwrócił się i krokiem równie szybkim powrócił do samochodu, przy którym kierowca z jego synem, siedząc na ziemi na zwiniętych w wałki kocach, jedli kanapki, popijali je gorącą kawą. Rozmawiali o zaletach i wadach różnych tranzystorowych aparatów radiowych, dostępnych w handlu w obu krajach. Chwilę czekał stojąc obok, zanim go naprawdę dostrzegli i przerwali.

— Wszystko zabrałem z sobą — powiedział kierowca, wskazując na koszyk z prowiantem. — Lepiej zjeść na świeżym powietrzu, niż szukać po mlecznych barach. Proszę...

— Jest pan przewidujący. Bo nie odważyłbym się wejść w którymś z miasteczek okolicznych do restauracji. Nawet do mlecznego baru. Nawet do baru w poczekalni dworcowej.

— Nie jest tak źle, jak pan myśli — powiedział z porozumiewawczym śmiechem kierowca, nalewając mu kawy z termosu do fajansowego kubka i rozwijając serwetkę, w której była nowa porcja kanapek. — Dopóki pogoda jest ładna, sporo ludzi ze Lwowa przyjeżdża tu w odwiedziny do krewnych. Albo na kilka dni urlopu. Niekoniecznie zaraz musi się podpaść. Tylko, że nie w każdej takiej prowincjonalnej dziurze można znaleźć restaurację, ot co.

— Nie wiem, czy pan wie — powiedział z namysłem — że w każdej takiej prowincjonalnej dziurze kiedyś... — i urwał, i spojrzął na kierowcę przepaszająco; ale ten tylko znowu się roześmiał. — W każdym razie dużo się od tamtego czasu zmieniło...

— Jest step — powiedział syn.

— Sądząc po tak rozjeżdżonej traktorami drodze — pokazał ręką — to w pobliżu musi być jakiś sowchoz.

— Przed wojną to nikt tu nie mieszkał? — spytał syn.

— O tak, było tu kilka rozrzuconych hutorów, zaścianków.

— Zaścianków? To znaczy szlacheckich?

— Tak, szlacheckich.

— Jak u Sienkiewicza? Czym się ci ludzie różnili od sąsiadów z innych wsi?

— Różnili? Niczym szczególnym. To była bieda z nędzą

najczęściej. Może tym, że posyłali dzieci do szkół. Posiadaniem tradycji może jeszcze, czy ja wiem...

— Patriotyzmem? — spytał syn.

— Co też ci przyszło do głowy! To byłoby obraźliwe w stosunku do innych ludzi tutaj, gdybym przytaknął. Myślę, że wśród nich było tyle samo dobrych patriotów i nikczemników, co wśród innych ludzi. Jeżeli już czymś się mieli od innych różnić, to może pamięcią przeszłości. No, i że szli do każdego powstania i na każdą wojnę.

— Więc jednak patriotyzmem... — powiedział syn.

— No, to nie tak dosłownie... Jak by ci to wytłumaczyć... Nie wiem. Może kiedyś...

— Znałeś ich?

— O tak, jednych bliżej, innych przelotnie. Całe rodziny... Winnickich, Uruskich, Zabylskich, Korczyńskich, Skibińskich, Moczulskich... — pokazywał ręką w dal.

— Nikogo z nich teraz tu nie ma?

— Nie sądzę, żeby ktoś z nich jeszcze pozostał. Takie samotne hutory, czy osady z dwóch, trzech złożone hutorów, miały rację bytu tylko w czasach indywidualnego rolnictwa — uśmiechnął się do syna. — Widzisz, pustka.

— Tak tato, pustka.

— Nie podoba ci się?

— Ależ podoba, tato.

Patrzył na syna i czuł smutek. Coś się zbliżyło i w ciszy oddaliło, doświadczył tego, jak niewidzialnego muśnięcia, ale tylko on, syn nie. Chwilę milczał, a gdy się odezwał, posłyszał, że głos ma odrobinę zmieniony.

— Kraj stąd na południowy wschód, to było Pokucie — mówił. — A jeszcze dalej na południe było Pobereże. Jeżeli zaś popatrzysz na lewo, bardziej jednak na północny wschód, to tam zaczynały się Awratyńskie Góry. Ale jakie to tam góry! Spore wzgórze. Dzieliły się na Miodobory, na Gołogóry, Kozie i Woroniaki. Tylko jednak Miodobory, i te też nie całe, były w dwudziestoleciu międzywojennym po naszej stronie. Ale nie sądzę, żeby cię to specjalnie interesowało.

— Ależ tak, tato, bardzo.

Widział jednak, że syn nie mówi prawdy. Natomiast zastanowił go na krótko błysk zainteresowania w oczach kierowcy; był ciekaw, czy spowodowany tym, że jego syn nie mówił prawdy, czy też tym, co on sam mówił.

— Mówi pan w czasie przeszłym — powiedział po chwili kierowca. — A przecież i Pokucie, i Pobereże, i Miodobory dziś też istnieją.

— Zmieniły się nazwy.

— Nie wszystkie — zaprzeczył kierowca, a on zrobił szybki

ruch ręką, który sekundę później, już po jego wykonaniu sam odczytał, jako odpychający, oznaczający, że nie chce wiedzieć, jakie nazwy. I tamten ten ruch jego ręki też musiał tak zrozumieć, bo się nie odezwał. Po chwili dopiero zawinął w serwetki nie zjedzone kanapki i rozlał do kubków resztę kawy. Wypili w milczeniu.

Zapaliwszy papierosa, podniósł się z koca, odszedł od samochodu i przespacerował wzdłuż drogi kawałek w jedną stronę, kawałek w drugą, chcąc jeszcze raz choć na krótko doświadczyć tego poprzedniego wspaniałego uczucia, wywołanego dotykami lekko uginającej się pod stopami ziemi, rozgarnianiem butami uschniętej lub na pół uschniętej, położonej płasko trawy, przesuwaniem się ze szmerem po łydkach twardych badyli i nasiennych mioteł, ale nie pojawiło się więcej. Gdy w końcu zatrzymał się przy samochodzie, zobaczył, że biwakowe akcesoria zostały już zapakowane do bagażnika, a syn i kierowca byli znowu w samym środku rozmowy na jakiś techniczny temat; później dopiero zrozumiał, że automobilowy. Więc wsiadł do samochodu, wyjął nowego papierosa i czekał, aż oni obaj po pewnym czasie także wsiedli, kierowca zapuścił motor i ruszyli, a wtedy zapalił.

Jakieś pół godziny jechali tą samą drogą i, jakkolwiek wiedział, że to nie ich kierunek i że nie zbliżają się, ale oddalają od celu, nic nie mówił, mając wrażenie, iż kierowca robi to celowo dla niego. Gdy jednak stepowa równina zaczęła podnosić się nieznacznymi wzgórzami, skręcili ostro na wschód w drogę jeszcze gorszą, bardziej wyboistą, którą posuwali się wolno niemal z godzinę, mijając tylko wyładowane burakami cukrowymi ciężarówkami, długo zostawiające za sobą w powietrzu gęstą zawieszinę pyłu, zanim wreszcie dotarli do lepszej drogi, gdzie mijały ich niekiedy także samochody osobowe albo wojskowe łąziki i wtedy Daniłło, robiąc ruch głową na stronę, powiedział: — I tu kończy się ten pana step. — A po chwili dodał: — Muszę kiedyś sprawdzić na mapie, jak on się teraz nazywa. I czy się w ogóle nazywa.

Z kolei jechali wąskimi drogami wysadzonymi starymi drzewami, między którymi na poboczach były bezlistne już ostrężynowe wertepy albo zarosłe zrudziałą lebiodę i pokrzywami łobodowiska, przez przeświewlone słoneczną mgłą rzadkie drzewostany, a potem wśród pól (tam, gdzie były zaorane) czarnych i tłustych, ciężkich, zdających się odbijać światło, na horyzoncie widząc już skraje lasów bukowych odgradzających pola od doliny Seretu, którą przecięli po nowym, w starym miejscu, moście, i tu i tam osady, których nazwy — myślał dnia poprzedniego jeszcze — będzie mówił synowi jedną po drugiej, nie mówił jednak nic. Potem była do końca dobra szosa rozwijająca się wstęgą wzdłuż

rzeki Gniczej, przecinająca pofałdowaną, znowu czarną, obsychającą po orce w październikowym słońcu ziemię, z której wyrastały gdzieś tam kredowe wzgórza, puste, albo zwieńczone ruinami zamków lub klasztorów, a na polach pracowały traktory, posuwające się ospale jak żuki z warkotem motorów nie będącym w stanie — jak mu się zdawało — zmącić jesiennej ciszy, tak że wyraźnie słyszał bicie swego serca. Aż za jednym ze wzgórz pejzaż gwałtownie się zmienił, zarośli małymi, nieraz ze starości w ziemi osiadłymi domkami, typowymi dla przedmieścia, utopionymi wśród bezlistnych teraz prawie sadów, z polnymi drózkami zamiast ulic i opłotkami, i to tak właśnie zaczynało się jego miasto. I choć nie powiedział nic, synowi widać instynkt już to podszeptał, bo wychylił się ze swego siedzenia w tyle do przodu i zapytał: — To tu, nieprawda, tato, tu? — A on ze ściśniętą krtanią kiwnął tylko głową i patrzył na przesuwające się za szybą samochodu zaniedbane teraz wille, długie, koszarowe pawilony dawnej siedziby pułku ułanów, na kamieniczki i kamienice czynszowe, zrazu piętrowe, następnie, i bliżej centrum, tym wyższe, i nagle poczuł ulgę, że jego dom rodzinny nie istnieje, że spalony w czterdziestym czwartym roku, kiedy przewalał się przez miasto front, nawet w jego własnym wspomnieniu pojawia się najczęściej jako goła działka porośnięta zielskiem i że jedynie jako taka działka istnieje realnie w wyobraźni syna.

Znowu, jak z rana, kiedy zatrzymali się na przejeździe kolejowym, albo nawet wcześniej, w każdym razie, kiedy pierwszy raz ogarnąć zdołał tym jakimś wewnętrznym okiem, dalej sięgającym niż oczy rzeczywiste, cały ogrom otwierającej się przed samochodem przestrzeni, poczuł teraz też to coś niepokojąco nieuchwytnego, wprawiającego w drżenie wewnątrz, i szum w uszach, i ucisk na skronie, jakby zanurzał się w zbyt głęboką wodę i zaraz miało mu zabraknąć tchu, i siedział sztywno, nieruchomo, czekając aż coś się takiego stanie, co na powrót wyrzuci go na powierzchnię, aż syn położył mu na ramieniu dłoń. Uświadomił sobie wtedy, że już dobrą chwilę motor nie pracuje, że Daniłło wysiadł, jak zapowiedział wcześniej, aby zasięgnąć języka u mieszkającego tu jakiegoś znajomego, a samochód stoi na dawnym placu Mickiewicza, za Kolegiatą zaraz, prawie przy narożniku, gdzie był niegdyś „Handel żelaza”, przed sklepem zaś był postój dorożek konnych. Teraz na tym miejscu stały czekające na klientów dwie obdrapane taksówki, gdy zaś wysiedli z synem z „wołgi”, zobaczył, że w narożnej kamieniczce handlują tym samym towarem, co przed wojną i, choć nad drzwiami zmienił się szyld, to jednak na oblażącym z tynku murze mógł jeszcze odczytać niezupełnie zatarte nazwisko któregoś z poprzednich właścicieli — Marcus Plon; powtarzając je w myśli, przypomniał sobie, że je kiedyś znał.

Stał na brzegu trotuaru, rozglądał się i mówił do syna jakoś tak mechanicznie, monotonicznie, jakby wymuszonym głosem: — Tam na górze w lewo, to pozostałości zamku; pamiętasz, jego historię opowiadałem ci niejednokrotnie. I tych licznych oblężeń. Tego najślawniejszego z tysiąc sześćset siedemdziesiątego piątego roku, kiedy jedna dzielna kobieta ocaliła miasto, też. A na górze w prawo, to Monastyr Bazyliańców. Było to warowne niegdyś miasto, możesz mi wierzyć, choć niewiele z dawnej świetności pozostało. O tam, ta wieża jeszcze, ten kawałek muru obronnego... — a jego oczy zarejestrowały po kolei zębem czasu, jak się zdawało, nie tknięty masyw klasztorny Karmelitów, przebudowany jeszcze w czasach wojen kozackich według planów sławnego Columbaniego, pracującego dla panów na Zamościu, w którego murach mieściło się przed wojną miejscowe gimnazjum, i dalej w głębi ulicy kobietę z koszami w obu dłoniach, z ciężkim tłumokiem w chuście zawieszonym na plecach, wyglądającą jak dawne chłopki przychodzące do miasta na targ, w przeciwnym kierunku zmierzającego mężczyznę w nieznanym mu mundurze wojskowym, i gdy się obrócił nieco w bok, to również w końcu placu kamieniczkę, gdzie nad apteką mieszkała Lilith, bliżej zaś Kolegiatę, mieszczącą niegdyś Bibliotekę Miejską, z której wysypywała się właśnie gromadka młodzieży, i ciągi ulic od placu do ratusza, którego wieża wystawała nad dachy kamieniczek, od placu nad rzekę, a z drugiej strony w górę od placu do zamku i w stronę Monastyru też. Aż syn znowu położył mu na ramieniu dłoń i wtedy się ocknął.

— Nie przejmuj się, tato — powiedział niegłęboko syn.

Zanim jednak odpowiedział, zanim zresztą domyślił się, co znaczyła uwaga syna, zbliżył się Daniłło i powiedział, że jeżeli mają ochotę, mogą zejść do jego znajomego, coś zjeść nawet, będzie można mówić po polsku i że w klasztorze, który chciał z synem zwiedzić, jest teraz stacja sanitarno-epidemiologiczna, w pozostałej zaś części magazyny. Ale podziękował kierowcy za możliwość gościnny mówiąc, że lepiej nikogo nie nachodzić, nie trzeba ludzi narażać, chciałby od razu zejść do Karmelitów i potem jeszcze do kościoła, jeżeli nie zamknięty, a Daniłło kiwnął głową przytakująco.

Więc po przejściu kilkunastu kroków ulicą od placu, znaleźli się przed potężną bramą i sklepionym wejściem. I zaraz był dziedziniec wyłożony kamiennymi, startymi przez wieki płytami, spomiędzy których wyrastała trawa. Zobaczył na murze tabliczki i strzałki kierujące do wspomnianej przez kierowcę stacji sanitarno-epidemiologicznej, z której jednak przez szerokość dziedzińca nadlatywały teraz tylko zapachy kiepskiej kuchni i słychać było odgłosy poobiadowego zmywania naczyń. Potem zanurzyli się

w jeden z korytarzy, pozbawiony drzwi, i od razu powiało na nich stamtąd czymś mrocznym, spleśniałym i wilgotnym, a kiedy zaczął zaglądać przez szpary i szczyby w drzwiach do dawnych mnisich cel, w których mieściły się przed wojną ich ciasne klasy, zobaczył sterty zarosłych pajęczyną i kurzem, pod ścianami ułożonych książek i tamto pierwsze wrażenie rozpadu i zniszczenia pogłębiło się natychmiast.

Szedł spięty wewnętrznie (nawet nie rozdrażniony, nie zniecierpliwiony nawet, osłupiały raczej, jak gdyby skamieniały) i mówił sobie: tu spędzałem niemal codziennie wiele godzin przez wiele lat swego chłopięctwa, aż udało mu się zajrzeć do celi, w której uczył się przed małą maturą (wciąż ten sam widok wszędzie znajdując wewnątrz: sterty książek porośłych kurzem i pleśnią, okna z wybitą częścią szyb) i nie odczuwał żadnego wzruszenia, nic, suchość w gardle tylko. Aż doszedł do końca traktu i znowu było przejście w podcienie dziedzińca, widok na przeciwległe skrzydło, gdzie mieściła się stacja sanitarno-epidemiologiczna i, gdy uniósł głowę, zobaczył jak zimny powiew przeciagu poruszał zwisającymi ze sklepienia pajęczynami i że wokół zrujnowanych baszt krążyły, plegocząc, kawki. Gdy z tyłu dobiegła go rozmowa, zawrócił. Syn rozmawiał z kierowcą i jeszcze z kimś trzecim; podszedł, przywitał się (obcego mężczyznę przysłał znajomy kierowcy, u którego ten zasięgał niedawno języka, też mówił po polsku, choć był młody), i znowu poczuł na sobie wzrok bystry, napięty, ale bez śladu nieżyczliwości, na pewno tylko bardzo uważny. Zapytał go czy jest Polakiem, czy Ukraińcem (choć mógł się domyślić), tamten odpowiedział, że Ukraińcem i dodał, że jest kimś w rodzaju odźwiernego w magazynie i warsztacie stolarskim, pomieszczonym w przyklasztornym kościele, a potem wyjaśnił im pochodzenie zwalonych do zrujnowanej części klasztoru tysięcy książek. Że przed wieloma laty zwieziono je z okolicznych dworów i plebanii, także z wiejskich szkół. I zaraz poprosił, żeby szli za nim, śpieszył się, warsztat należał do Komсомола, późnym popołudniem po pracy zbierali się tam młodzi ludzie i majstrowali przy dekoracjach na obchody Październikowej Rewolucji.

Później, gdy tamten przez zakrytą wprowadził ich do środka, syn znowu został gdzieś w tyle, więc był szczęśliwy, że nie musi odpowiadać na żadne jego pytania, ani cokolwiek mu tłumaczyć. Szedł środkiem głównej nawy w milczeniu, omijając części rozebranej trybuny, stosy drewnianych rupieci, wiązek szturmówek, starych transparentów i innego śmiecia, i ze zdumieniem uświadamiał sobie (jeszcze niedawno nastawiony na niewysychający strumień powracających wspomnień, poddający się tym wspomnieniom), że raptem niczego sobie nie przypomina związanego z tym wnętrzem, choć tutaj kiedyś przystępował do pierwszej

komunii świętej, tu był bierzmowany, tu prawie co niedziele uczestniczył z rodzicami lub dziadkami we mszy, tu jakiś czas do mszy jako ministrant służył; nie przypominał sobie niczego, ani o niczym przeszłym nie myślał, i tylko, jakby ogluszony, błędził wzrokiem po szerniałym sklepieniu, na którym popołudniowe już teraz, ukośne i słabnące światło chciało w na wpół zatarte sceny biblijne barokowych fresków tchnąć na powrót pogodę, a nawet odrobinę tak charakterystycznej dla tamtej epoki radości. Biegące ku ołtarzowi dwa rzędy skreconych, marmurowych kolumn, gubiących się w górze w kapitelach oblepionych opuszczonymi gniazdami jaskółek, zdawały się zamaryłymi w bezruchu strażnikami jakiegoś zaprzeszłego, przypadłego czasu, którego ostatnie resztki kryły się w głębokim półmroku pod ścianami, w dole, na posadzce dogasały kolory okiennych witraży. W bocznych nawach, gdzie stłoczono na sztorc ustawione kościelne ławki, anioły przy ołtarzach i na cokołach miały obtłuczone nosy i obłamane skrzydła, ale obtłuczenia i obłamania nie były świeże, raczej sprzed lat, rany w marmurze bowiem dawno zszarzały lub zzieleniały, tu i tam zarastając delikatną warstewką porostów, i zewsząd znowu wionął ku niemu, jak przedtem w klasztorze, zapach starości, butwienia i rozpadu. I znowu, jak wtedy, jak wtedy, nie czuł nic, jakby w nim wewnątrz wszystko zastało. W końcu zawrócił.

Potem jeszcze w zachrystii pożegnał się z uprzejmym młodym mężczyzną, który wydawał się niepocieszony, że dał im tak mało na zwiedzanie kościoła czasu, zmuszając do pośpiechu, i już był z synem na zewnątrz. A potem stali w ciszy, która zdawała się spływać na miasto ze wzgórz i wdychali ciepłe i czyste, aromatyczne powietrze, w którym dominowała cierpkość schnących i opadających z drzew resztek liści. Wtedy syn zapytał twardo, trzeźwo jak dorosły, a nawet szorstko: — Czego się innego spodziewałeś, tato?

Ale już nie wiedział, czego się spodziewał. Przypomnił sobie wprawdzie, że chciał czymś szczególnym syna zająć, odwieść jego myśli od jego matki, której imieniny obchodziliby, gdyby żyła, właśnie tego dnia, ale wiedział, że motywacja ta była zapewne z gruntu fałszywa i że sam syn, być może, uznałby ją za pretekst tylko. Aż syn, rezygnując z odpowiedzi na pytanie poprzednie, odczwał się znowu:

— Jacy ludzie mieszkali tutaj, tato? Polacy? Ukraińcy?

— Polacy i Żydzi — odpowiedział. — Ukraińcy mieszkali na wsi, tu w mieście niewielu. Polacy i Żydzi.

— Jacy oni byli?

— Kto? Żydzi?

— No, chociażby, Żydzi...

— Inni.

— Spodziewałem się... że inni.

— Nie tak, jak myślisz. Inni nawet od Żydów dzisiejszych. Od tych, których ty znasz. Takich, jak tamci, już dzisiaj nie ma.

— Opowiedz.

— Tego się nie da opowiedzieć.

— Mógłbyś spróbować.

— Nie sądzę, że potrafiłbym — powiedział i zamyślił się. Bo czy mógł mu opisać wygląd starych Żydów ze straganów na rynku albo z tych sklepików, o których mówiło się „mydłopowidło”? W łapserdakach, w białych pończochach i kamaszach, z pejsami przypominającymi rurki skręcone, jak baranie rogi, o twarzach najczęściej bezkrwistych, smutnych, pytających? Czy młodych w melonikach na głowach, białych, bardzo delikatnych, o nerwowych, ruchliwych dłoniach, z puszką ciemnym nad wargami? Albo pulchne kobiety w czarnych perukach, strojne w aksamitne, różnokolorowe szubki, jak je obserwował przez okno, gdy szły do mykwy. A może Sądny Dzień z modłami starców nad rzeką? Albo Kuczki? Albo Święto Haman, kiedy przebieńczy podobni do katolickich, bożonarodzeniowych koledników, tyle że bez Anioła i Śmierci, pędzili z kijami od bożnicy ku rzecze za prześladowcą swych przodków, udając że go biją. A może potrawy żydowskie? Czulent, łejkich, kichałe, pipek gęsi z kaszą, kiszkę a farfel, rybę po żydowsku? Zresztą wszystko to była tylko czysta etnologia i synowi wcale nie o to pewnie chodziło. A może o to, co stało się potem? Jak raz na tydzień, albo dwa, hilfspolicjanci prowadzili ich ku stacji od koszar, gdzie zwiezieni z okolicznych wsi i miasteczek, czekali na transport? Trójkami, czwórkami. W długiej, czarnej kolumnie. Jak znikali już wcześniej w deszczu i wietrze tej wczesnej jesieni tamtego roku, zanim pochłonęły ich czeluści stojących na bocznym torze wagonów i mrok, z którego wyławiał nieraz w przypomnieniu znajome twarze, najczęściej jednak ostatnio tylko we śnie. Nie sądził, żeby mu opisać to wszystko potrafił. Ale powiedział:

— Nie wiem, o jakich miałbym ci opowiedzieć. O tych wyzwolonych z ich zakonu, niewiele się od nas różniących. Czy o tych z innego plemienia, mało znanych, choć żyliśmy obok siebie tak długo. Może kiedyś... — dodał na koniec nieobowiązująco i dalej w zamyśleniu.

— Wciąż wydaje ci się, że do pewnych spraw, żeby je pojąć, nie dorosłem... Tak nie jest, tato.

Alte właśnie przyłączył się do nich kierowca Daniłło i zawrócili na plac do samochodu. Gdy wsiadali, kilku wyrostków stojących przed sklepem żelaza, przypatrywało im się uważnie i czuł, że coś nieuchwytnego dla niego samego we własnym i syna ubiorze rzuca się obserwującym w oczy i pozwala im ich rozszyfrować, ale Daniłło machnął lekceważąco ręką.

— Zapomina pan, że tu nie Rosja. Mimo wszystko, nie Rosja — powiedział.

Na placu było teraz więcej przechodniów, a po przeciwnej stronie, przy przystanku autobusowym, ustawiła się kolejka wracających do domu z pracy ludzi, mieszkających pewnie w okolicy. Gdy ruszyli, poprosił kierowcę, żeby zjechał w głąb ulicy Karmelickiej; pomyślał, że synowi będzie się wydawało dziwne takie omińcie tego jednego właśnie miejsca. Lecz gdy się zbliżyli po minucie czy dwóch, ledwo je poznał: było zabudowane betonem i prefabrykatami. Pokazał synowi (nawet nie zwolnili), a syn powiedział, że tak jest lepiej, że taki właśnie jest ten dom, znowu twardo, trzeźwo, jak dorosły.

Potem jechali w milczeniu do końca ulicy i tam poprosił kierowcę, żeby skręcił nad rzekę, a tamten skręcił, o nic nie pytając. I dalej jechali ulicą na wale nadrzecznym, po drodze mijając kąpielisko, chaty w dolinie rzeki, które dawniej zamieszkiwali rybacy, teraz zaś nie wiadomo kto, postarzałe i zbiedniałe, później był most i woda pieniaca się w gałęziach i pniach zapartych o izbice u słupów wspierających przęsła, lecz nie powiedział kierowcy, żeby ich przewiózł na drugi brzeg. I musieli ujechać dobry kawał drogi jeszcze, zanim zobaczył sady, które należały do Cukiera i te dalej, które należały do dziadka zobaczył też. Wtedy dopiero poprosił o zatrzymanie samochodu. I choć nie dostrzegł tam żadnej chaty, nawet jakichś ruin chaty, powiedział do syna, że to właśnie tu, czego ten zresztą domyślił się sam, i chwilę stali obok samochodu, obaj patrząc przez rzekę w milczeniu na drugi brzeg, na drzewa, z których jedne wyrosły, inne zaś zasadzone na miejscu dawnych przed kilkoma zapewne dopiero laty, zdawały się te starsze doganiać (ale jedne i drugie odwiane były jednako z liści), i wydało mu się, że daleko za sadami, gdzie zaczynały się łąki, widzi także gładkie tafle powierzchni stawów, choć naprawdę wcale ich nie widział; słońce, które cały dzień było zamazane, teraz o zachodzie przebiło się przez mglisty obłok i świeciło rażąco, ukośnie, tak że nawet widzieć by ich nie mógł.

— Nie zostało śladu — powiedział.

— Może rozebrali...?

— Musieli rozebrać, skoro nie zostało nawet śladu — powiedział.

Więc później jeszcze, gdy powracali tą samą drogą do miasta, to myślał z sarkazmem o tym, że chodzi się po jakichś miejscach, po których przed laty się chodziło (których obraz, choć przyćmiony, pozostał w pamięci) i ma się wrażenie, że skoro się je poznaje, to wszystko, co z nimi związane, odżyje, że czas jak gdyby się cofnie, aż nagle okazuje się, że te miejsca są już zupełnie inne i obce.

— Mówiłeś, że pojedziemy na cmentarz — powiedział syn.

— Tak, właśnie tam jedziemy — powiedział i wyjaśnił kierowcy drogę.

— Czy mój dziadek, ten pogranicznik, też ma tam swój grób?
— zapytał po chwili milczenia syn.

— Co ty mówisz, chłopcze! Przecież wiesz, gdzie wywieźli wszystkich oficerów KOP-u, których dostali w swoje ręce. I że nigdy ich nie odnaleziono.

— Ja mówię: grób symboliczny.

— Nie, nic tam takiego nie ma. Wtedy nie było na to czasu, a później już nas tu nie było.

— Szkoda. Każda rodzina powinna mieć wspólne miejsce dla swoich zmarłych. Tak, jak to jest na amerykańskich filmach z pionierskich czasów.

Uwagę syna pominał milczeniem, ale odchylając, żeby na niego spojrzeć, głowę, spotkał się ze wzrokiem kierowcy Daniłły; jego twarz była niewypowiedzianie smutna. Syn zaś nie dawał za wygraną:

— Pradziadka i prababkę należałoby przewieźć do kraju. Przecież babka, czyli twoja mama, tato, była ich córką. Więc powinni spoczywać w ziemi tam, gdzie ich córka... — I po chwili namysłu dodał jeszcze: — Tam, gdzie też moja mama spoczywa.

— Oni tutaj wcale nie są sami — powiedział cicho i raptem jego myśli powędrowały gdzie indziej. Przyszło mu do głowy, że od rana usiłował zająć syna najrozmaitszymi sprawami, podróżą, mijanymi widokami, rozmową, wspomnieniami z przeszłości, pragnąc, aby zapomniał, jaki to dzień i czyje to od lat było w ich rodzinie święto. A ona, jego matka, cały ten czas w jego świadomości była. Lecz dodał tylko: — Wcale nie wiem, czy gdyby im się za życia powiedziało, że mają gdzieś w innym miejscu być pochowani, to życzyliby tego sobie. Nie wiem, czy tamtą ziemię uznaliby za odpowiednią...

Dopiero jednak, gdy powtórnie wjechali w miasto i samochód zaczął wspinać się dość wąską uliczką w kierunku wzgórza z ruinami pobazylińskiego Monastynu, syn się z nim zgodził:

— Może masz rację, tato.

On jednak się nie odezwał. Potem tylko kierowca Daniłło powiedział (ale nie do jego syna, do niego):

— Z naszych też wielu wywieźli. Nawet pan sobie nie obraża ilu... w następnych latach. I też zostawili swoich zmarłych. Więc może dla niejednych było lepiej, że nie dożyli tych dni wielkiego rozproszenia.

A on przytaknął:

— Może lepiej. — Ale po namyśle dodał: — Choć w jaki sposób umierali, to też trzeba pod uwagę wziąć, jeśli się tamte dzieje postawi na szalę.

— Nie umieli ze sobą żyć — powiedział na to kierowca Daniłło.

— Tak — przytaknął znowu.

— Bóg dał im dwadzieścia lat na próbę. Może chciał zobaczyć, co ze swoim losem zrobią. A oni nie umieli ze sobą żyć.

— O czym wy mówicie, tato? — zapytał syn.

Ale mu nie odpowiedział, nie musiał, byli już bowiem na miejscu. Wskazał kierowcy żelazną furtę w murze z poczerniałej cegły, sponad którego wystawały szczyry krzyży i daszki grobowców, ten zaparkował „wołgę” po przeciwnej stronie ulicy przed parterowymi domkami, powiedział, że poczeka, a oni wysiedli. Tu na połowie wysokości klasztorного wzgórza czuło się podmuch lekkiego chłodu i pachniało już nie kurzem drogi, nie rozoraną ziemią, ani dymem spalanych na polach liści i łętów, ale czymś nie dającym się nazwać, nawet bliżej sprecyzować, co być może było tylko wiatrem od kredowych wzgórz. Słońce chowało się już za horyzontem, a rozproszone w powietrzu światło było puszyste, miękkie i spokojne; niebo czasem przecinała szybko jaskółka, czasem tłustym lotem przesuwawa się po nim wrona.

— Idziemy? — spytał syn.

— Tak, idziemy — powiedział, patrząc w jedno z okien domku, przy którym zaparkowali, bo kobieta o młodej jeszcze twarzy, choć włosach zupełnie siwych, stała w nim, odgarniając firankę i spoglądała za nimi. Znowu przebiegł myślą tych ponad dwadzieścia lat dzielących go od czasu, kiedy tu był i kiedy nadeszły te rozpaczliwe dni — jak je kierowca nazwał — wielkiego rozproszenia, i zastanawiał się, kto z ludzi, których znał, zdołał je przeżyć. Jednakże nie znalazł w sobie teraz żadnej większej ciekawości — kto. Mimo to odwrócił się jeszcze raz, żeby na nią spojrzeć, lecz już jej tam nie było.

— Mówiłeś, że oni nie są tu sami — powiedział syn.

Minęli właśnie furtę (jej żelazny, zardzewiały skrzyp przesła-dował go kiedyś przez lata, teraz też, zdawało mu się, że rozdziera mu serce i zaraz pomyślał ze zdziwieniem, że to, co najdotkliwiej odczuwa, to są spotkania z rzeczami, przedmiotami, z widokami, wcale nie z ludźmi) i szli główną aleją prowadzącą wzdłuż ciągnącej się z prawej strony najstarszej części cmentarza, gdzie spośród świerków, krzaków jałowca i tui wychylały się tu i tam dobrze jeszcze zachowane familijne grobowce, po lewej zaś jej stronie tarasami wspinały się na zbocze wzgórza części nowsze. Skręcili w ścieżkę w prawo i podeszli prawie pod mur.

— Tak, mówiłem tak — powiedział. — Rodzice mojej matki pochodzili z tego miasta. Tylko mój ojciec ze stron jeszcze dalszych, zza Zbrucza. Przywędrował tu po bolszewickiej rewolucji. Pewnie ci już o tym mówiłem, nie lubię powtarzać. Więc

członkowie rodziny mojej matki, nie tylko dziadek mój i babka, czyli twoi pradziadkowie, także różne ciotki, różni wujowie i ich rodzice, ich dziadkowie, długo można by wyliczać... są tu pochowani — zatoczył dłoń szerokim kręgiem.

Lecz już byli na miejscu. I jeszcze kilka kroków i pod murem była ciężka płyta z piaskowca, nagrobek przez wiele lat tylko babki, ledwo przez niego pamiętanej z dzieciństwa, na którym później wyryto dodatkowo imię i nazwisko dziadka; płyta trochę zarośnięta po bokach zielskiem, ale nie za bardzo, tak jakby od czasu do czasu jakaś życzliwa ręka oczyszczała to miejsce. U wejścia zaś płyty stał surowy, z tegoż samego piaskowca wykonany krzyż, a za nim zaraz był cmentarny mur, ale jakiś krzew, teraz prawie bez liści (który pewnie sam się tam między murem a krzyżem zasiał), otoczył niemal cały krzyż gałęziami i zasłonił część napisu na płycie. Gdy się rozejrzył, zobaczył nowe groby w pobliżu, a więc wśród dawniej zmarłych leżeli również nowi umarli; pomyślał, że w zupełnej zgodzie i obojętności majestatu śmierci, i to nie odstępujące go przez cały dzień uczucie zanurzenia się w zbyt głęboką wodę nasiliło się na chwilę. Trwało chyba kwadrans, zanim, w braku sekatora, uporał się z krzakiem i zielskiem i odsłonił płytę. Syn stał oparty o sąsiedni nagrobek i bez słowa, ale i też i bez chęci przyjscia mu z pomocą, przyglądał się robionym przez niego porządkom. W pewnej chwili zapytał:

— Jaka ona była, tato? Prababka...

— Przecież widziałeś zdjęcia.

— Ale chciałbym usłyszeć od ciebie.

— Zmarła, gdy miałem dziewięć lat, niezbyt ją pamiętam. Była bardzo surowa. Myślę, że się jej bałem trochę. Bardzo surowa. Nie wiem, czy pradziadek był z nią szczęśliwy.

— A pradziadek? Jaki on był?

— Cóż ci mogę powiedzieć więcej nad to, co już wiesz. Był dobrym człowiekiem. Kochał życie... — powiedział do syna, czując, że nie mówi tego, co najistotniejsze, właśnie tego, na co pewnie syn czeka, i przez chwilę wydawało mu się, że widzi oczy dziadka jeszcze żywe, żrenice ufne, jasnoniebieskie, niby gazowe płomyki, co wesoło płoną nad palnikami, ale zaraz potem (czując tamten podmuch śmierci znowu) zobaczył twarz dziadka zakrzepłą, oczy zaś zupełnie białe, ślepe, kiedy dźwignął jego głowę ostrożnie za włosy, a one, te włosy, jakby były czymś żywym, ruchliwym, owinęły mu się wokół palców, oplotły mu natychmiast dłoń, wczepiły się w jego skórę. I zaraz jeszcze raz poczuł i zobaczył, jak jednym ostrym szarpnięciem zakrywa Małancę spódnicą nogi. Ale odepchnął od siebie te przypomnienia z siłą i gniewem, i klęknął.

Nie modlił się, ale myślał o jakichś sprawach odległych, przestłoniętych mgłą minionych lat, nie dających się uchwycić na dłużej, szybko uciekających i zastępowanych przez inne, ale wiążących się zawsze z dziadkiem (nie ojcem, ani matką, ani babką, właśnie dziadkiem) i jeszcze, że zawsze tak pewnie we wspomnieniach będzie, dopóki będzie żył. Miał wrażenie, że syn, który obszedł płytę nagrobną i znalazł się gdzieś z tyłu za nim, też klęknął, ale gdy się obejrzał, to spostrzegł, że stoi on prawie tuż za jego plecami i mu się z góry przypatruje w napięciu. Gdy spotkali się wzrokiem, syn zapytał:

— Co się z nim stało? Nie powiesz?

— Odrabali mu głowę — powiedział cicho, nie podnosząc się jeszcze z klęczek i na niego nie patrząc. Po chwili jednak się podniósł i odwrócił do niego. Syn stał nieporuszony, pobladły i jakby nagle bez oddechu, tak że wydało mu się, że musi mu pomóc, ale (nie wiedząc dlaczego) bał się poruszyć. Trwało to jednak niedługo. Usta chłopca zwolna zabarwiły się z powrotem i wtedy odwrócił się i poszedł. Więc potem już on, czując, że jest zupełnie sam (choć nigdy nie wierzył, że modlitwa gdzieś trafia i cokolwiek sprawia), modlił się naprawdę. I modląc się, myślał o dziadku, o różnych krewnych, których znał i których nie znał, i o Małance, której grób powinien był odszukać gdzieś na unickiej części cmentarza, ale było już zbyt późno, nocować tutaj w mieście nie mogli, więc tym bardziej potrzebna jej była jego myśl o niej, wspomnienie i gorąca modlitwa, i jeszcze o tym mieście myślał, o i całej tej ziemi, i o ludziach, którzy umieli tu ze sobą żyć i o tych, co nie umieli; o wszystkich, których niewidzialne dusze w postaci doskonałych monad nawiedzały i długo jeszcze nawiedzać będą tutaj miejsca ich kalekiej, niedoskonałej wędrówki doczesnej, śledząc ślady swej minionej egzystencji już bez bólu, który by rozdzierał serce, ale i bez radości, która by je ogrzała, coraz dalsi, coraz mniej pamiętani, coraz bardziej obcy; i potem podniósł się z klęczek, odruchowo otrząpał spodnie i, nie spojrzawszy więcej na mogiłę babki i dziadka, odwrócił się i poszedł ku wyjściu z cmentarza.

Gdy znalazł się na ulicy, na niebie w samej górze była jeszcze jasna smuga światła, niżej zaś kładła się już na horyzont gęsta czerń. Syn stał na jezdni nieopodal samochodu: ciemna postać na tle odbłasku z okien pobliskiego domku, gdzie zapalono już światła, z powiększoną głową, a nawet jakby cała powiększona. Przeszedł na przeciwną stronę jezdni i powiedział do syna cicho: — Jedźmy, wracajmy... — a kierowca Daniłko wyczytał to widząc z ruchu jego warg, bo wsiadł do samochodu i zaraz zapuścił motor.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Jacek BIEREZIN

SAN ESTEBAN, SALAMANCA

*W klasztorze San Esteban, w Salamance,
przybity do kamiennej posadzki
rozmyślałem o gotyckiej,
wysokiej, samotności Bogów.
Wysokiej jak kościoły Hiszpanii,
jak złoty ołtarz katedry w Sewilli.
I było niebo gwiaździste nade mną.
I było prawo moralne we mnie.
I nie poczułem się Bogiem.
Bogiem był ten długowłosy staruszek
niepogodzony ze światem,
stojący obok mnie i wsłuchany
w spóźnową ciszę dzwonów.*

lipiec 1988

BEZSENNOŚĆ, JAWA, SEN

*Śniła mi się jawa, jawił mi się sen.
Granica była do przekroczenia.
Nie było żadnych straży, prócz straży
wspólnego języka i własnego sumienia.
Przekraczałem granicę przez zieloną granicę,
na czarno, nie po raz pierwszy,
raz jeszcze
w stronę życia.*

Lizbona, październik 1987

Jacek BIEREZIN

Wacław IWANIUK

TRZY WIERSZE O ŚMIERCI*

MOJE OBLĄKANIE

*Czy to kogoś obchodzi
na jakiej kołymie przyjdzie mi umierać
jaka szerokość geograficzna wykopie mi grób.
Między pleśnią nocy a zgorzkniałym świtem
horyzonty, raz gasną a raz płoną w różach.
Na dalekiej Północy
płatwa lodu okrywa eskimoskie igloo
amerykańscy turyści polują na renifery
łowią w przeręblach fok spragnione powietrza
powszechny zawód mordowania — trwa.
Litość to dziś słowo bez treści
pieniacze w ekskluzywnych pismach
powtarzają je chętnie
gdy wychodzą ze swoich wież z kości stonowej
po laur sławy płacony w dolarach
porażeni prawdą
zamykają się z długopisem i wiązką papieru
zanim odejdą na śmiertelny złom.
My w tym czasie mamy na gardłach zaciśnięte smycze
rzeczywistość toczy walkę z nierezeczywistością
każdy jej ruch rani.
Ktoś kiedyś
powiedział za nas co chciał
martwymi sentencjami ogłuszył pokolenia
ktoś inny je zapisał
choć winę za Słowo
ponosi prawdopodobnie ród Ptolemeuszów.*

Toronto, 26 lipca 1988

ŁOBODOWSKI

*Teraz możesz być z brązu
Możesz być z marmuru
Teraz dojrzą cię pióra krajowych zamtuzów*

* Z tomu pt. *Moje obląkanie*

Nad Bystrzycą drzewa
 zaczną szumieć twoimi wierszami.
 W brzoje czy kamieniu
 Kraj przyzna ci odebraną miłość.
 Nie byłeś poetą dla krajowych tub
 Nie pisały o tobie ludowe tygodniki
 prawe i lewe.
 W cieniu słonecznej Andaluzji
 choć serce sercu nierówne
 wybrałeś Hiszpanię za drugą ojczyznę
 i wierność wawelskim grobom.
 Gdy druga wojna dobiegała do mety
 Lublin stracił swą twarz.
 Dziś wielu z opaską na oczach zmieniło opaski
 choć ani krzty skruchy na przyćmionych rzesach.
 Mieszkałeś w bezimiennej emigracyjnej ciszy
 na łasce własnych słów;
 wierzyłeś w imponderabilia
 w przeszłość pokrytą całunem milczenia.
 Twoją Beatrycze zamordowała hitlerowska kula
 zostały po niej i po tobie
 pęki wierszy podobne do pękla jej włosów.
 Ocalając siebie
 chciałeś uzdrowić powszechny stan niewiedzy
 oddzielić sprawiedliwych od niesprawiedliwych.

Toronto, 3 lipca 1988

ŚMIERĆ W PARYŻU

Pamięci K. A. Jeleńskiego

Moim słowom przydałby się zapach tamtej ziemi
 Blask półksiężycy nad łąkami snów
 Nostalgia naszych dróg w objęciach łopianów.
 Jesienne zgliszcza traw
 pod gilotynami wiejskich kos;
 żółte głowy snopów
 czekających na wnętrza stodół; konie
 o wyszczerkowanych do połysku
 wełnistych grzywach
 z ogonami podobnymi do słubnych welonów
 spadającymi z wdziękiem ku ziemi.

*Tak, moim słowom przydałby się
 żywy oddech warzyw
 czułych na ręce Matki
 bo przecież doczesność nie trwa wiecznie
 nawet gdy jej przydzielono klejnoty Paryża
 pałace, muzea, gotyckie kościoły; nawet
 gdy się jest czasem Księciem
 a czasem ubogim pariasem
 gdy czarne jaskółki znad mego Jeziora
 wiją swoje gniazda
 w kamiennych wnękach Notre Dame.*

*Tu i tam niski ich lot
 zapowiada zmierzch;
 głośne sprawy stają się ciche.
 Pod oknem brzęczą wieczorne owady
 Sucha twarz księżycy poleruje dachy
 uśpionych domów.*

*Co Mu zostało z Norwidowych snów
 gdy Jego czas zaniemówił.
 Cudza proza i cudze wiersze
 Nieszczęsne lata własnych niedokonań.*

Toronto, 28 września 1987

Wacław IWANIUK



HASKOBA Ltd.

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU PKO
BONY DOLAROWE -
KONTA „A” DEWIZOWE
 Zwykłe i Telegraficzne
LEKARSTWA - SAMOCHODY -
ŻYWNOSĆ - TELEWIZORY - VIDEO
EMERYTURY - SPADKI -
REPATRIACJE

42 LATA DOŚWIADCZENIA
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

ILE JEST SZWEDZKICH OPER NA ŚWIECIE?

Najpierw zagadka:

„Nasz rząd był wstrząśnięty masakrą i czeka obecnie na ustalenia wspólnej komisji historycznej polsko-sowieckiej, która jest w trakcie badania sprawy...”.

„Sprawiedliwość historyczna musi być wymierzona, ale powinno to nastąpić bez ulegania emocjom i w oparciu o obiektywne badania. Wspólna sowiecko-polska komisja historyczna jest w trakcie badania faktów”.

Kto to powiedział? W jakim języku? Kim są autorzy tych dwóch cytatów? A oto odpowiedź:

Pierwsze zdanie wypowiedziane zostało po angielsku w lipcu 1988 roku przez lorda Glenarthur, ministram stanu (wiceministrą) w Foreign Office i stanowiło odpowiedź na pytanie zadane przez innego lorda, Chelwooda w Izbie Lordów, dotyczące odpowiedzialności za zamordowanie oficerów polskich w lesie pod Katyńmi.

Drugie zostało sformułowane po rosyjsku w czerwcu 1988 roku przez Michaiła Gorbaczowa w czasie jego podróży przez Polskę. Miało potwierdzić nadzieje Polaków, że Gorbaczow wykorzysta tę okazję, aby powiedzieć prawdę, zrzucić wszystko na Stalina i oczyścić ten rozdział historii polsko-sowieckiej.

Kilka dni po fakcie, pod presją oburzenia i poruszenia, po listach ambasadora Raczyńskiego czy profesora Daviesa, drukowanych w *Times Independent*, rząd brytyjski zaczął, naturalnie, tuszować skandal. Onże lordowska mość Glenarthur pośpieszył więc z pisemnym wyjaśnieniem, że istnieją „poważne elementy oczywistości” wskazujące na odpowiedzialność ZSSR za katyńską masakrę. To już lepiej, trwało głupie 50 lat, ale się opłaciło: rząd angielski znalazł „elementy”...

Ten wymuszony akt skruchy nie powinien jednak zatrzeć wra-

żenia o zaskakującej zbieżności w dyktowanym „racją stanu” stanowisku Moskwy i Londynu wobec bolesnych spraw Polski w szczególności, ale i Europy wschodniej w ogóle.

Nie trzeba się na tych łamach i w tej rubryce rozwodzić nad przyczynami tej „konwergencji”. Zachód nie dopracował się — pisaliśmy już o tym wiele razy — jakiejś ogólnej teorii, a tym mniej strategii swej polityki wobec Wschodu. Zasadniczym i, wydaje się, wystarczającym fundamentem tej „polityki” są dobre stosunki między USA i ZSSR, nowa *détente*. Należy więc unikać wszystkiego co mogłoby tej nowej nirwanie zaszkodzić. W optyce takiej dyplomacji, prawda o Katyniu, czy o interwencji na Węgrzech lub Czechosłowacji, rewelacje o grudniu generałów w Polsce itp., niosą ryzyko destabilizacji, grożą niezdrowym podniecaniem tłumów, mogą zdenerwować Rosjan, sprowokować interwencję, zmuszać do wyboru, jak w grudniu 1981, „mniejszego zła”, wrzucić świat w powrotem w otchłań zimnej, albo i gorącej wojny. Na to, powiadają politycy zachodni, pozwolić nie możemy. Niech Polacy, Czesi, Węgrzy itp. nie przeszkadzają nam w budowaniu pokojowego i dostatniego świata. Jałta w jej sowieckiej wersji była, jest i będzie. Można, naturalnie, to i owo starać się poprawić i ulepszyć, ale nie należy odwracać priorytetów. *First things, first!* A co jest *first*, o tym decydujemy my. My, to znaczy oni.

Ludzie inteligentni wiedzą, że historii zastopować się nie da, świat nie stanie w miejscu, nawet dla Izby Lordów, że upieranie się przy *status quo* jest anachronizmem i że na długą metę utrzymać się nie da. I choć, jak mawiał Keynes, na długą metę wszyscy jesteśmy martwi, to są i tacy, którzy uważają, wraz z Waławem Havelem, że to nie ruch, a bezruch jest niebezpieczny, i w polityce i w biologii.

Bądźmy sprawiedliwi. Takie gąfy jak lorda Glenarthur są coraz rzadsze. Od chwili kiedy w 1968 roku francuski minister spraw zagranicznych, Debré, powiedział, że inwazja na Czechosłowację to zwykły *accident de parcours*, upłynęło sporo wody w Weltawie i w Sekwanie. Wtedy nikt prawie nie zareagował. Kiedy jednak, trzynastcie lat później, jego następca Cheysson, zapytany 13 grudnia 1981, co uczyni rząd francuski w odpowiedzi na pucz w Polsce, odpowiedział: „Naturalnie, nic”, zrobił się taka burza, że sam prezydent musiał przeproszać Polaków. I Francuzów.

Brzeziński chce iść dalej

Pewien postęp w tej dziedzinie jest rzeczywiście widoczny. Naturalnie wynika on nie tyle ze zmiany zasadniczej postawy polityków zachodnich, co ze zmian w sytuacji wewnątrz zainteresowanych krajów, ale gwoili *fair play* — trzeba nań zwrócić uwagę. Jeszcze niedawno np. były kanclerz RFN i b. przewodniczący Międzynarodówki Socjalistycznej mógł bezkarnie pojechać do Warszawy, spędzić tydzień z gen. Jaruzelskim i jego małżonką,

i nie spytać nawet co słychać w Gdańsku, w wielodzietnej rodzinie niejakiego Wałęsy, jego — Brandta — kolegi-laureata pokojowej nagrody Nobla. Dziś coś takiego trudno sobie wprost wyobrazić. Dziś już najbardziej nawet tchórzliwy minister spraw zagranicznych nie odważy się wyjechać z Warszawy bez *lunch'u* z Geremkiem i złożenia hołdu pamięci ks. Popiełuszki, a z Moskwy bez rozmowy z profesorem Sacharowem i kolacji z refuznikami.

Niektórzy uważają, że można i należy pójść znacznie dalej. Na przykład Zbigniew Brzeziński. Nawołuje on od dawna do wypracowania jakiejś wiarygodnej strategii wobec Europy wschodniej. Jego odczyt w Londynie w styczniu tego roku zrobił — i słusznie — wielką karierę. Gdzieś czytałem jego polską wersję, ale jej nie odnalazłem i sam musiałem tłumaczyć, na pewno gorzej.

Otóż Brzeziński wychodzi z tezy o osłabieniu pozycji ZSSR w konfiguracji europejskiej czy światowej, aby stwierdzić: „Nasz historyczny i strategiczny cel nie powinien polegać na wchłonięciu tego, co było kiedyś określane jako Europa wschodnia, przez to, co jest ciągle określane jako Europa zachodnia. Natomiast, postępujące wyłanianie się prawdziwie niezależnej, kulturalnie autentycznej, być może *de facto* neutralnej Europy środkowej stanowiłoby cel, moim zdaniem, atrakcyjny i osiągalny. Kiedy powiadam *de facto* neutralność, mam na myśli neutralność rzeczową, a nie neutralność formalną. Zjawisko to wyłoni się (bowiem) w kontekście istnienia systemu sojuszków, określonego przez geopolityczną rzeczywistość współczesnej Europy. Jeżeli miałoby do tego dojść, to powinno to być świadomie wspomagane (albo lansowane — *promoted* — po angielsku). Wspomagane poprzez ośmielanie (zachęcanie) politycznych zmian, podtrzymywanie politycznego ducha oporu, promowanie politycznego dialogu na Wschodzie...”

Doświadczenia lat Gorbaczowa przyznają rację Brzezińskiemu. Procesy, które doprowadziły Kiszczaka do spotkania z Wałęsą, Bałtów do proklamowania projektu autonomii (na razie) gospodarczej, a przede wszystkim do ogłoszenia tekstu tajnych klauzul do paktu Hitler-Stalin 1939 roku, Węgry do mianowania bezpartyjnego prezydenta i uruchomienia kapitalistycznych mechanizmów itd., rzeczywiście i całkowicie zasługują na poparcie, ośmielenie i pomoc. Ale nie tu i nie teraz czas i miejsce na omawianie zjawiska *glasnosti*. Tych, których to interesuje bliżej, odsyłam do znakomitego artykułu Waltera Laquera w miesięczniku amerykańskim *Commentary*. Dziś zadajemy sobie dwa robocze pytania. Pierwsze dotyczy ZSSR, drugie — Zachodu. Przyjrzyjmy się najpierw, w skrócie naturalnie, jak na korwulsje wschodnie patrzy Moskwa.

Doktryna Gorbaczowa

Uczestniczyłem niedawno w dużej konferencji międzynarodowej

wej, zorganizowanej przez „Wilson Center”, amerykański instytut, taki ośrodek myślenia nad losem świata w komfortowych warunkach w Waszyngtonie, na temat podziału Europy i sposobów jego przewyciężenia. Temat niby już kilkakrotnie omawiany, ale tym razem było nie tylko ciekawie, ale i przyjemnie, albowiem spotkaliśmy się w Dubrowniku, miejscu uroczym i symbolicznym. Otóż, oceniając tam procesy zachodzące na Wschodzie, ktoś użył formuły rzekomo rosyjskiej: „nic nie rośnie z góry na dół”.

Nie trafiła mi ona do przekonania. Gorbaczow bardzo dużo rzeczy zmienił właśnie z góry. M.in. w stosunkach między Moskwą a jej sojusznikami. Ja wiem, że kiedy niektórym ludziom się przewróciło w głowie, to w 20-tą rocznicę najazdu na Czechosłowację, sam Gorbaczow posłał sowieckie ZOMO, aby rozwiać pałami — jak kiedyś car nahajkami — złudzenia ekstremistów i agitatorów. Ale porozmawiać już można.

Genadij Gerasimow, rzecznik sowiecki, zapytany przez BBC, czy nie uważa, że nadszedł już czas kiedy ZSSR powinien skończyć z najeżdżaniem swych sąsiadów, odpowiedział, że: „Tak, nadszedł”. To już coś. Nawet Ligaczow dał się sprowokować. Działo się to co prawda w Paryżu, a nie w Moskwie, ale zawsze. Dziennikarz zachodni zapytał go nieco brutalnie czy Moskwa będzie interweniować w Rumunii jeżeli zajdą okoliczności jak np. w Czechosłowacji w 1968 roku. Rumuni — zapewnił w odpowiedzi Ligaczow — sami sobie poradzą. Gdyby jednak miało być inaczej, co jest oczywiście czystą hipotezą, to „w każdym razie nie mamy zamiaru interweniować”.

Leonid Jagodowski stoi niżej w hierarchii, ale warto go posłuchać. Jest on wicedyrektorem jednego z instytutów Akademii Nauk i „odrzuca kategorycznie” tezę o tym, że suwerenność jakiegos kraju mogłaby być ograniczona w imię dobra wspólnoty socjalistycznej. „Mogę powiedzieć — oświadczył Jagodowski — że gdyby dziś powstała taka sytuacja jak w 1968 roku nasza partia podjęłaby inną niż wówczas decyzję”. Najdalej poszedł prof. Bogomołow, dyrektor Instytutu Gospodarki Socjalistycznej Akademii w Moskwie i — rzekomo — doradca ekonomiczny Gorbaczowa. „W nowych okolicznościach, powiedział Bogomołow — zastosowanie tego co na Zachodzie nosi nazwę Doktryny Breżniewa byłoby nie do pomyślenia”.

Osobiście, jestem innego zdania. To, co Zachód nazywa Doktryną Breżniewa jest nadal — nie bądźmy naiwni — aktualne. To prawda, że Breżniew nie ma z nią nic wspólnego. W 1945, tuż po Jałcie, Stalin powiedział do Tito: „Ta wojna jest inna od wszystkich poprzednich. Tam gdzie sięgają nasze czołgi, tam sięga nasza ideologia”. Dziś nie ma już ideologii, ale czołgi zostały.

To powiedziawszy, coś jednak rośnie z góry w dół w tej dziedzinie. Gorbaczow mianowicie podniósł wyżej poprzeczkę, albo, jeżeli ktoś woli, przesunął dalej próg ewentualnej, zawsze możliwej interwencji sowieckiej. Ta poprzeczka czy ten próg nie są ani tak wysoko, ani tak daleko, aby stanowić dla bratniej pomo-

cy ZSSR przeszkodę nie do wzięcia, ale moment, kiedy taka decyzja zapadnie bardzo poważnie się opóźnił. Inaczej mówiąc, stopień tolerancji sowieckiej wobec ewolucji w krajach Europy wschodniej wyraźnie się zwiększył.

Oczywiście, dzieje się tak, bo wymaga tego interes ZSSR. Ale, niezależnie od czystości intencji Gorbaczowa, przywódcy krajów komunistycznych dysponują dziś sporym marginesem eksperymentu, mają nawet prawo do błędu (w pewnych granicach naturalnie), więcej pola dla inicjatywy własnej. Polska, Czechy czy Węgry nie są już zobowiązane do naśladowania przodującego modelu sowieckiego. Odwrotnie. Gorbaczow zachęca: bądźcie ostrożni, ale róbcie po swojemu. Nastąpił koniec jednego ze stalinowskich mitów: mitu monolitu. Nie trzeba już być identycznym, aby być w tym samym, kontrolowanym przez Kreml, bloku.

Dywersyfikacja w krajach Paktu Warszawskiego jest naturalnie starsza niż pojawienie się Gorbaczowa: polska opozycja, węgierskie reformy, rumuńskie ekstrawagancje. Ale nigdy pancerny blok nie był tak luźny. Płk Kukliński opowiedział w *Kulturze* jak to Ceausescu trzasnął drzwiami na posiedzeniu Paktu Warszawskiego. Było to za Breżniewa, ale rumuńskiemu stalinkowi włos nie spadł z głowy. Dziś odwaga jeszcze bardziej staniała. Nawet Bułagry stanęli dęba: niezniszczalny Żiwkow wyrzucił z politbiura nie konserwatystów, a reformatorów, przyjaciół Gorbaczowa. I też mu się nic nie stało.

Wszystko to nie prowadzi do wniosku, że Gorbaczow zwariował. On po prostu odkrył, że nowoczesny totalizm jest do pogodzenia ze stosunkowo wielką dozą swobody słowa, wolności dyskusji, bezczelności prasy. Inaczej mówiąc Doktryna Gorbaczowa, która nie anuluje a uzupełnia Doktrynę Breżniewa, polega na odkryciu, że od gadania system komunistyczny się nie zawali. Ktoś powiedział, że Pan Bóg kazał napisać święte księgi, albowiem inaczej nie mógł przekonać Żydów o swoim istnieniu. Gorbaczow wymyślił *glasnost*, aby przekonać świat, że komunistów nie tylko można już wpuszczać na salony, ale że świat zachodni powinien za to płacić w twardych dewizach.

Sankcje nie wyszły

A co na to Zachód? Czy Zachód — żeby wrócić w tym miejscu do bardzo inspirującego odczytu Brzezińskiego — próbował, a może i przystąpił już do „świadomego wspomaganiania, ośmielania politycznych zmian, politycznego ducha oporu” itd.?

Bądźmy sprawiedliwi (już o to wołam po raz drugi w tym artykule, muszę mieć nieczyste sumienie): Zachód próbował reagować. Przypomnijmy w skrócie, bo już o tych reakcjach pisaliśmy.

Pamiętacie sankcje moralne? Na przykład poafgański projekt Stanów Zjednoczonych bojkotu igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980? Nic z tego nie wyszło, bo ta próba bojkotu została natychmiast zbojkotowana przez większość krajów zachodnich.

Pamiętacie sankcje ekonomiczne, też poafgańskie, nałożone przez Cartera? Na przykład embargo zbożowe? Pamiętamy, a jakże. Zostało tak skutecznie złamane przez najbliższych sojuszników USA, że Reagan zdecydował się je odwołać. Nie bądźmy okrutni, nie przypominajmy nawet tragicomicznej afery rurociągu, budowanego przez zachodnie firmy dla transportu sowieckiego gazu. Oczywiście, nie należy przesadzać czy wyolbrzymiać wpływu gospodarczego embarga na politykę super-mocarstwa, które jest największym światowym producentem ropy, węgla i gazu. Nie mówiąc już o potęgze wojskowej. Takie super-mocarstwo nie ugnie się ani łatwo ani szybko przed szantażem ograniczeń handlowych, technologicznych czy sportowych.

Zresztą, nawet mniejsze mocarstwa albo całkiem nie-mocarstwa nie zawsze się uginają. Bałkańska satrapia prezydenta Ceausescu potrafiła, choć akurat w tym wypadku to szkoda, oprzeć się presji USA. Kiedy mianowicie Reagan zagroził odebraniem Rumunii tzw. klauzuli największego uprzywilejowania, czyli względnie sporych ułatwień ulg taryfowych z „zemsty” za łamanie praw ludzkich, Ceausescu wołał zrezygnować z „klauzuli” niż poprawić los swych obywateli.

Otóż, sankcje są nieskuteczne nie dlatego, że ZSSR (czy Rumunia) to takie wielkie mocarstwo, a dlatego, że Zachód to takie małe mocarstwo. Po to, aby jakiegokolwiek sankcje były skuteczne nie trzeba żeby ZSSR był słaby, ale trzeba żeby Zachód był mocny. A nie jest. Sankcje to skomplikowana sprawa, już kiedyś omawialiśmy to szeroko na tym samym miejscu. Dziś powiedzmy tylko, że i pod tym względem nic się niestety nie zmieniło. Aby sankcje były skuteczne, muszą być aplikowane w sposób skoordynowany, inteligentny, przemyślany, a przede wszystkim powszechny i solidarny. A to jest właśnie to, na co Zachód nie może, a często nie chce, się zdobyć. Jak dotąd nigdy ani za Hitlera, ani za Stalina, ani za ich następców kraje demokratyczne nie potrafiły i nie chciały podjąć solidarnej akcji karzącej agresora, napastnika, gwałciciela. Nie jest to kwestia możliwości technicznych ani moralności, jest to kwestia polityki, wyboru politycznego.

Otóż, na skutek faktycznej rezygnacji z moralnych czy ekonomicznych sankcji, Zachód pozbawił się możliwości korzystania z podstawowego instrumentu niegwałtownego nacisku na komunizm, ważnego sposobu wyrażenia weta wobec niezgodnego z przyzwyczajoną zachowania się państw komunistycznych w sferze międzynarodowej w ogóle, a praw człowieka w szczególności.

Pozostaje dziedzina w której, wydawałoby się, egoizmy narodowe czy brudne interesy odgrywają mniejszą, albo w ogóle żadną rolę. To sfera ducha. Czy istnieją możliwości solidarnego działania w tej dziedzinie? Jeżeli tak, to czy na tej płaszczyźnie istnieje więcej możliwości pokonywania przepaści między Wschodem i Zachodem, a zwłaszcza między obu Europami? Jak postępować? Nie ma tu łatwej odpowiedzi.

Z jednej strony, wymiany kulturalna i naukowa powinny być — tak przynajmniej wydaje mi się — rozwijane w maksymalnym

stopniu. Bojkot kulturalny byłby nie tylko niemożliwy do zorganizowania, ale i głupi. Kultura jest bowiem terenem, na którym podmiotowość indywidualna i narodowa, pamięć narodowa, oryginalność, szacunek dla prawdziwych wartości ludzkich, najłatwiej się afirmuje. Jak ktoś zauważył, powrót Europy wschodniej do Europy środkowej, lub do Europy w ogóle, to jest przede wszystkim sprawa kultury. Formuła jest naiwna, decydować będą, naturalnie, polityka i gospodarka, ale jest atrakcyjna. Wystarczy powiedzieć, że podczas gdy politycznie biorąc Europa środkowa przestała istnieć 45 lat temu, kulturalnie nigdy nie zniknęła.

Kundera powiedział, że „Europa środkowa to w znacznie większym stopniu sprawa kultury niż miejsca na mapie”. Mam szacunek dla literatury pięknej, ale muszę sprostować: mapa jest bardzo ważna, Polski nie można przenieść na mapę Ameryki Północnej (niestety). Kundera ma jednak rację. Dziedzina kultury to na pewno interesujący teren dla promowania — jak chce Brzeziński — „ducha politycznego oporu”. W tej dziedzinie jest łatwiej niż w gospodarce, technologii czy polityce, o wspólny wysiłek w tworzeniu czegoś w rodzaju „kulturalnej teologii wyzwolenia”, uruchomienia dynamiki emancypacji.

To zresztą dlatego komunistyczna władza tak wielką uwagę skupia na kontroli myśli ludzkiej, na wymianie czy ruchu idei, w większym stopniu szuka na granicach słowa drukowanego niż materiałów wybuchowych. Sam byłem dumny, kiedy organ partii władającej Polską od 45 lat, wymienił moją książkę wśród złapanych na granicy materiałów zagrażających ustrojowi i sile zbrojnej państwa polskiego.

Co robić?

Otóż, po to aby „teologia kulturalnego wyzwolenia”, albo wyzwolenie przez kulturę były bardziej skuteczne, przyniosły wyniki a nie frustrację, przybliżyły obie Europy, postawiły fundamenty, itd. trzeba sformułować kilka pytań, a potem, innym razem, zapewne, spróbować na nie odpowiedzieć.

1. Z cenzurą czy bez?

W Moskwie co roku odbywają się wielkie targi książki. Taki komunistyczny Frankfurt. Czy słyszał kto, aby władze niemieckie nie dopuściły na targi jakiegoś tytułu sowieckiego? Otóż cenzura sowiecka nie dopuszcza kilkudziesięciu czy nawet kilkuset tytułów amerykańskich, izraelskich, czy zachodnioeuropejskich. Co robić? — jak by zapytał Lenin. Czy mamy ze wstrętem odrzucić cenzurę, to znaczy postąpić tak jakbyśmy postąpili np. we Frankfurcie, zagrozić i, naturalnie, gdyby groźba nie poskutkowała, wycofać się z targów moskiewskich w ogóle? Czy też mamy zgodzić się na cenzurę, czyli postąpić tak jakbyśmy nigdy nie postąpili u nas w domu, nadstawić drugi policzek, wycofać „oskarżone” tytuły, po to aby ratować resztę i móc, mimo wszystko, być i wystawiać na targach?

Nie ma dobrej pozycji, oba warianty są szkodliwe dla wymiany kulturalnej i moralności w ogóle. W pierwszym przypadku; sowiecki (bułgarski, polski) czytelnik czy obywatel pozbawiony zostanie możliwości poznania choćby części najbardziej reprezentatywnego przeglądu zachodniego dorobku literackiego czy intelektualnego. W drugim przypadku, dajemy przykład kapitulacji przed cenzurą, czyli postępujemy w sposób, za który innych piętnujemy i do walki z którym stale nawołujemy. Ale u nich tam, po tamtej stronie — oficjalnie i otwarcie — i to bez bicia i strachu, po prostu kapitulujemy i poddajemy się najbardziej ohydnemu naciskowi totalizmu: cenzurze...

2. Czy zawsze amnezja?

Andriej Sacharow został zesłany do miasta Gorki. Był to akt głupi, to ich sprawa, ale przede wszystkim moralnie oburzający i intelektualnie nie do zniesienia. Albowiem, choć decyzja była polityczna i policyjna, to przecież poparta została przez ogromną większość członków Akademii Nauk ZSSR i innych uczonych sowieckich. Świat zaprotestował. Nastąpiła pozorna mobilizacja uczonych na całym świecie. Proklamowano bojkot wymiany naukowej między Zachodem a ZSSR. Nigdy do niego naprawdę nie doszło. Z tej samej przyczyny: braku woli wspólnego działania.

Znam bardzo wybitnych zachodnich uczonych, którzy odmówili złożenia podpisu pod petycją w sprawie Sacharowa, albowiem „dyskretna presja jest bardziej skuteczna”. Dyskretna, to znaczy taka, którą się wywiera przy okazji pobytów w Moskwie, spozywania kawioru i picia szampana, a nawet odbierania w tejsze Moskwie „zaszczytnych” tytułów z rąk sierot po Łysence, tych samych, którzy nie wahali się podpisać petycji popierających i uzasadniających zesłanie ich kolegi.

Sacharow wrócił do Moskwy nie wtedy, kiedy zjednoczony protest światowej nauki zmusił Moskwę do zmiany decyzji, a wtedy kiedy zwolnienie Sacharowa znalazło się na liście kroków niezbędnych dla uruchomienia gorbaczowowskiego otwarcia w kierunku własnego społeczeństwa, bez żadnego związku z problemami etyki czy praw ludzkich. Profesor Szazow był wśród wybranych kilkunastu uczonych sowieckich, autorów artykułu, chyba w *Izwiestiach*, denuncjującego Sacharowa. No i co? Ano nic. Jest ministrem Zdrowia ZSSR i to ich sprawa, ale został też laureatem pokojowej nagrody Nobla, jako jeden z współprzewodniczących stowarzyszenia lekarzy — przeciwników wojny atomowej. Niby taki kolega Wałęsy. Ja rozumiem, że światu jest potrzebny jakiś typ sposobu na manifestowanie moralnego oburzenia. Ale, czy musi się ono zawsze kojarzyć z amnezją? I automatycznym odkupieniem?

3. A może szantaż?

Wielka konferencja ekonomiczna została zorganizowana przez jedną z agend ONZ w Budapeszcie. Węgrzy, na nowym etapie,

dawali naturalnie wizy wjazdowe, nawet na granicy, wszystkim którzy o to prosili. Ale rząd w Pradze był sprytniejszy. Nie dał paszportu, czy też wizy wyjazdowej pewnemu specjalistcie czeskiemu, zaproszonemu do Budapesztu. Specjalista, znaczy się nie prorządowy i nie powinien występować w barwach narodowych za granicą. No i nie przyjechał. Zamiast niego zjawił się jakiś dostojny pan, niezaproszony, nie fachowiec, ale za to prorządowy.

No i co robić? Protestować i wyrzucić nieproszonego gościa? Ostrożnie, bo zachodzi ryzyko, że się cała delegacja obrazi i rząd czechosłowacki wycofa wszystkich. Protestować i samemu wyprosić całą delegację z Pragi? Ale wtedy zachodzi ryzyko, że wszystkie kraje wschodnie się obrażą i cała konferencja — jak ten pogrzeb w dowcipie — będzie na nic. Nie protestować i udawać, że się nic nie stało? A może w ogóle konferencję unieważnić? A może, z zemsty, zapowiedzieć, że ONZ nie będzie organizował żadnej konferencji w Pradze?

E, wszystko to mrzonki, marzenia ściętej głowy. Czy ktoś widział już, żeby ONZ protestowała przeciwko suwerennej decyzji suwerennego rządu w Pradze, czy gdzie indziej? A w ogóle, na pytanie jak doprowadzić do tego, żeby na nasze zaproszenie przyjeżdżali ci, którzy zostali zaproszeni, a nie jacyś inni, nieznanymi, podejrzani „pisarze” i „artyści”, nikt jeszcze nie dał rozumnej i realistycznej odpowiedzi.

Znam tylko jeden wypadek kiedy znaleziono właściwe rozwiązanie. Kilka lat temu opera Sztokholmu była zaproszona do Moskwy. Na skrzypcach grał były — z racji marca 68 — Polak, muzyk z Opery warszawskiej, wtedy jeszcze na papierach uchodzący politycznego. Rzecz działa się przed *glasnością*, no i KGB odmówił wizy. I wtedy cała opera powiedziała, że nie pojedzie i obejdzie się bez Bolszoja. Wiza nadeszła natychmiast, plan współpracy kulturalnej z zagranicą został uratowany.

Co to znaczy? Czyżby szantaż był jedynym skutecznym sposobem oderwania KGB i innych UB od kontroli czy nawet kierowania wymianą kulturalną? Ale ile jest na świecie oper szwedzkich?

Historia polskiego PEN-Clubu jest pod tym względem także pouczająca. I optymistyczna. Jest to, naturalnie, przede wszystkim zasługa członków władz polskiego oddziału: Żuławskiego, Międzyrzeckiego i innych, wśród których nie znalazł się — o ile mi wiadomo — ani jeden „łami-strajk”. Ale jest to także zasługa, i to jest tutaj ważne, władz międzynarodowego PEN-Clubu, które nie dały się nastraszyć, podtrzymały uznanie dla rozwiązanego zarządu w Warszawie, aż czasy się zmieniły i PEN-Club otrzymał zgodę na powrót do działalności na zasadach swojego, a nie generalskiego statutu. No, ale ile jest PEN-Clubów na świecie?

4. Wstyd w ambasadzie

Rząd warszawski zorganizował seminarium gospodarcze. Chciał się prawdopodobnie pochwalić wynikami któregoś tam etapu re-

formy ekonomicznej. Kilka wielkich gazet zachodnioeuropejskich przyjęło zaproszenie i postanowiło wysłać swych przedstawicieli naturalnie na koszt redakcji. Na kilka dni przed otwarciem seminarium, sprawa zaczęła przybierać kafkowski obrót. Mianowicie jednemu z dziennikarzy zachodnich Warszawa odmówiła wizy. Zaczynało być dziwnie, przecież rząd polski sam zapraszał, to był jego pomysł. Ale to nie koniec. Ambasada polska odmówiła ponadto — prawdopodobnie ze wstydu — odpowiedzi na list redakcji, tak aby nie było pisemnego śladu odmowy.

No i znowu nasuwa się wątpliwość: co robić? Czy wszyscy dziennikarze z kraju „obrażonego” powinni byli mimo tego pojechać do Warszawy? Czy można w takich okolicznościach domagać się solidarności od gazet pozostających normalnie, na co dzień, w warunkach konkurencji? Czy można sobie wyobrazić solidarność zachodnią, tzn. szerszą nawet od narodowej? Co jest ważniejsze: udział i obsługa ostatecznie nieciekawej propagandówki rządu polskiego czy też zorganizowany protest przeciwko uzurpowaniu sobie przez ten rząd prawa do selekcji dziennikarzy zachodnich wyznaczonych do obsługi organizowanych przez siebie imprez?

5. Konkurs na zakończenie

No, a ten przykład? Choć jest sprzed *glasnosti* i dziś chyba mało prawdopodobny, warto mu się przypatrzeć. Ambasada ZSSR w Brukseli zaproponowała telewizji belgijskiej zorganizowanie dyskusji z bawiącym tu wówczas profesorem uniwersytetu w Moskwie, specjalistą od... praw człowieka. Propozycja została uznana za atrakcyjną. Redakcja telewizji zaprosiła więc do udziału kilku dziennikarzy mniej lub bardziej zorientowanych w tematyce i szykowała nagranie. W przeddzień nagrania, ambasada uprzedziła jednak telewizję, że profesor przyjdzie do studia tylko pod warunkiem, że jeden z zaproszonych dziennikarzy zostanie wyeliminowany z „panelu”. Stała się więc rzecz niesłychana: ambasada obcego państwa chce decydować o udziale dziennikarza belgijskiego w programie nadawanym przez telewizję belgijską.

Jak powinna postąpić telewizja? Zrezygnować z programu? Wyrzucić za drzwi ambasadora z powodu niedopuszczalnej ingerencji? Poddać się szantażowi w imię spełnienia świętej „misji informacyjnej”? Jak powinni postąpić pozostali uczestnicy panelu? Trzasnąć drzwiami? Zostać i powiedzieć, że to draństwo? Zostać, nagrać i nic nie mówić? A może są jeszcze inne możliwości? Jak to się skończyło, na razie nie powiem. Ogłaszam konkurs na najlepsze zakończenie. Nagród za najlepsze odpowiedzi nie będzie. Ale pożytek będzie.

6. Między nami alumnusami

Jeszcze tylko jeden, ostatni, *cas de figure*. Wspomniałem już o konferencji w Dubrowniku. Było cudownie, ale nie wszystkim. Bronisław Geremek np. nie dojechał do Dubrownika. Rząd PRL

uznał mianowicie, że Geremek — choć prawdziwy *fellow* Wilson Center — nie powinien korzystać ze śródziemnomorskiego słońca. Nie dali mu paszportu.

Co miała *Wilson Center Alumni Association* uczynić? Wyciąć zaproszenie dla innego polskiego „*fellow*sa”, prof. Longina Pastusiaka? To byłoby nielegalne, sprzeczne ze statutem, według którego wszyscy alumni mają takie same prawa. I byłoby absurdalne, bo co winien — nieprawdaż — Pastusiak, że jego rząd i partia prześladowają Geremka? Pewnie, można żałować, że nie potrafił on przekonać (bo na pewno próbował) swego rządu, że nie wypada eliminować polskiego uczonego z tak poważnej imprezy, ale nie można go za to karać.

Racja stanu

Tak więc pytanie zasadnicze, jakie się nasuwa po lekturze tego, co wyżej brzmi: czy ultimatum i szantaż (gdyby były możliwe) stanowić powinny właściwą metodę rozwijania międzynarodowej współpracy kulturalnej? Czy taka metoda może skłonić rozmaite dyktatury do poszanowania podstawowych elementów zdrowego rozsądku, logiki, uczciwości i lojalności, a także wzajemności i równości praw w międzynarodowych kontaktach kulturalnych?

Czy jest w tej sferze miejsce na rozważania moralne, czy miał rację Malraux mówiąc, że „polityki nie robi się wyłącznie przy pomocy moralności, co nie znaczy, że łatwiej jest ją robić bez moralności w ogóle”? Jak, jeżeli jest to w ogóle możliwe, sprawić aby uczeni, pisarze, artyści (o prasie nie warto wspominać) potrafili działać w tych wszystkich okolicznościach solidarnie i razem, tak solidarnie i razem choćby jak w sprawach praw, taryf i tantiem autorskich?

„Czy, jeżeli na te wątpliwości odpowiedź jest pozytywna, to czy państwa — te „zimne monstra” — i ich rządy, bez których udziału nie da się przeprowadzić żadnej polityki, zechcą pogwałcić „rację stanu” i stanąć po stronie moralności i uczciwości?”

Brookings to inny znany instytut waszyngtoński. Niedawno wydali tam książkę zatytułowaną „Upadające imperium: zachodnie stosunki z Europą Wschodnią”. Konsensus autorów jest wyraźny: ponieważ imperium się rozkłada, to Zachód może i powinien przyspieszyć ten proces poprzez nawiązywanie intensywnych więzów z krajami Europy wschodniej, wzmaganie wpływów zachodnich w tym rejonie. Słusznie. Ale jak nawiązywać intensywnie? Ano.

W zakończeniu książki autorzy przyznają, że „brak, jak dotąd, w tej dziedzinie zgody co do celów i co do harmonizacji sposobów działania”.

Brzeziński (już ostatni raz do niego wracam) powiedział na zakończenie swego odczytu: „Nadszedł czas, aby nasze rządy

podjęły konsultacje w celu opracowania odpowiednich planów na wypadek możliwych kryzysów w Europie Wschodniej... Jeżeli miałyby, w przewidywalnej przyszłości, dojść do wielkich eksplozji lub nawet do nowej Wiosny Ludów w Europie Środkowej, to nie powinniśmy się dać zaskoczyć...".

Damy, damy...

Leopold UNGER

Pisane 7 września 1988 r.

Komplikacje niemiecko-niemieckie

... „Jak to jest właściwie z tymi podzielonymi Niemcami? Jak wyglądają wzajemne stosunki między obywatelami obu państw niemieckich? Co ich łączy, co dzieli? Co przeważa w konstatacjach politycznych — trwałość czy zmienność? Jak pogodzić strzały, oddawane z tamtej strony berlińskiego muru do uciekinierów na Zachód z kredytami, płynącymi równocześnie z tej strony na Wschód? Kto kogo tu przechytrza, kto zyskuje, a kto traci? I czy jest zwyczajnie tak, że 17 milionów Niemców z NRD chciałoby się przeprowadzić do RFN? ”.

Powszechnie wiadomo, że NRD nie rozpała na ogół ciekawości, jej potoczny wizerunek tonie raczej w szarzyźnie, zwłaszcza iż nieuchronnie prowokuje do porównań z Republiką Federalną. Także w opiniach samych Niemców pobrzmiewa nierzadko ton lekceważenia w stosunku do tamtej części kraju, co uchwycił i bezlitośnie zarejestrował dowcip, komentujący nazwę DDR¹ jako skrót od *der dämliche Rest* (żałosna reszta). Drażni i śmieczy tu równocześnie upaństwowione samorozgrzeszenie się z odpowiedzialności za hitleryzm, jakie niemal od początku lansowała w propagandzie NRD, obwołując się samozwańczo spadkobierczynią dobrych tradycji niemieckich, złymi zaś obciążając część zachodnią. Nawet w rozmowach z zaangażowanymi politycznie grupami tutejszej młodzieży na temat tamtejszej opozycji zdarzało mi się dosłuchać pewnej rezerwy — uważano bowiem odpowiednie ruchy w Polsce, Czechosłowacji czy na Węgrzech za oryginalniejsze i bardziej twórcze. Wreszcie i w oczach opozycjonistów z tych właśnie krajów antyrepresyjny ruch wschodnioniemiecki nie osiągnął dotąd wysokiej lokaty. Prawo do wyjazdów

1. DDR — Deutsche Demokratische Republik (Niemiecka Republika Demokratyczna).

jako główny, a w każdym razie do niedawna najbardziej spektakularny cel akcji politycznych nasuwa obawę, że ów prywatny akcent wewnątrzniemieckiego protestu przeciw reżymowi osłabi wrażliwość na ogólne interesy społeczeństwa. Przeprowadzka czy opozycja? Wentyl czy walka? Podpisuje się wprawdzie tu i ówdzie w bloku protesty i apele na rzecz Niemców z NRD — lecz hipoteza nieufności pozostaje.

Rosnie ona i wzmagą się ton rozdrażnienia, gdy pytającymi są Polacy. Z pamięci historycznej wyrasta przecież polska skłonność, bardziej lub mniej świadoma, do traktowania państwa wschodnioniemieckiego jako stalinowskiego wariantu dawnych Prus. W tych ramach obok najostrzejszych konfliktów politycznych utrwalają się urazy z życia codziennego. Dotychczas nie poszła w zapomnienie rozpętana kiedyś w NRD afera o wykupywanie tamtejszych towarów przez polskich tufystów. Afera dziś już nieważna, ale typowa, prawie naturalna w gospodarkach powszechnego, a zarazem nierównomiernego niedoboru. Lecz ze spraw stokroć boleśniejszych: Październik, „Solidarność”, paniczny strach władz wschodnioniemieckich w tamtych okresach, przenikający częściowo, co tu mówić, także do ludności, groźby tamtejszej prasy. Wiadomo, że w roku 1981 nie brakło w sztabie wojskowym NRD zwolenników interwencji w Polsce².

W atmosferze podobnych uczuć zapomina się często, że to właśnie NRD była trzydzieści pięć lat temu (17 czerwca 1953 roku) widownią pierwszego w bloku sowieckim buntu robotniczego, protestu przeciw ekonomicznej opresji, przekształconego z miejsca w błyskawiczne powstanie z wyraźnie formułowanymi hasłami demokracji i wolnych wyborów. Potem znany scenariusz: czołgi sowieckie w ataku, zabici, ranni, aresztowani. Nieprzetrawione dostatecznie ani w niemieckiej świadomości, ani w literaturze, wygnane na siłę z pamięci narodowej przez władze NRD, przywoływane do pamięci ze słabym tylko efektem w RFN.

Tak jest, gdy mowa o NRD oddzielnie. Gdy jednak następują zbliżenia różnej natury i z różnych okazji między państwami niemieckimi, wzbiera nagle ciekawość. Wszelkim międzynarodowym spotkaniom towarzyszy z zewnątrz nerwowy niepokój, czy aby wielkim celem „małych kroków” nie jest 80-milionowe państwo niemieckie w środku Europy. Wspomniany już Klaus Bölling opowiada, jak nieufnie odnosił się do wewnątrzniemieckiej polityki Kissingera, jak Giscard d'Estaing i Callaghan, sami od podobnych „pomówień” najdalsi, informowali jednak byłego kanclerza Schmidta o istnieniu określonej atmosfery, doradzając ostrożność. Gdy dodać słynne w swoim czasie westchnienie Andreottiego, by najlepiej podział niemiecki przypieczętować raz

2. Wymienia ich z nazwiska Klaus Bölling, były szef stałego przedstawicielstwa RFN w NRD, a przedtem i potem rzecznik rządu federalnego. Pisze on również, że ówczesny kanclerz Schmidt, świadomy analogii, jaką zapachniałoby wkroczenie wojsk niemieckich do Polski, przestrzegł listownie Honeckera przed „udzielaniem kierownictwu sowieckiemu podobnych rad”. (Klaus Bölling, *Die Fernen Nachbarn, in der DDR*, 1983).

na zawsze, gdy przypomnieć w końcu obawy wschodnich sąsiadów Niemiec — wniosek będzie oczywisty. Czy się to nazywa *incertitudes allemandes*, czy *deutscher Alleingang*, czy „odwieczna zaborczość germańska lub pruska”, czy też, gdy idzie o szerszą publiczność, nie nazywa się tego wcale. — ziarno niepewności obficie obrodziło w międzynarodowym odbiorze. I z takiego właśnie gruntu wyrastają pytania, przytoczone na początku tego tekstu.

Jakkolwiek by na nie odpowiadać, nie sposób pominąć owego fermentu antyrepresyjnego, jaki od pewnego czasu daje znać o sobie w NRD: Szerszy społecznie od tradycji oporu intelektualnego, uosobionego tu kiedyś w postawach Havemanna czy Biermanna, węższy niż np. baza społeczna powstania węgierskiego, Wiosny Praskiej, czy też w Polsce ruchu październikowego, a przede wszystkim solidarnościowego, ferment ten wzrasta — co byłoby też dobrze przyjąć do wiadomości poza granicami Niemiec, wbrew wszelkim zastrzeżeniom i sceptycyzmowi.

Od wejścia w życie *Ostpolitik* rząd RFN zarzucił doktrynę Hallsteina, czyli zrezygnował z reprezentowania w skali prawa międzynarodowego mieszkańców całych Niemiec. Przyjęcie NRD do ONZ stało się ostatnim aktem tej ewolucji. Ale równocześnie konstytucja zachodnioniemiecka uznaje wyraźnie długofalowe dążenie do jedności narodowej, ustanawia jedno ogólnioniemieckie obywatelstwo, dzięki czemu każdy mieszkaniec NRD może nabyć je automatycznie z chwilą przybycia na teren RFN. Z taką dwoistością, przy tak płynnym określeniu dwóch państwowych suwerenności i wobec zazębiania się jednej o drugą niełatwo oczywiście prowadzić politykę. Rząd federalny trzyma się jednak na co dzień twardych zasad, przestrzegając norm odrębności państwowych, ale podtrzymując zarazem w praktycznych zabiegach poczucie wspólnoty narodowej. W takiej koncepcji mieszczą się zarówno układy gospodarcze i wszelkie posunięcia kredytowe, jak inicjatywy ekologiczne, wymiana kulturalna oraz przede wszystkim nieustające starania o łączenie rodzin i wzmocnienie ruchu podróźniczego w obie strony. Mieszczą się w niej także, w następstwie Helsinek, protesty przeciw strażom na granicy i możliwości nacisku na rząd wschodnioniemiecki w obronie praw jednostki. Metodą cichej dyplomacji wreszcie rząd federalny prowadzi stałą akcję wykupywania od NRD więźniów politycznych lub osób więzieniem zagrożonych. Lecz ten splot działań nie służy żadnej konspiracyjnej strategii zjednoczeniowej, odwrotnie, wynika z założenia, coraz częściej zresztą deklarowanego, że zjednoczenie Niemiec nie jest w przewidywalnej przyszłości możliwe. Jest tendencja, by łączyć na tyle, ile się da, by w istniejących warunkach łatwiej było żyć.

Inaczej w NRD: łączyć na tyle, ile koniecznie trzeba, w uznaniu płynących stąd korzyści materialnych, dzielić ile się tylko da — oto tamtejszy kurs oficjalny. Na co dzień ilustruje tę zasadę względna giętkość lub sztywność w udzielaniu pozwoleń na podróże. Korzyści dewizowe z obowiązujących kwot wymien-

nych wzmagają ruch do NRD, a szczegółowy kodeks przepisów określa (zależnie od kategorii ludności) dopuszczalność wyjazdów do RFN (z założeń niskimi przydziałami pieniędzmi). Przy tym osoby politycznie niewygodne mogą liczyć na szerszy gest władzy, czasem aż tak szeroki, że „są wyjeżdżane” — wskutek czego np. szereg wybitnych pisarzy znalazło się wbrew swej woli na Zachodzie. Regularne przeniesienia na stałe do Republiki Federalnej, o czym była mowa, to problem oddzielny³.

Także w spekulacjach na temat podstaw własnej państwowości ujawnia się tendencja odgradzająca. Rząd NRD podkreśla definitywny charakter podziału Niemiec, sprzeciwia się zasadzie jednego obywatelstwa, zabranął nawet w filozofowanie o tworzeniu się dwóch odrębnych narodów niemieckich z czego zresztą potrosze się wycofuje. Polityka informacyjna polega na odgraniczaniu od informacji, co bywa tym śmieszniejsze, że całe społeczeństwo wisi każdego wieczora na zachodniemieckiej telewizji. O *pieriestrojce* prasa pisze ile musi, a przemilcza ile może — choć czyni to z podbudową „teoretyczną”. W artykule Honeckera, ogłoszonym w *Prawdzie* kilka miesięcy temu, apologii *pieriestrojki* w Sowietach towarzyszyło ostrzeżenie na użytek domowy, że żadnych wzorów nie można przenosić mechanicznie z jednego kraju do drugiego. *Pieriestrojka* przedstawia niebezpieczeństwo *tu i teraz* jako układ odniesienia dla żądań opozycjonistów.

Są to wszystko ramy ogólne i odgórne. Co się dzieje wewnątrz tych ram w każdym z dwóch państw niemieckich?

Ankiety socjologiczne w RFN dowodzą wyraźnie, iż społeczeństwo życzy sobie zachowania w konstytucji klauzuli o dążeniu do jedności. Między podstawową koncepcją państwową a poczuciem społecznym nie ma więc żadnego rozdźwięku. A jednak jest to harmonia szczególna: trwała i solidna, lecz wyzuta z treści uczuciowych. Rezygnacja przeszła w zasadę. Od polityków nie wymaga się przełomów, raczej pragmatyzmu w negocjacjach. Skoro i tak nic decydującego nie mogą zrobić, niech przynajmniej wytargują co się da w sprawach podróży w obie strony. Oczekiwania weszły od dawna w stadium „małej stabilizacji”.

Chwilowo, na długo, na zawsze? — nikt nie potrafi tego dziś przewidzieć. Zresztą także w wąskich granicach refleksje nad podziałem kraju nie są jednokierunkowe. Świadomość terytorial-

3. Przeciw odebraniu obywatelstwa Biermannowi w roku 1976 podniósł się w kołach intelektualnych szeroki protest. Spośród protestujących niektórzy wyjechali z czasem do RFN, niektórzy też zostali do wyjazdu zmuszeni. Dziś władze NRD uprawiają w stosunku do intelektualistów politykę pewnych wentyli, nie stosując np. kar wobec pisarzy, publikujących swe utwory w RFN, czy też przyzwalając na powstawanie kabaretów satyrycznych, względnie liczyńskich, lecz dostępnych zamkniętej, elitarnej publiczności.

W ogólnej skali wzrosła liczba zezwoleń na krótkotrwałe wyjazdy do RFN (najszerszej korzystają z nich renciści). W ciągu ostatniego roku ponad 3 miliony osób odwiedziły Republikę Federalną. Natomiast liczba legalnych przeniesień tu na stałe sięga kilkunastu tysięcy rocznie.

nej całości historycznej? Przecież po wojnie urodziły się już dwa pokolenia. „Nastąpiło tu — słyszę w rozmowie z kilkoma osobami — pewne wyrównanie. Choć nazwa *Deutschland* oznacza dla wielu głównie Republikę Federalną, to jednak dzisiaj już rzadziej niż kiedyś przywołany do mapy uczeń szuka Drezna „za granicą”. Lęk przed wzajemnym wyobcowaniem? „Opada wobec liczniejszych mimo wszystko spotkań”. Myśli o przyszłości, projekty, hipotezy? Czy i one uległy zamrożeniu? „Niezupełnie — twierdzi mój rozmówca, fizyk — pracuje się nad możliwymi modelami: integracji gospodarczej, federacji itd.”. Niemniej — jak wnoszę z wielu innych opinii — przeważa myślenie ostrożniejsze. Z czasem — przepowiada profesor gimnazjalny — czynnikiem wiążącym nas z NRD będzie tylko wspólny obszar językowy, jak z Austrią czy Szwajcarią”. „Nie — replikuje docent historii — świadomość ostatecznej odrębności państwowo-narodowej, spojrzmy np. na Austrię, wymaga całych epok”. „Pojęcie patriotyzmu nie służy nam do niczego — zauważa dalej profesor — skoro hitleryzm roztrząsał uczuciowe podstawy naszej tożsamości”. Historyk zastrzega się polemicznie przed pośpieszonymi wnioskami: „Nigdzie, w żadnej prasie ani w literaturze nie czytałem w ostatnich latach tyłu co u nas spekulacji na temat wygasania państw narodowych”. Zrozumiałam kiedy indziej, przy innej okazji, że z losów Niemiec w ostatnim półwieczu wysnuwają tu niektórzy, à rebours, niemal prawidłowość historyczną. Może to ucieczka od rozterki, może zniechęcenie trwałą tymczasowością, gdy Niemiec lub Niemka mówi sobie, że w myśl wyższej logiki jest właśnie tak, jak być powinno. „Przecież — argumentuje w tym duchu bliska nam osoba (wykształcona filozoficznie i działająca politycznie) — zjednoczone Niemcy trwały zaledwie kilkadziesiąt lat”. I powstaje sytuacja nieco paradoksalna. To ja ją zaczynam przekonywać, że właśnie czasy integracji wdrażają się szybko i trwale w pamięć społeczeństw i że skądinąd teza o nieuchronnym zanikaniu państw narodowych w dzisiejszym świecie nie jest aż tak zupełnie dokładna...

Ostrzejsze pragnienia i tęsknoty łatwiej wykryć w drugim państwie niemieckim, jak zawsze w warunkach ucisku, kiedy los zbiorowy ciąży nad losem jednostki każdego dnia. Nie będę opisywać codziennej mitręgi w życiu mieszkańców NRD, na pewno o niebo np. znośniejszym niż w Polsce, lecz na tyle dotkliwym, że jeśli się i tutaj, podobnie jak na Zachodzie w likwidację podziału nie wierzy, to się jednak bardziej pod jego brzemieniem cierpi ze względu na nierówność warunków życiowych. Nie znaczy to wcale, by aktywny protest ogarnął całe społeczeństwo. W ciągu dziesięcioleci znaczna część ludności wykształciła na użytek codzienny mechanizmy przystosowawcze, uciekając jak najdalej od polityki i zasztywając się prawie programowo w sferę prywatną. *Nischengesellschaft* — rozpowszechniona, a przez władzę nie lubiana nazwa — określa trafnie dominującą tu formę bytowania — szukanie miejsc na wpół neutralnych, gdzie nie trzeba manifestować pokłasku dla systemu, owych wnek, nisz właśnie, gdzie przy odrobinie szczęścia można się ochronić przed panują-

cym dookoła dryłem politycznym⁴. Wobec wyższej niż w innych krajach bloku stopy życiowej nisze wykazują się nawet w pewnych wypadkach względnym dostatkiem, z wszystkimi jego zewnętrznymi oznakami, od samochodu po własny domek, co prawda gorszej klasy niż na Zachodzie, ale zawsze... Wśród niespełnionych ale też nietłumionych marzeń góruje to jedno, z biegiem lat obsesyjne: „gdyby jeszcze tylko pozwolono nam wyjeżdżać od czasu do czasu”. Własnowolnie okrojony, ściśle konsumpcyjny model życia jest oczywiście wygodny dla władzy, spełniając funkcję wentylu i amortyzując przynajmniej doraźnie niezadowolone czy sprzeciw polityczny. Ponadto przy stagnacji obejmującej również tę najsprawniejszą jeszcze w bloku sowieckim gospodarkę, ostrożnie dozowane ułatwienia dla drobnej przedsiębiorczości prywatnej pomagają utrwać pozory równowagi. Podstawowe konflikty udaje się spychać pod powierzchnię. Nigdy po roku 1953 nie doszło tu — jak tyle razy w Polsce — do szerokiego aktów buntu społecznego z rozpaczy materialnej.

Bunty biorą się z innych źródeł i z miejsca ujawniają ostry podział pokoleniowy. „Burzą się przede wszystkim młodzi” — słyszę wielokrotnie od przybyszów z tamtej strony. Istotnie wchodzi w życie pokolenia mniej pokorne od poprzednich, „spacyfikowanych” psychicznie najpierw przez hitleryzm, potem przez masowy terror lat powojennych i przez reżym Ulbrichta. Pewne rozluźnienie w okresie Honeckera zaostrzyło jednocześnie wrażliwość młodzieży, jak to właśnie często bywa przy fluktuacjach wewnętrznych w ustrojach totalitarnych. Jeśli bowiem zelżała liczbowo represja karna — to nie osłabiła nękażąca, wszechobecna indoktrynacja. Oto tzw. *Jugendweihe*, ceremonia przysięgi na wierność państwu i jego ideologii, wprowadzona jako konkurencja dla konfirmacji (przestrzeganej tu zwyczajowo przez wierzących i niewierzących), usiłuje wyrwać już dzieci spod wychowawczego wpływu rodziny. Potem przez sito ideologiczne przechodzą będą wszyscy w szkołach ogólnokształcących i zawodowych, w gimnazjach i na uniwersytetach, przy wyborach perspektyw zawodowych i wreszcie w zawodzie. Nieubłagani, bezustannie czynny mechanizm selekcyjny, otwierający lub zamykający drogę zgodnie ze swymi regułami.

Zarazem świat zewnętrzny podszedł bliżej, wbrew strażom z muru czy z granicy. Jednych nęci jak dawniej barwnością i bogactwem, ale innych właśnie otwarciem, szerszym polem dla wyborów życiowych i decyzji. „Nie wiem co mnie tu czeka — powie świeżo przybyły na Zachód psycholog z poradni przeciwalkoholowej — ale tam krępowano mi oddech od dziecka”. Wentyle przestały wystarczać. I kiedy tysiączne tłumy młodzieży z wschodniego Berlina wałęsają pod mur, by słuchać koncertu Michaela Jacksona, zorganizowanego po drugiej stronie Bramy Brandenburskiej, to oczywiście wabi je tutaj, tak samo jak

4. Szeroko zanalizował to zjawisko Günter Gaus, również — przed Böllingiem — szef stałego przedstawicielstwa RFN w NRD. (Günter Gaus, *Wo Deutschland liegt, eine Ortsbestimmung*, 1983).

tamtym z Zachodu, bożyszcze „pop-u”, ulubiona muzyka i ulubiony styl masowej rozrywki, czy też powszechna młodzieżowa potrzeba rytmicznomotorycznych wyładowań energii. Jednak gdy padnie pierwszy okrzyk „precz z murem”, a w chwilę później pójdą w ruch pałki policyjne i zaczną działać gazy łzawiące — odezwie się u wielu spośród tłumu głębsza motywacja ośrodkowa: oto uciekli z nisz, nieupilnowani przez rodziców — i chcą rwać więzy.

Czy w imię wspólnoty narodowej? Uwaga, wokół nie widać sztandarów. Te nowe bunty, już nie sporadyczne, bardziej żywiołowe niż protesty intelektualne z lat siedemdziesiątych, wydaje się rodzić los społeczny, nie narodowy. Buntownicy marzą na ogół o przepuszczalności wewnętrznej granicy, nie o jej zniesieniu. Wszyscy oni — i demonstranci z coraz to innych miast, domagający się prawa do wyjazdów; i ci, co z transparentem „Wolność jest zawsze wolnością dla inaczej myślących” wdzierają się w rocznicę zamordowania Róży Luksemburg i Karola Liebknechta do oficjalnego pochodu w Berlinie wschodnim; i ci, co symbolicznymi naszywkami „Zamienić miecze na pługi” dokumentują żądanie *dwustronnego* rozbrojenia; i odmawiający służby wojskowej, i wreszcie inicjatorzy coraz liczniejszych akcji ekologicznych — wszyscy oni, różnymi motywami poruszani odstępujący od narzuconych doktryn, próbują z początku działać zgodnie z istniejącymi normami państwowymi i dopiero stopniowo, najczęściej na skutek represji, przełamują we własnej świadomości bariery systemu. Ale i wtedy jest to sprzeciw społeczny, nie irredenta. Chcą tamtym z Zachodu dorównać, oddychać swobodnie jak oni, biją się w nieskończenie gorszych warunkach o podobne w niektórych zakresach kierunki zmian, o te same prawa obywatelskie — niekoniecznie o ten sam paszport.

Oczywiście buntownicy są — jak zawsze — w mniejszości. Wśród niezaangażowanych, zwłaszcza ludzi młodszych o wysokich kwalifikacjach zawodowych, wzrasta tendencja do wyjazdów⁵ na stałe. Niektórzy podejmują po prostu ryzyko ucieczki, niekiedy przypłacanej życiem. Inni, narażeni na szykany, na zwolnienie z pracy po wniesieniu regularnego podania o wyjazd, na wieloletnie czekanie z przyklepionym stemplem „wroga”, na wysokie grzywny lub wręcz areszty, zasilą przejściowo, pod wpływem udręki osobistej, szeregi walczących o prawa jednostki grup opozycyjnych. Oba nurty — społeczny i prywatny — zbiegną się niby w jedno koryto, naprawdę jednak szybko się rozjeżdżą. I oto — zjawisko w NRD nowe — wśród zbiorowości ludzkiej, dla której z biegiem lat problemy barier wyjazdowych nabrały rozmiarów traumatycznych, powstają głębokie konflikty między wyjeżdżającymi lub pragnącymi wyjechać na stałe, a pozostającymi. Na zjazdach kościelnych toczą się na ten temat ostre i gorzkie dyskusje.

Od pewnego czasu Kościół ewangelicki w NRD⁶ wykracza poza ramy neutralności, jakie sobie kiedyś nałożył. Staje się nie tylko

5. Na obszarach NRD dominują protestanci.

przystaną dla prześladowanych, nie tylko wyspą wolności dla niepokornych intelektualistów i artystów, lecz bierze na siebie rolę rzecznika przemian demokratycznych i praw obywatelskich, piętnującego głośno nadużycia władzy i zawsze obecnego w sytuacjach konfliktowych, bez względu na represję. Obecnie znalazł się w obliczu dylematu: Jak żądając realizacji elementarnego prawa jednostki do wolnego wyboru miejsca zamieszkania, przeciwdziałać zarazem odpływowi do RFN wartościowych, a często w skali regionalnej niezbędnych sił zawodowych? W jaki sposób, by posłużyć się przykładem lokalnym, zapobiegać załamaniu się opieki zdrowotnej w małym miasteczku wobec trwającej tendencji wyjazdowej wśród lekarzy? Kościół działa — jak działać musi — dwustronnie: apeluje do władzy o zniesienie zakazów wyjazdowych i — dużo szerzej — o zapoczątkowanie przemian demokratycznych (powołując się nawet tu i ówdzie na *periestrojkę*), a do obywateli o dobrowolne porzucanie myśli o wyjeździe. Z ogłoszonych tekstów przytaczam zdania najbardziej typowe. Władzę usiłuje Kościół przekonywać: „Urządźcie to państwo tak, by chciano tu żyć. Im łatwiejsze będą podróże, tym mniej ludzi opuści kraj”. Obywateli zaś wzywa do refleksji: „Nasze społeczeństwo potrzebuje każdego człowieka, z jego talentami i uzdolnieniami. Każdy kto wyjeżdża, pozostawia tu innych w osamotnieniu. Każdy kto opuszcza bliskich i związanych ze sobą, tworzy lukę trudną do zapełnienia”. Ostatnio linia ta, połączona z ostrą krytyką konkretnych działań władzy, ujawniła się wyraźnie na zjazdach kościelnych w Halle i w Rostocku, w Görlitz i w Erfurcie. Lecz apele nie rozwiązują węzłów gordyjskich — artykuły sprawozdawcze z owych zjazdów w kościelnych czasopismach uległy konfiskacie.

W końcu pytanie. Ci, którym udało się pokonać wszelkie przeszkody i przybyli na krótko lub na stałe do Republiki Federalnej — jak się tutaj czują? Z tysięcy odczuć i odcieni odczuć można co najwyżej wyrwać kilka przykładów. Oto, gdy idzie o przybyśzów na krótko, zachłyśnięcie, zachwycenie kolorem i obfitością — ale też bywa, że hiper-konsumpcja drażni: „Po co sto gatunków sera, skoro wystarczy dziesięć?”. I okrzyk spod serca w karnawałowym pochodzie kolońskim: „Ja już tam wrócę — ale moje dzieci muszą się tu dostać”. I jak gdyby tolerancyjna obojętność na bezrobocie, które razı wprawdzie, lecz nie devaluuje tutejszego systemu. I zdumienie podczas podróży z rodziną przez Czarny Las i Alzację: „Nawet nie wiedziałem, że przekroczyliśmy granicę francuską”. I ośnienie wolnością słowa, choć jutro przy telewizji wystąpi chwilowa konsternacja: „Czy wasi politycy muszą się koniecznie tak bez żenady kłócić na widoku publicznym”? I „schizofreniczna” — we własnej ocenie — reakcja na tutejszą wizytę Honeckera: jakiś strzęp emocji, przyspieszenie tętna, gdy stał razem z Kohlem pod tą samą flagą — a za chwilę gniew: „Za dobrze go tu przyjmują, trzeba mu pokazać”!. I potem powtarzana przez wielu prawie zbiorowa opinia: „Honecker tutaj odtajał, odsonił mimo woli ten czy ów rys ludzki — i znów skamieniał natychmiast po powrocie”...

Dojdzie też wreszcie podczas kilkutygodniowych wizyt do nie spodziewanych obruszeń, ni stąd ni z owąd gość „wierzgnie” psychicznie. Nie wytrzyma ciągłego porównywania, nieodstępnego poczucia „gorszej sorty” i nagle, irracjonalnie, zacznie bronić „swojego”, tego co wczoraj gwałtownie atakował. Günter Gaus twierdzi, że gremialny odływ ze wschodu na zachód Niemiec, zaraz po wojnie, warstw zasobnych pozostawił ślady do dzisiaj, że NRD wbrew nowej stratyfikacji zawodowej i pozycyjnej nie straciła charakteru jednowarstwowej raczej zbiorowości tzw. małych ludzi, przy dominacji drobnomieszczańskich form życia.

Odmienne, raczej długofalowe procesy przeżywają przybysze na stałe. Zaczyna się od nostalgii, i tak zresztą częstej w kraju, gdzie już z przyczyn historycznych więź pochodzeniowa lokuje się w wąskoregionalnych granicach. U niektórych na nostalgię nakłada się, zwłaszcza z początku, ostra świadomość wyrwy spowodowanej tam, w pozostawionych grupach ludzkich. Analizując postawy świeżo tu przybyłych mówi się nawet po tej stronie o jakiejś ich solidarności — wbrew własnym losom — z tamtą jednostką państwową, nie z jej treścią oczywiście, lecz z faktem istnienia. Osobiście wierzę raczej w solidarność z udreżonym społeczeństwem, raz po raz nekającą tych, którym udało się przedostać indywidualnie „na słoneczną stronę życia”, jak sami to określają. Tak czy owak, czy sprawdzą się czy nie sprawdzą słoneczne możliwości, między „wydomowieniem” stamtąd a zadowoleniem tutaj czeka ich zwykle okres psychicznego zawieszenia. Przywykłych do międzyludzkiej bliskości w społeczeństwie bitym, zaskoczy międzyludzki dystans w społeczeństwie wolnym i zadowolonym. Spragnionych nieformalnej przyjaźni rozczaruje samotność z zaplanowanymi przerwami na konwencjonalne często kontakty towarzyskie. Spośród pisarzy czy artystów dobijają się wysokich pozycji tylko najlepsi, średnim nie wpisz się na żadne konto aluzyjności czy odwagi, premiowanej w kraju totalitarnym. Nawet na masowych imprezach młodzieżowych kwasy i zatargi przeciwstawia niekiedy hipisów stąd hipisom stamtąd, zapóźnionym w wyścigu mód czy muzycznych gustów. W końcu większość trudności i konfliktów rozwiąże czas — i panująca tu wciąż jeszcze, wbrew bezrobociu, wielość perspektyw. Wcześniej lub później nie tylko prominenci, także wykwalifikowani uczestnicy najróżniejszych grup zawodowych zbudują sobie egzystencję w warunkach nieporównywalnych z poprzednimi. Niemniej dla jednych ani drugich upragnione przybycie stamtąd tutaj nie było po prostu wygodną przeprowadzką z piekła do raju. Mimo znacznych ułatwień finansowych i organizacyjnych było też potrosze emigracją — w obrębie tego samego kraju i tego samego języka.

Jakie wnioski i prognozy? W NRD obok tendencji wyjazdowych, zwłaszcza wśród młodszych roczników, wzmagać się będzie równocześnie opór społeczny przeciw systemowi. Wydaje się, że w jednym z krajów, gdzie po śmierci Stalina przetrwał najdłużej duch stalinowski, władza nie zdoła już zdusić nacisku oddolnego. W Republice Federalnej natomiast, otwartej w tamtą

stronę konstytucyjnie, ustawowo i gospodarczo, ale równocześnie ogarniętej niedomogą emocjonalną wobec automatycznie przygar-
nianych przybyszy — nie widać na razie nowych pomysłów poli-
tycznego działania. Nabyta rutyna nie sprostą zapewne na dłuż-
szą metę naporowi wydarzeń stamtąd, a zatem na codzienne kło-
poty z integracją gotowa się nałożyć niedomoga polityczna. W tej
sytuacji — a zarazem w sytuacji europejskiego podziału — sto-
sunki między dwoma państwami i społeczeństwami niemieckimi
przedstawiają się jako spleciona sieć sił dośrodkowych i odśro-
dkowych, interesów to zbieżnych to sprzecznych, wreszcie odczuć
nierównomiernych, a w każdym razie o wiele bardziej wzajemnie
pokomplikowanych, niż to wygląda z daleka. Toteż nic w tej
chwili bardziej chybionego, niż wyobrażenie o jednolitej świadomości obu tych społeczeństw, zmierzających rzekomo jedną drogą
do wspólnego celu.

Kamila CHYLIŃSKA

12 lipca 1988

List z Londynu (17)

Jakiś czas temu Margaret Thatcher wygłosiła w Szkocji prze-
mówienie, w którym poruszyła problem wartości moralnych w
życiu nowoczesnego społeczeństwa. W jej rozważaniach znalazł
się passus dotyczący bogactwa jakim cieszy się Wielka Brytania
i większość narodów zachodniego świata. Wyraziła przy tym opi-
nię, że z moralnego a nawet religijnego punktu widzenia boga-
cenie się jest słuszne, bo nie tylko gwarantuje wysoki poziom
życia, ale także pozwala na pomaganie innym narodom, którym
powodzi się gorzej, które często bez pomocy z zewnątrz po prostu
umierałyby z głodu.

Mogło się wydawać, że wypowiedziany pogląd dzięki swej
oczywistości nie wywoła żadnej negatywnej reakcji, stało się jed-
nak inaczej. Pierwszy atak wyszedł z lewego skrzydła *Labour
Party*, które nie może darować konserwatystom sukcesów gospo-
darczych osiągniętych przez konsekwentną denacjonalizację
wielkich przedsiębiorstw i zachęcanie robotników do kupowania
akcji i uczestniczenia w ogólnym dobrobycie. To nie godzi się
z doktryną socjalistyczną, która każe zwalczać kapitalizm, chyba
że kapitał znajduje się w rękach państwa.

Krypto-komuniści nie byli jednak jedynymi, którzy zaatakowali
brytyjskiego premiera, odezwali się także anglikańscy bis-
kupi. Podrażniła ich ostrożna aluzja do filozofii religijnej (która
przecież do nich wyłącznie należy). Kiedyś konserwatywny pre-
mier, Edward Heath, słusznie potępił „odrażającą twarz kapitaliz-

mu", ale wtedy chodziło mu o nieuczciwe giełdowe machinacje i łatwe bogacenie się, biskupi wytoczyli jednak inną armatę. *Bogactwo demoralizuje, bieda uszlachetnia!* Takiego argumentu używają ludzie, którzy mieszkają w biskupich pałacach, jeżdżą wielkimi, służbowymi samochodami, korzystają ze wszystkich dobrodziejstw bogatego kraju i mieszają się do spraw politycznych, które do nich nie należą. Tylko wyjątkowe, najszlachetniejsze jednostki potrafią w biedzie zachować godność, nawet podnieść swój etyczny poziom. Miliony reagują inaczej: bieda demoralizuje, wyzwała najgorsze instynkty, podnosi ilość przestępstw, często prowadzi do zbrodni.



W Iecie Radic Moskwa, w angielskich audycjach, bąknęło kilka razy o różnych „białych plamach”, wydawało się, że lada dzień zostanie ujawniona prawda o Katyniu, więc Lord Chelwood, oddany nasz przyjaciel, postawił w tej sprawie rządowi brytyjskiemu wyraźne pytanie: kto jest winien tej zbrodni? Oficjalna odpowiedź, dana przez Lorda Glenarthur'a imieniem *Foreign Office*, brzmiała: „żadne z najnowszych badań nie przyniosło wyraźnego dowodu kto jest odpowiedzialny”.

A więc od 12 lat, od roku 1976, gdy stanął wreszcie na jednym z bocznych, londyńskich cmentarzy katyński obelisk, nic się nie zmieniło. Wtedy minister obrony socjalistycznego rządu, Roy Mason, powiedział wyraźnie polsko-brytyjskiemu komitetowi, że rząd nie może być na odsłonięciu reprezentowany, bo nawet tylko data, 1940 rok, już jest oskarżeniem, wtedy bowiem Katyń znajdował się w rosyjskich rękach. Zabroniono brytyjskim oficerom pokazania się w mundurach, nawet indywidualnie, wojskowa orkiestra, która obiecała udział, musiała się wycofać. Zgodzono się na napis, w którym słowo „Rosja” nie zostało w ogóle wymienione. Pod nagłówkiem *Katyn 1940* i polskim zdaniem „sumienie świata woła o świadectwo prawdzie”, znalazł się następujący tekst angielski (podaję polskie tłumaczenie):

„Pamięci 14.500 polskich jeńców wojennych, którzy zniknęli w roku 1940 z obozów w Kozieleksku, Starobielsku i Ostaszkuwie, a z których 4.500 zostało później odkrytych w masowych grobach w Katyniu, pod Smoleńskiem”.

Najnowsza odpowiedź brytyjskiego rządu przypominała mi rozmowę z profesorem Williamem Rose'm, kanadyjskim historykiem, którą odbyłem z nim w Londynie 40 lat temu. Profesor znał świetnie naszą historię, był w Polsce w roku 1920, rozumiał naszą mentalność i wszystkie nasze boleści i klęski, rozmawialiśmy oczywiście o wojnie, o Oświęcimiu, o Katyniu, o zbrodniach wojennych i profesor postawił przede mną problem. Polska przez kilka wieków wojowała z Turkami, ale gdy straciła niepodległość, Turcja była jedynym krajem, który nie uznał za borów: Polacy o tym pamiętali i gdy po Pierwszej Wojnie Światowej Polska odzyskała niepodległość, Turcy stali wysoko na liście polskich przyjaciół. Ale ci sami Turcy, po tejże wojnie, wymor-

dowali w okrutny sposób ponad milion Ormian. W Polsce od kilku wieków mieszkali Ormianie, częściowo się zasymilowali, ale w odrodzonym kraju wielu z nich zachowało swoją wiarę i odrębność narodową. Czy rząd ówczesnej Polski, na żądanie polskich Ormian, zgodziłby się oficjalnie potępić Turków za ich zbrodnię?

Wtedy podnieciło mnie, prawie oburzyło to pytanie. Mój ojciec był więźniem Starobielska i leży w podobnym do katyńskiego grobie, sam miałem ciężkie, wojenne przeżycia, nie byłem w stanie przyjąć rozumowania profesora, który patrzył na mnie łagodnym, pytającym wzrokiem.

Ale dziś, po tylu latach, rozumiem jego logikę, jego ówczesne smutne, melancholijne spojrzenie. I stanęło przede mną dalsze, dręczące pytanie. Czy wtedy polski rząd pozwoliłby Ormianom na postawienie pomnika ku pamięci ich pomordowanych przez Turków braci, na jednym z warszawskich placów, z pełnym napisem kto, kiedy i gdzie ich wymordował?

Świat nie kieruje się moralnością. Prywatnie powiedziano nam, że rząd brytyjski stanowczo woli poczekać aż sami Rosjanie wezmą na siebie katyńską zbrodnię.



Prawie rok temu pisałem o planowanej fuzji liberałów i socjaldemokratów i o budowie nowego stronnictwa, które, być może, potrafi zająć miejsce *Labour Party* i stworzyć realną przeciwwagę dla rządzących od lat konserwatystów. Fuzja nastąpiła, stworzono stronnictwo Socjalistyczno-Liberalnych Demokratów, ale bez żadnych widoków na sukcesy. Najwybitniejszy polityk średniego pokolenia, David Owen, odmówił współpracy i zachował odrębność Socjaldemokratów, którzy skurczyli się do trzech posłów w Izbie Gmin, tracąc jakiegokolwiek znaczenie. Dotychczasowy przywódca liberałów, David Steel, nie kandydował na przywódcę nowej partii, został nim Paddy Ashdown, ale nie ma on żadnej szansy na zostanie przywódcą opozycji, nie mówiąc już o wygraniu wyborów i funkcji premiera.



Wtedy, w tym samym numerze *Kultury*, przedstawiłem kłopoty angielskich rodzin z miasteczka Dewsbury, którzy odmówili posyłania swych dzieci do lokalnej, podstawowej szkoły w *Headfield*, w której 85 % dzieci pochodzi z Azji i gdzie poziom nauki jest bardzo niski. Prawo zabraniało im korzystania z imiej państwowej, bezpłatnej szkoły, wymagałoby to nowej ustawy, sprawa więc znalazła się w sądzie. Na szczęście rodzice wygrali, mogą posyłać dzieci do przez siebie wybranej szkoły, skończyła się improwizowana nauka w lokalnym hotelu, odczepiły się związki zawodowe, zamilkły oskarżenia o rasizm i elitarność.

W potrzasku

I

W prasie oficjalnej krytyczne opinie nie należą obecnie do rzadkości. W porównaniu z latami 70-tymi i ich pamiętną tyranią cenzury różnica jest uderzająca. Jednak lata ostatnie tylko w nikłym stopniu przypominają to, co działo się między sierpniem a grudniem. Wówczas stawką było nie zwykłe prawo do krytyki, lecz swoboda głoszenia poglądów, która wraz z nastaniem „Solidarności” urzeczywistniła się w znacznym stopniu.

Prasa odgórnie sterowana nadal jest głównie tubą władczej mowy do ludu. Przeważają w niej wtórne wobec miarodajnych czynników oceny sytuacji ogólnej, zaś analizy szczegółowe z zasady prowadzą do pomniejszania problemów poprzez wyrywanie ich z całości: „Istnieją nabrzmiałe problemy, ale to nie rzutuje na całość” oraz „Sytuacja ogólna jest poważna, ale idziemy we właściwym kierunku”. Konsekwencji w tym ani na lekarstwo, to typowa logika propagandy. Grunt, że daje się łączyć „czujną troskę” (znana od dziesięcioleci namiastka krytycyzmu) z urzędowym „trudnym optymizmem”.

Na pewien odzew mogą liczyć niektóre tygodniki społeczno-polityczne, obliczone na bardziej wymagającego czytelnika. Jest faktem, że znalazły one liczący się krąg odbiorców. Przyjętę wydaje się stanowić ich ton refleksyjno-krytyczny, który przy odpowiednim nasileniu sprawia nawet wrażenie niezależności. Krytyki są niejednokrotnie trafne, ale model krytycyzmu opiera się na mocno fałszywych podstawach. Dziennikarzom „stojącym na gruncie” wiadomych zasad nie wolno sięgać do ustrojowych korzeni polskiej katastrofy ani łamać tabu przy formułowaniu

ogólnych diagnoz. Sytuacje, w których muszą odwoływać się do domyślności czytelników, bywają żenujące, mają w sobie coś dziecinnego. Jeszcze bardziej żalony jest ich ascetyczny realizm, dochodzący do głosu natychmiast, gdy myślom zamajaczy jakiś zakazany owoc. W sumie mają do zaproponowania tylko rozsądek podniesiony do rzędu cnoty, co gorsza, cnoty z konieczności. Cierpią natomiast na uwiad wyobraźni, bez której można się obejść, gdy znane są odpowiedzi na zasadnicze pytania.

Odnosi się wrażenie, że realizm, pragmatyzm, kompetencje specjalistyczne i podobne cechy są w obecnym okresie wysoko cenione przez zainteresowaną życiem społecznym średnią inteligencję. Tym umownym określeniem obejmują ludzi z wyższym wykształceniem, utrzymujących się głównie z pracy najemnej w instytucjach państwowych, reprezentujących średnie horyzonty intelektualne (nie należących do elit twórczych). Czyli ci czują się pozbawieni wpływu na bieg spraw ogólnopaństwowych, dążą jednak do uzyskania większego znaczenia w bliskim otoczeniu, głównie w środowisku pracy. Do tej aktywności motywuje ich bezpośrednie zagrożenie statusu materialnego, narastające nieustannie przez lata osiemdziesiąte. Ponieważ nie są w stanie toczyć skutecznej walki ekonomicznej, próbują zabiegać o uznanie społecznej niezbędności swojej wiedzy i pracy. Istnieje też motywacja natury historycznej albo inaczej mówiąc tradycyjnej. W wieku XIX i XX biografia niejednego pokolenia polskiego układała się według schematu romantyczno-pozytywistycznego. Zryw pierwszej młodości, nieuchronna klęska, a później wspominki kombatanckie i praca organiczna. W każdym razie historyczne badania polskiej inteligencji wykazują trwałą obecność etosu pozytywistycznego w jej dziejach, w których zbyt często chcemy widzieć tylko las romantycznych sztandarów. Tzw. pokolenie „Solidarności”, liczne i pełne talentów, ma już zryw za sobą.

Otóż prasa, odgrywająca rolę myślącego partnera władzy, czasem nawet „opozycji wewnątrzsystemowej” w ramach „pluralizmu socjalistycznego” (godne odnotowania nowości w żargonie ideologicznym), stara się uchodzić za wyraziiciela i sprzymierzeńca średniej inteligencji. Apeluje do motywacji pozytywistycznych, co w pierwszym pogrudniowym numerze *Polityki* otwarcie, przy tym w sposób możliwie najbardziej szablonowy, po dziennikarsku naiwny, wypowiedział felietonista Passent. Felietonista Toeplitz jest najbardziej niezmordowanym rzecznikiem tego stylu myślenia. Prasa, o której mowa, przedstawia analizy, ekspertyzy i postawy stosownie konstruktywne, tzn. operacje myślowe czy działania w określonych z góry warunkach ustrojowych oraz wymogach ideologicznych. Nie jest też przypadkiem, że głos w obronie

ubożejącej inteligencji podniósł się w *Przeglądzie Tygodniowym*. Silną stroną tych czasopism jest styl redagowania i forma wypowiedzi dziennikarskiej. Mają one wyraźne oblicze, pewną godną pochwały, z fachowego punktu widzenia, spójność, giętki język, dynamizm pisarski, jakąś lekkość, dystans i wycucie ironii. Dla średniej inteligencji są to cechy tym bardziej atrakcyjne, że dziennikarze z tych redakcji nieraz mają sposobność prezentować się w roli specjalnych korespondentów, bywalców, światowców. W sensie intelektualnym ta światowość może budzić wątpliwości, zresztą nigdzie dziennikarze nie są mędrkami, ale fachowość niektórych z tych ludzi ma rzeczywiście format ponadprovincialny.

II

Jeśli powyższa, oparta tylko na doświadczeniach i obserwacjach pewnej grupy osób analiza jest choć trochę poprawna, to nasuwa się wniosek, że istnieje w Polsce kilka ważnych ognisk opiniotwórczych. Sprawa niby oczywista, ale nie tak często brana pod uwagę przez środowiska niezależne. Stąd niedostrzeżenie pstrego ekłektysty, który panuje w umysłach bardziej świadomej rzeszy obywatelskiej. Kotłuje się w nich argumentacja *Polityki* i *Tygodnika Powszechnego*, prymasowski realizm i radykalizm środowisk niepodległościowych, reformizm w wydaniu rządowym i rewolucjonizm burzący się w młodym pokoleniu. Z masy poglądów każdy wybiera pewną ilość i łączy po swojemu. Taki jest stan świadomości tych kilkuset tysięcy posiadaczy poglądów, rekrutujących się nie tylko ze średniej inteligencji, lecz również np. z elit robotniczych. Natomiast wielomilionowa część społeczeństwa, pozostająca w ostrym konflikcie interesów z klasą władzy, nie jest zobowiązana do wyznawania poglądów. Działa według bezbłędnego kierunkowskazu, czegoś w rodzaju intuicji ekonomicznej (nie mylić z „instynktem klasowym”). Zależnie od sytuacji i nastroju wypowiada zdania zasłyszane w telewizji, na ulicy, w fabryce, w kościele. Nie widzę w tym niczego dziwnego ani zasługującego na potępienie. Ten typ ludowej świadomości powtarza się w historii jako wykładnik upośledzenia społeczno-ekonomicznego. Stanowi potencjał jakiegoś elementarnego anarchizmu, zdolnego powoli skruszyć nawet najsilniejszą machinę przemocy. Niszcząc organizacyjną strukturę legalnej „Solidarności”, władza zwróciła przeciwko sobie nieubłaganą konieczność historyczną w postaci ludowego geniuszu biernego oporu, daru kombinacji, nieustępliwego egoizmu. W tym pojedynku system

na dalszą metę nie ma szans, lepiej jednak nie wyobrażać sobie katastrofalnych skutków takiej próby sił.

Nie ma potrzeby dowodzić, że oficjalnie wyrażana myśl niezależna odznacza się różnorodnością i że jej rozmaitość jest faktem korzystnym. W pewnych sytuacjach jednak myśl ta popada w rozstrój z powodu braku solidnych aksjomatów. Można wylizczyć szereg nerwowych i dwuznacznych reakcji na bieżące wydarzenia, które nieraz stanowiły trudną próbę dla opinii niezależnej. W sytuacji takiej jak obecna doraźność to poważna wada myślenia. Wydaje się np., że protest przeciwko sławetnym, corocznym „operacjom cenowo-dochodowym” był z jej strony zdecydowanie za słaby. Wykazano jakąś niepewność w obliczu pozornie niepodważalnej argumentacji ekonomicznej rządu. W publikacjach niezależno-oficjalnych dała się zauważyć bieganina myśli. Taka mniej więcej: „Dla społeczeństwa podwyżka będzie bardzo bolesna... ale skoro już władza zabiera się do działań reformatorskich, to trudno ustawić się na pozycjach zupełnej negacji... zwłaszcza że te działania nie są pozbawione uzasadnienia ekonomicznego... tyle że reformowanie nie powinno ograniczać się do podwyżek” — i tak w kółko.

Tymczasem, jak wiadomo od lat, operacje podwyżkowe pogarszają stan polskiej pracy, tj. ogromnego kompleksu spraw społeczno-wytwórczych. Nie poprawiają statusu organizacyjnego gospodarki, wymagają eksploatorskie cechy systemu, zaostrzają reakcje wyzyskiwanych na krzywdę społeczną, przede wszystkim zaś nie osiągają bezpośredniego skutku ekonomicznego, jakim jest walka z kryzysem pieniądza. W ich następstwie społeczeństwo pogrąża się w głębokiej anarchii. Wbrew propagandzie, to nie strajki anarchizują kraj. Do chaosu prowadzi rozplenione wskutek podwyżek ubóstwo, przed którym usiłują się bronić metodą strajkową silniejsze grupy pracownicze.

Wystąpienia majowe wykazały, że w obecnym momencie wiara w powodzenie strajku nie jest powszechna. Ale wzmożona praca także nie stanowi zachwycającej alternatywy. Podwyżki pozerają każdy wysiłek, więcej pracy oznacza więcej frustracji. Pozostaje trzecia możliwość: gigantyczna lewizna, wielka fucha, czarny rynek, wymiana różnych „świadczeń”, pokątna reprzywatyzacja społecznego mienia. Strajki odwołują się do poczucia sprawiedliwości, do należnych praw i uznanych od dawna w cywilizowanym świecie form działania społecznego, ale można je łączyć siłą. Żywiołu anarchii nie można zakuć w łańcuchy, jak żadnego żywiołu. Drakońskie kary nic nie pomogą; gdy zanika społeczne poczucie występności, demaskację przestępstwa przypisuje się pechowi, zaś skazany winowajca uchodzi za ofiarę.

III

Z tego społeczeństwa nikt, prośbą ni groźbą, nie wydusi zapału do poświęceń, gdyż mowy do pustej kieszeni są bezcelowe. Ale nie rozdzierajcie szat, o moralisci wszystkich obozów. Wielkie zbiorowości działają według naturalnych impulsów, a do anarchicznej samoobrony prowadzi nic innego, tylko pogwałcenie instynktu społecznego w wyniku nieznośnych warunków życia. Kto z was, panowie humaniści, głoszący wszechstronny rozwój człowieka, potępi ludzi ogarniętych panicznym strachem przed ubóstwem! Być może niektórzy wychodzą z założenia, że dopóki Marszałkowska różni się od ulic Kalkuty, to nie ma powodu do zmartwienia. Jednak kryteria ubóstwa zależą od czynników socjokulturowych. Przez kilkadziesiąt lat praca była w PRL powiązana z systemem społecznych zabezpieczeń, nazwanych szumnie w okresie pohelsińskim prawami człowieka. Społeczeństwo uzyskało zabezpieczenia za cenę rezygnacji z rzeczywistego stanowienia o sprawach polityki. Dziś praca nie zapewnia dachu nad głową, wykształcenie stanowi zasadniczą przeszkodę w awansie materialnym. Zdobycie podstawowych środków utrzymania wymaga rezygnacji z dbałości o zdrowie, higienę psychiczną, wypoczynek. Podstawowym problemem stała się żywność i nic dziwnego, że stanowi od dłuższego czasu hasło walki strajkowej. Bezdomność, ruina zdrowia, wszechobecna agresja, przepełnione więzienia, gwałtowny spadek aktywności kulturalnej są równie przekonującymi objawami ubóstwa jak żebranina. Wyspy bogactwa w tym powszechnym zubożeniu jeszcze pogarszają sprawę. Dopóki ucziwa praca nie zapewni najwykleszych dóbr, pomyślność materialna będzie raczej przedmiotem zawiści niż zachętą do wysiłku.

Anarchizacja społeczeństwa, przez ludzi dostojnych zwana demoralizacją, jest zrozumiała na podstawie tych samych praw historii, które pouczają, jak rozumnie sterować życiem zbiorowym. Niezbyt rozsądne, delikatnie mówiąc, wydaje się smętne powtarzanie aforyzmu margrabiego Wielopolskiego: dla Polaków można zrobić wszystko, z Polakami nic. To znaczy góra jęczy z wysiłku, a doły wszystko marnują. W wieku demokracji przeciwstawianie dobrej władzy złemu społeczeństwu wygląda na groteskowy anachronizm. Nowoczesne doświadczenia skłaniają raczej do poglądu, że nie istnieją społeczeństwa dobre ani złe, natomiast istnieją złe rządy i ustroje. Powszechna demoralizacja obciąża konto każdej władzy, natomiast w żadnym wypadku nie stanowi okoliczności usprawiedliwiającej.

Zastępowanie obiektywnego myślenia w kategoriach społeczno-politycznych puczeniami moralnymi jest w Polsce zupełnie nie na miejscu. Społeczeństwo jako masa długo akceptowało

ustrój, lecz stopniowo rozczarowywało się do kolejnych rządów. Ostatni garnitur władzy został z góry odrzucony, gdyż zaferował najmniej zdumień, akurat tyle, ile powstaje w umysłach zagubionych i zastraszonych ludzi. Podwyżka z roku 1982 pomogła przetrwać „Solidarności”, poza tym jednak przyniosła same fatalne skutki. Nie powiódł się skok w koszarowy komunizm, lecz aparat władzy został trwale zorientowany na tłumienie społecznego oporu, nie zaś na pozytywne działania reformatorskie. Z biegiem czasu pogłębiły się trudności związane z wadliwą strukturą produkcji i błędnym, zwłaszcza w warunkach postępującej ruiny systemu zabezpieczeń społecznych, sposobem kalkulacji płacy. Reżim wystartował w bardzo trudnych warunkach i doszedł do zachowań fiksacyjnych. Forsuje jedną po drugiej podwyżkę, a tymczasem dyrektorzy zakładów pracy nadal nie wiedzą, co wypada im robić w związku z reformą gospodarczą. Kompromitacja tej władzy łączy się już wyraźnie w świadomości społecznej z nieakceptacją ustroju. Społeczeństwo nie zna jeszcze metody walki o suwerenność, już jednak zdecydowanie wybrało ucieczkę od systemu, powiedzmy wolność negatywną. Jest zdeterminowane do szukania tej wolności w myśl zasady „cel uświęca środki” i nikt go nie zawróci z tej drogi. Moralista nic tu nie wskóra. Z niewygoda sumienia, odczuwaną skutkiem nieuczciwości, można sobie radzić. Z ustaleń socjologicznych wynika zasadniczy, pozornie paradoksalny, wniosek. Społeczeństwo polskie staje się bardziej religijne, lecz w zasadzie mniej chrześcijańskie, bowiem wzrost praktyk nie zapobiega obniżaniu się świadomości moralnej. Prawdopodobnie udział w niedzielnym nabożeństwie jest pojmowany jako uczestnictwo w zbiorowym oczyszczeniu, tzn. obrzędowym uwolnieniu od winy, nie wymagającym angażowania woli moralnej. Jest to postawa niekwestionowanie religijna, ale z chrześcijaństwem powiązana tylko formalnie. Nie czuję się ekspertem od polskiego katolicyzmu jako takiego i nie chcę rzucać cienia na religijność Polaków, jednak fakty są wymowne. Nie dziwię się, nie potępiam, współczucie zachowuję dla siebie.

IV

Opinia niezależna nie może być jednomyślna w kwestii, co jest dla Polski pożądane ze społecznego i narodowego punktu widzenia. Byłoby jednak korzystne większe porozumienie w kwestii, co jest możliwe, a także co prawdopodobne.

Nie biorąc pod uwagę żadnych nadzwyczajnych okoliczności, a tylko stanowisko władzy i oczekiwania społeczeństwa w danej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej (zależności sojusznice, punkt

widzenia opinii międzynarodowej), można przewidywać na bliższą przyszłość trzy warianty rozwoju wydarzeń.

a) Władza kontynuuje swoją politykę i realizuje dotychczasowe cele przy biernym zachowaniu społeczeństwa. Wariant najmniej prawdopodobny, gdyż dzięki istnieniu niezależnych ośrodków społeczeństwo, a ściślej pewne grupy reprezentatywne dla niego, będzie usiłowało organizować się z zamiarem stawienia oporu. Warto odnotować, że bardziej długofalowe cele rządu są również niezrozumiałe, jak metody działania niepopularne. Zapytałem przyjaciela robotnika, jak jego zdaniem władza wyobraża sobie Polskę po kryzysie. „Dobrobyt jak w Czechach, demokracja jak w ZSSR, a pierwszy sekretarz zostanie prezydentem”. Z prezentowanego tu punktu widzenia biernie zachowanie mogłoby być w obecnym stanie jedynie wynikiem przejścia społeczeństwa na pozycje totalnego biernego oporu, nie zaś skutkiem zgody na poczynania władz. Przewidywane następstwa to wieloletnia stagnacja gospodarcza, gwałtowny spadek wykształcenia i potencjału kulturalnego, głębokie zacofanie cywilizacyjne, eksterminacja przyrody, w końcu seria wstrząsów, jeśli nie rewolucja głodowa. Nie widać gorszej perspektywy dla Polski.

b) Co pewien okres powtarzają się protesty nie osiągające właściwego celu ekonomicznego lub społecznego, więc w zasadzie przegrane, lecz skłaniające władzę do korygowania polityki. Ten wariant jest najbardziej prawdopodobny, na dobrą sprawę już zaczął się spełniać na przełomie kwietnia i maja. Fala strajków nie doprowadziła do ponownej legalizacji niezależnych związków, i tu jest przegrana, jednak wywołała tak poważne wątpliwości odnośnie strategii podwyżkowej, że być może nowe takie operacje nie nastąpią. W każdym razie pojawiły się oficjalne krytyki tej strategii, np. ze strony rady gospodarczej przy Sejmie. Odstąpienie od ustawicznego zubożania społeczeństwa byłoby niemal zwrotem w polityce gospodarczej, ponieważ państwo, odczone bicia po kieszeni, musi się w końcu skupić na uzdrawianiu pracy. Tej alternatywnej linii władza boi się jak ognia; bo jest ona związana z ustępstwami politycznymi, z koniecznością rzeczywistej demokratyzacji. Na drogę uzdrawiania pracy i demokratyzacji może zatem popchnąć polskich decydentów tylko uporczywy ruch protestu (który władza będzie usiłowała stale kompromitować). Reżim będzie wymachiwał pałką, straszył „specjalnymi uprawnieniami”, lecz nie odpowie na protest zmasowanym terrorem, gdyż pozostaje nie tyle pod pręgierzem światowej opinii, ile pod czujnym okiem kredytodawców. Bariere strachu już przełamano, teraz trzeba tylko cierpliwości, umiejętności doceniania małych sukcesów opłaconych większymi porażkami.

c) Partia podejmuje wyzwanie historyczne, uznaje stan potrzeb społecznych i przy współpracy sił niezależnych wykorzysta-

stuje swoją „przewodną rolę” do urzeczywistnienia istotnych zmian ustrojowych w obrębie socjalizmu demokratycznego. Wariant mniej niż średnio prawdopodobny z kilku przyczyn. Przede wszystkim w PZPR i całym aparacie władzy panuje katastrofalna sytuacja kadrowa. Negatywne tendencje w tym zakresie nie przestały zachodzić od czasów gierkowskich, w okresie stanu wojennego znacznie się pogłębiły. Na szczytach władzy nie obserwuje się wysiłku programotwórczego, brak wizji. Ta martwota ideologiczna (tak różna od węgierskich niepokojów i poszukiwań) przy nerwowości w działaniu — to drugi powód do pesymizmu. Pewien doświadczony obserwator tak określił aktualny stan w czasie zaburzeń majowych: pod spodem monopartyjność i monoideologia, czyli wieczna istota komunizmu, po wierzchu mieszanina jaruzelsko-kiszczakowska, konflikt społeczny podobny do góry lodowej, siły pośredniczące między władzą a społeczeństwem przekonały się, że w każdej chwili mogą być odrzucone na margines.

Fakt, że władza przy każdej okazji zaklina się na obowiązujące prawo, ład konstytucyjny czy też rację stanu nie jest zachęcającym prognostykiem. Ten kurs na pryncypialność może być odzwierciedleniem instrukcji albo tylko sygnałów napływających z Moskwy. Metropolia zachowuje się bardzo spokojnie mimo że w obecnej sytuacji międzynarodowej nie jest zdolna do egzekwowania doktryny Breżniewa. Widocznie uważa, że pozycja partii w Polsce i na Węgrzech nie jest zagrożona, akceptuje prawomysłne reformatorstwo, a nie widzi głębokich sprzeczności, w jakich te połowiczne reformy ugrzęzły, tak jak nie widziała złożoności polskiej sytuacji w latach 1980-1981. W każdym razie związek między *pieriestrojką* a ruchem odgórną „odnowy” w krajach realnego socjalizmu pozostaje niejasny i chyba taki pozostanie dopóty, dopóki nie nastąpi seria wstrząsów w krajach, z którymi Gorbaczow wiąże największe nadzieje.

Nawet ludzie władzy przebakują dziś o pakcie antykrzyzysowym. Wydaje się jednak, że rzucając tę niezobowiązującą sugestię nie są szczerzy nawet wobec samych siebie. Nie są w stanie przyjąć do wiadomości ceny paktu, a tą ceną jest rzeczywisty kompromis. Ciekawe, że siły niezależne na dobrą sprawę nie ustaliły swego stanowiska w sprawie obopólnych ustępstw. Jak się wydaje, mają obecnie na celu legalizację „Solidarności”. Program na oko skromny, a przecież niezmiernie ambitny. Wolny związek jest możliwy i nawet, proszę mnie dobrze zrozumieć, sensowny jedynie w zupełnie odmienionej sytuacji polityczno-instytucjonalnej. Weźmy dla czystego eksperymentu myślowego najskromniejszy zestaw warunków, które powinny być spełnione, aby wlać trochę życia w obecny system.

Przed wszystkim powinna zapanować racjonalność gospodarcza w stopniu otwierającym polską ekonomię na jakiś nowy, oferowany tu i tam plan Marshalla, bo obecne łowy na kredyty do niczego nie prowadzą. Muszą zająć zmiany w duchu socjalizmu demokratycznego, tzn. przynajmniej znaczne poszerzenie platformy ideologicznej PZPR, uzupełnienie programów „stronnictw sojuszniczych” elementami prawicowymi, co nadałoby im pewien status opozycyjny i umożliwiło głosowanie na trzy listy w najbliższych wyborach do Sejmu. Tolerowanie pozostających na razie poza systemem ruchów politycznych i wolność stowarzyszeń stanowiłaby podstawę do rekonstrukcji, w nieco dalszej perspektywie, w pełni reprezentatywnego dla społeczeństwa układu sił. Powyższy hipotetyczny stan rzeczy został naszkicowany z uwzględnieniem „wiodącej” i inicjującej roli PZPR oraz obliczony na kompromisowe (nie wyobrażone, lecz rzeczywiste, wyrażane gdziekolwiek w Polsce) tendencje w środowiskach niezależnych. Można mniemać, że mniej więcej w takiej sytuacji legalność byłaby podstawą sensownej, nie zaś pozorowanej działalności „Solidarności” jako związku zawodowego. W tejże sytuacji, co wydaje się najważniejsze, mógłby za funkcjonować rzeczywisty pakt antykrzysowy. To wymaga obustronnego, bardzo bolesnego dla każdego z partnerów, kompromisu.

V

Poglądy wypowiedziane powyżej oczywiście podlegają, jak wszelkie poglądy, zakwestionowaniu, kto wie nawet, czy nie zostaną w pewnych kołach potraktowane jako kamień obraży. Tego, co tu napisano, nie należy jednak mylić z wszechstronnie udokumentowaną diagnozą. Chodziło o wykonanie analizy opartej na możliwie prostych i jasnych przesłankach. A mianowicie: doświadczenie życia codziennego nieustannie dostarcza przykładów anarchizacji społeczeństwa. Ten proces, straszliwie groźny z powodu naszych historycznych upośledzeń, jest powszechnie spostrzegany, a w opinii wielu osób ulega pogłębieniu i przyspieszeniu. Należy wnioskować, że przybrał on już charakter ogólnej ucieczki od systemu. W obecnej chwili nie istnieje ośrodek zdolny do zapanowania nad katastrofalnymi tendencjami w życiu społeczno-gospodarczym. Próby konserwacji systemu tylko sprzyjają tym tendencjom. Procesy anarchizacji są absolutnie możliwe do wyjaśnienia przy odwołaniu się do obiektywnych praw społeczno-ekonomicznych, jeśli próbom wyjaśnienia nie zostanie nadany jednostronnie ekonomiczny lub społeczny charakter, zaś do najgorszych błędów prowadzi polityczna instrumentalizacja kryzysu z

pozycji siły lub też propagandy. Obiektywne rozumienie zjawisk stanowi podstawę skutecznych działań — ten truizm został w PRL zlekceważony, ponieważ prawda jest ogromnie niewygodna dla władz. Nie chcą one bowiem uznać faktu, że działanie w pożądanym kierunku (zarówno po myśli społeczeństwa, jak i w interesie własnym) wymaga głębokiej przemiany struktur. Władza nie odzyska swobody manewru, jeśli nie pokusi się o rozsądną, chociaż niewolną od ryzyka konfliktu suwerenność wobec bratniego mocarstwa i jeśli nie wyzbędzie się egoistycznego, antagonistycznego pojmowania własnych interesów. Trudno przewidzieć, że podniesie się z upadku o własnych siłach. Bierność społeczeństwa, wynikająca w rzeczywistości z choroby na anarchię, będzie nadal chciała uważać za sukces polityki siły. Natomiast prodemokratyczny i ekonomicznie motywowany protest, który w kwietniu - maju objawił niewielki jeszcze potencjał, lecz bardzo bogate źródła, będzie zapobiegał podcinaniu gospodarczej żywotności społeczeństwa i stymulował przemiany świadomości klasy rządzącej. Sensowna, wydajna praca jest naszym społeczeństwu pilnie potrzebna, lecz przedstawianie protestu społecznego jako głównego sprzymierzeńca anarchii zasługuje w szerszej perspektywie widzenia na miano chwytu propagandowego.

Sytuacja jest bardzo poważna: z jednej strony anarchizacja z widmem staczania się w przepaść bezsilności i ruiny, z drugiej strony perspektywa kolejnych konfrontacji społecznych, zawsze przecież grożących nieobliczalnymi skutkami. Ta alternatywa wydaje się być nieuchronna, bowiem pasywna anarchizacja i protest są dwiema przeciwstawnymi tendencjami, wypływającymi ze wspólnego podłoża, mianowicie powszechnej ucieczki od systemu. A więc w obydwu działają siły społecznego żywiołu. W tak poważnej sytuacji każdy powinien wiedzieć i robić, co do niego należy. Polityków wszystkich ugrupowań obowiązuje profesjonalizm i odpowiedzialność, przywódców związkowych doświadczenie i rozważa. Opinia niezależna, która tyle dialoguje między sobą o dialogu władzy ze społeczeństwem, powinna mieć świadomość swojego podwójnego zobowiązania. Po pierwsze musi wносить świadomość demokratyczną w ruch społecznego protestu, po drugie musi przedstawiać całemu społeczeństwu, jako wynik stałego kontaktu z tym ruchem, obiektywne diagnozy istniejącego stanu oraz wypracowywać dojrzałe wizje bliższych i dalszych przemian. Wypada jeszcze wspomnieć o funkcji mediacyjnej, którą środowiska niezależne na pewno nieraz będą musiały spełniać. Dobrze by było, gdyby niektóre misje pojednawcze nie nasuwały na myśl starego porzekadła „konია kują, żaba nogę podstawia”. Bywało niestety, że misje dobrej woli okazywały się posłannictwem złudzeń, albowiem czyste intencje wolą chadzać w parze z pobożnymi życzeniami niż z politycznym wyczuciem.

VI

Cały czas mówi się tutaj o myśli i opinii niezależnej w ścisłym sensie. Chodzi o ludzi nauki, kultury, dziennikarzy, organizatorów wolnego życia społecznego, ogólnie mówiąc o przedstawicieli inteligencji twórczej, którzy nie widzą szansy dla Polski w obecnym ładzie ustrojowym, ale też, mimo sympatii dla tego czy innego programu polityki opozycyjnej, nie są eksponentami określonego pozalegalnego nurtu. Czują się spadkobiercami „Solidarności” rozumianej nie jako dziewięćmilionowy taran roszczeniowy, ale jako najwyższej kilkuset tysięczny, w zasadzie interpolityczny ruch na rzecz demokracji w dziedzinie prawno-politycznej i społecznej. Ludzie ci obdarzeni są osobistym autorytetem, czasem nawet charyzmatem; niektórzy zaś, ci bez szeroko znanych nazwisk, zyskują autorytet, działając w kręgu niezależnych, jednak zalegalizowanych lub oficjalnie tolerowanych inicjatyw społecznych i kulturalnych. Do strefy niezależnej przesunęły się najbardziej twórcze i czynne siły umysłowe społeczeństwa. Tu lokuje się lwia część inteligentnych elit. O tym, jak bardzo system rozszedł się z elitami umysłowymi, świadczy grono „intelektualistów partyjnych” i skład obecnego Sejmu. W rządzie zasiada wprawdzie pięciu profesorów, lecz starzy praktycy uważają to za niebezpieczny objaw. I rzeczywiście, mieliśmy okazję przekonać się, do czego prowadzi naukowa arogancja połączona z bezdusznym wyrozumowaniem.

Dopóki obecny system posiada cechy trwałości (dzięki mocnym „fundamentom wewnętrznym i zewnętrznym”, jak to ujął w właściwą sobie inwencją Jerzy Urban) nieobecność intelektualistów przy boku trójjedynnej monopartii nie jest zjawiskiem zupełnie korzystnym. Ale to mniejszy problem, nam wypada troszczyć się przede wszystkim o pomyślność myśli niezależnej. Znalazła się ona w sytuacji poważnej próby. Można choćby wspomnieć o tym, że utrzymywanie przez nią niezależno-tolerowanego statusu wymaga umiejętnego korzystania ze swobody krytyki w warunkach braku wolności głoszenia poglądów, tzn. wymaga liczenia się z presją ideologiczną władz i nierządkiem z cenzurą. Ten stan rzeczy ma nawet pozytywną stronę, w pewnym sensie pomaga w zachowaniu realizmu politycznego, ale zdecydowanie utrudnia jasne wyrażanie się. Nie każde niedopowiedzenie będzie w lot chwytane przez słuchaczy i czytelników. Nie ma rzeczywistej wolności słowa, istnieje więc, zwłaszcza pod brzemieniem wielkiej niepewności jutra, zamęt w umysłach, o którym wspomniano na wstępie.

Wit PROMIŃSKI

Nomenklatura i bezpartyjni (dok.)

POWRÓT SPOŁECZEŃSTWA CYWILNEGO

*„Bo cóż draży kształt przyszłych przestrzeni
Jak nie rzeka podziemna?
Groty w skałach wypłucze, żyty złote odkryje...”*

Jacek Kaczmarski, *Źródło*, 1978.

W żadnym z krajów, które opanował komunizm, nie obyło się bez swego rodzaju *Big Bang*, to znaczy bez potężnego uderzenia we wszystkie zastane grupy społeczne, po to by je rozbić, rozproszkować i z powstałej miazgi stworzyć potem nowe struktury o stosunkach całkowicie upaństwowionych, to znaczy kontrolowanych przez władze. Te wielkie uderzenia były kombinacją prześladowań, penetracji policyjnej oraz masowego donosicielstwa, będącego przy okazji rodzajem deklaracji lojalności, a także sposobem kierowania zagrożenia na sąsiada. Siady lęk, który stawał się bardzo ważnym, wręcz głównym katalizatorem i spoiwem „nowego socjalistycznego społeczeństwa”, a mierzyły głęboko, bo aż w tak pierwotne grupy społeczne jak rodzina. Śladem tego był na przykład mit Pawlika Morozowa, który zadenuncjował ojca, a potem podawany był przez parę dziesięcioleci jako wzór do naśladowania dla młodzieży w ZSSR, jako bohater pozytywny, który postawił rewolucję i władzę sowiecką ponad rodziców. Komunizm powstawał więc zawsze i wszędzie jako strach przerabiany na stosunki społeczne, a wśród różnych zachowań ludzkich z tych „czasów początku” nie ma moim zdaniem takich, w które nie byłby tak lub inaczej wpleciony silny — mówiąc ostrożnie — czynnik lęku. Mówię ostrożnie, bo być może temu potężnemu uczuciu idącemu z głębin instynktu samozachowawczego trzeba by przypisać główny — co nie znaczy, że zawsze w pełni uświadomiony — wpływ na ówczesne zachowania mas i elit. A także na rozkwit filozofii usprawiedliwień, różniących się zależnie od osobowości, lecz wiodących zawsze (również w przypadku emigrantów wewnętrznych) ku bezpiecznej przystani. Dlaczego by społeczeństwo uderzone potwornym obuchem nie miało rozbić się jak mrowisko w poszukiwaniu różnych schronień, także pod skrzydłami komunizmu? Minęły lata, przesunęło się kilka pokoleń, a system stracił wiele ze swego represyjnego zapału. Mimo tego

ślady pierwotnej akumulacji strachu zostały. Jeszcze dziesięć lat temu w czasach gierkowskiego liberalizmu było ich tyle, że mógł powstać „Traktat o gnidach”, który jest przecież drugim tomem „Zniewolonego umysłu”. A i dzisiaj jest niemało ludzi, którzy nie powiedzą publicznie do końca tego co myślą, pójdą dla spokoju wrzucić kopertę do urny albo na pochod pierwszomajowy, a dziecko idące do szkoły ostrzega, by uważało, co mówi. Strach przerobiony na stosunki społeczne¹. Miały być całkowicie upaństwowione, to znaczy eliminujące wszelkie kontakty nie objęte przyzwoleniem oraz nadzorem władz, czyli znoszące społeczeństwo cywilne. Taka była tendencja, ale nigdzie nie dało się zrealizować jej w stu procentach.

Rodziny, grupy koleżeńskie, w Polsce dodatkowo Kościół, środowiska parafialne, społeczności wiejskie, chłopcy jako niezależni producenci — wszystkie te struktury, choć poddane ciężkiemu obciążeniu, w zasadzie przetrwały, pozostając stosunkowo niedostępne dla penetracji i donosu. Potem z tych obronionych rezydów społeczeństwa cywilnego wychodziły kontrofensywy. Silniejsze w jednych krajach, słabsze w innych — zależnie od wielu okoliczności, w tym i od tradycji — były one wszędzie odbiciem pragnienia by żyć normalnie, które — nigdy nie wytrzebione — powracało jako silny bodziec oporu, gdy powstawały bardziej sprzyjające warunki, gdy tylko trochę słabł terror. Żyć normalnie, bez lęku, by słowem, gestem czy czynem nie ściągnąć represji na siebie i rodzinę; bez kłamliwej propagandy prasy, afiszów, mówców, ale i bez własnych fałszywych zachowań czy zaniechań, wymuszonych obawą przed podejrzeniem o nielojalność; a także w jakim takim dostatku, w otoczeniu środowiska, rzeczy, urzędów, stosunków pracy, nastawionych na to by ludziom służyć, a w każdym razie nie na to, by ich przygniatać². Być może za

1. O całkiem świadomym wykorzystywaniu donosicielstwa jako instrumentu rozbijania więzi społecznych i zastraszania ludzi świadczy wydana w roku 1951 „Instrukcja” Rady Państwa w sprawie rozpatrywania skarg i listów od ludności, która usankcjonowała anonim jako dowód. *Życie Warszawy* z 5 lipca 1988 r.

2. Czołowa rola powszechnego strachu jako stanu psychicznego absolutnie niezbędnego dla zainstalowania systemu komunistycznego jest oczywista. Podobnie sądzi prof. Tadeusz Łepkowski pisząc, że mimo wszelkich zmian komunizmu „niezmienne w swej istocie pozostają dwie cechy: etatyzacja społeczeństwa i dominacja lęku”. „Polska 88 — obawy i szanse”, *Kultura* (warszawska) z 23 marca 1988. O niewyczerpanych wręcz pokładach strachu nagromadzonego przez siedemdziesiąt lat budowy socjalizmu pisze się dziś wiele w ZSSR. „Strach przeżarł nas do kości, do genów, mamy go nawet w oddechu” — mówi Astafiew (*Siemia* nr 11, 1988). Inny autor, omawiając kolektywizację lat 30-tych, pisze: „Trzeba było osiągnąć atmosferę strachu, by osłabić opór chłopstwa. I trzeba było utworzyć kolechozy jak najszybciej, póki ten strach trwa!”; prof. A. Tichonow, „Lekeje minionego”, *Argumenty i Fakty* nr 14/1988. „Jakimi to sposobami — pyta czytelnik

najwcześniejszy objaw narastającego sprzeciwu wobec wszechobecnych państwowych standardów trzeba by uznać kolorowe skarpetki, jazz i kołnierzyki od koszul przerabiane na zachodnią modłę.

Nasilając się i słabnąc w ciągu kilkudziesięciu lat, wzbogacając środki oporu, zdobywając dodatkowe pola i ożywiając nowe środowiska — nawet część tych związanych z systemem — kontrofensywy te usunęły groźne, a potem już raczej tylko dręczące wścibstwo ideologii, partii i państwa z wielu dziedzin, a w wielu innych poważnie je ograniczyły. Wychowywanie dzieci, nauka, sztuka, literatura, religia, to w niejednym kraju komunistycznym strefy całkowicie cywilne lub odetatyzowane w bardzo poważnym stopniu, i to nie od dziś. A przecież ostatnie dziesięć lat to okres dodatkowych wielkich postępów, w każdym razie w Polsce. Doszła strefa podziemnego życia społecznego z jego najrozmaitszymi strukturami i wolną działalnością wydawniczo-prasową na czele. Doszła niemała sfera działań i struktur jawnych, choć niezalegalizowanych, lepiej lub gorzej znoszonych przez władze. Rozbudował się i rozbudowuje segment życia publicznego leg: nego i równocześnie niezależnego od państwa. Należy do niego prasa katolicka i coraz liczniejsze organizacje będące wynikiem obywatelskich inicjatyw, a potem często upartych i trudnych, lecz ostatecznie skutecznych zabiegów o legalizację. Te przyrastające w miarę upływu lat „słoje” społeczeństwa cywilnego tworzą już dziś rozległą przestrzeń prawie normalnego życia publicznego, w której — zaspokajając potrzebę bycia w szerszej społeczności — można robić różne rzeczy pożyteczne dla kraju przy minimalnych albo i żadnych koncesjach na rzecz systemu. Nie jest to jeszcze życie poza komunizmem, ale jest to już życie w pewnej od niego separacji³. A trzeba pamiętać, że były czasy, kiedy nawet rodzina wydawała się niepewnym miejscem schronienia. Ten niekwestionowany postęp jest skutkiem wielkiej pracy społecznej, mozolnego wysiłku paru pokoleniowych zmian na przestrzeni dziesięcioleci. Nie wolnego od dramatów. Oglądany na całej rozciągłości powojennego czasu, tworzy on obraz zmagania ludzkiego pragnienia wolności — więc i normalności — z patologicznym skrzywieniem naszej cywilizacji, jakim jest komunizm. To prawdziwa epepeja.

Ogońka — wytworzono u nas strach genetyczny...?”. A. Kuzniecowa, *Ogoniok* z 30 kwietnia 1988 roku — „Strach genetyczny; myślę, że można go dodać do tych dwu największych wynalazków komunizmu, jakimi według Mieczysława F. Rakowskiego są sputnik i kazaczok”. Patrz: *Tygodnik Mazowsze* nr 246.

3. Odbieranie przez społeczeństwo świata instytucji oficjalnych jako świata wrogiego wykrył i opisał prof. Stefan Nowak i jego zespół w badaniach socjologicznych, prowadzonych w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wyniki ostatnich badań na ten temat omawiane były m.in. w: *Ład* z 9 sierpnia 1987 roku — „Próba diagnozy stanu świadomości społecznej”.

Ogólnonarodowa w gruncie rzeczy, bo w tej pracy ma swój udział także niemało ludzi z czerwoną legitymacją. To trzeba powiedzieć, by nie zubożyć obrazu przez schemat. Epopeja optymistyczna także. Jeśli bowiem weźmie się stosowny dystans do wydarzeń, to jak na dłoni leży przed nami fakt, że komunizm, choć reformować się nie daje, to spychać z tkanki społecznej się daje. I jest spychany także przez rewolucje pokonane, a nawet i bez rewolucji, przez tę cierpliwą, drążącą „rzekę podziemną”, zaś ostatnie słowo w tej sprawie padnie przypuszczalnie z ostatnimi bastionami systemu.

Spółczeństwo cywilne a nomenklatura

\ Gdy chodzi o zmniejszanie dewastacyjnych skutków nomenklatury, postępująca rekonstrukcja społeczeństwa cywilnego ma znaczenie pierwszorzędne. Z chwilą gdy przekracza ona sferę prywatności i zaczyna obejmować przejawy życia zbiorowego, tworzy nowe role publiczne i nowe stanowiska, zwykle, a także kierownicze. Role i stanowiska wymagające — jak powiedziałem wyżej — uzdolnień przywódczych, menadżerskich, a obsadzone w drodze naboru niezależnego. Ma to ważne skutki.

Po pierwsze stwarza szansę dla ujawniania się i realizowania w pożytecznej pracy publicznej nieprzeciętnych jednostek z tej ogromnej większości, dla której mechanizmy nomenklatury rezerwują rolę szeregowców. Tą drogą więc hamowany może być ów wyciek talentów w nicość (albo na emigrację — gdy istnieją takie jak w Polsce możliwości wyjazdu z kraju) powodowany przez zarezerwowanie awansu kadrowego dla ośmiu procent narodu. Staje się to szczególnie znaczące, gdy w sferze niezależnej od partii i państwa — obok ról czysto altruistycznych, które pełni się pracując dla idei — powstają normalne stanowiska w zorganizowanych strukturach, pozwalające na utrzymanie rodzin i otwierające drogę do karier osobistych. Tak długo bowiem, jak długo społeczeństwo cywilne odtwarza się wyłącznie w dziedzinie ról altruistycznych, tak długo pozostaje ono społeczeństwem „po godzinach pracy”, a jego działania są tylko ważnym i cennym, choć często niebezpiecznym *hobby*, ubarwiającym życie, biegnące jednak głównym swym korytem w domenie nomenklatury, która nawet wtedy gdy nie awansuje, to jednak żywi, a więc ciągle do siebie przywiązuje i jakoś na swoją modłę przerabia. Moment gdy w świecie niezależnym oprócz wolności pojawia się również chleb oznacza skok jakościowy, gdy chodzi o wzrost siły jego fundamentów. Stąd też sprawą szczególnej wagi jest wspieranie wszystkiego co prowadzi do rozszerzania zakresu prywatnej i grupowej działal-

ności ekonomicznej kierowanej motywem zysku i dorobienia się, nawet jeżeli powoduje to:

(a) komercjalizację niektórych czysto ideowych wcześniej działań, jak na przykład działalności wydawniczej;

(b) wycofywanie się czasami ludzi rozpoczynających prywatną działalność gospodarczą z czynnej pracy opozycyjnej;

(c) pojawianie się w sferze gospodarki prywatnej osób związanych wcześniej z aparatem władzy;

(d) konieczność utrzymywania dobrych stosunków czy nawet wchodzenia w układy z administracją lokalną.

Na każdy z tych punktów można patrzeć ewentualnie jako na składnik ceny za rozszerzenie sfery społeczeństwa cywilnego na działalność gospodarczą i wielkie przez to jego wzmocnienie. Użyłem określenia „ewentualnie”, bo nie jest wcale pewne, czy wymienione wyżej przypadki muszą być uważane za cenę. Książki wydaje się na świecie nie tylko dla idei, lecz także po to, by przy okazji zarobić albo odwrotnie, wydając je dla zysku, robi się to przy okazji z myślą o jakiejś idei. Człowiek stający się przedsiębiorcą i wzbogacający przez to świat dóbr materialnych pełni rolę godną niemniejszego szacunku niż działacz polityczny, także opozycyjny. Jest lepiej, gdy ludzie związani w przeszłości lub nawet aktualnie z władzą biorą się za coś pożytecznego, niż gdyby mieli pisać protokoły przesłuchań. Wreszcie, na całym świecie ludzie interesu chcą mieć dobre stosunki z władzą, a przynajmniej nie być z nią otwarcie na noże. Dlaczego w Polsce miałoby być inaczej? Te wątpliwości nabierają właściwego wyrazu, gdy odrzuci się moralizatorskie wyobrażenia o społeczeństwie cywilnym jako królestwie ludzi wyzwolonych z totalitaryzmu, którzy przez ten akt stają się wszyscy — na dodatek — czynnymi działaczami opozycji i równocześnie aniołami. Takie wyobrażenia, choć niekoniecznie wypowiediane wprost, istnieją szczególnie w tych kręgach, które pierwsze podjęły wspomnianą wyżej kontrofensywę. Przypisując swej misji, swemu działaniu, jedynie pobudki ideowe, uważano tam za normalne, że w sferach wyzwolonych od komunizmu panować winna nie tylko wolność, lecz także prawda i parę innych wzniosłych ideałów. Jak powiedziałem, nie chodzi tu o sformułowane stanowisko, lecz o skłonność ideologiczną. Polega ona na utopijnym bo nieiszczalnym wymaganiu, by światem codziennych zachowań ludzkich rządziły wyłącznie wartości uroczyste. Uważając zaś, że tak może być, obciąża się wyłączną odpowiedzialnością za rozerwanie tego bezpośredniego związku komunizm, zmuszający do życia „w kłamstwie”. Innymi słowy chodzi mi o zintelektualizowane wydanie rozpowszechnionej wśród żyjących pod panowaniem komunizmu skłonności do upatrywania

w nim źródła wszelkiego zła. Również i tego, które nie ma niczego wspólnego z komunizmem, lecz jest na przykład naszym własnym, polskim złem włączonym przez stulecia lub po prostu złem uniwersalnym i wiecznym. Te skłonności i wyobrażenia wskutek nadzwyczajnych postępów w rozwoju niezależnego życia publicznego w Polsce dosyć szybko znalazły się w konflikcie z faktami, co było widoczne szczególnie w okresie „Solidarności” legalnej. Ruch bowiem powstał z ludzi zwyczajnych, normalnych, którzy wnieśli do niego cały wachlarz pobudek i emocji, także złych i okazało się — ku nieprzyjemnemu zdumieniu niejednego weterana kontestacji — że życie w „Solidarności” też było często życiem w kolizji z wartościami. Tym co ją założyli nie chodziło o ustanawianie nowego raju na ziemi, lecz o przywrócenie wolności. Im, takim jakimi byli i jakimi pozostali. Społeczeństwo cywilne, nawet jeżeli odradza się przy wielkim udziale opozycyjnej awangardy, odradza się nie dla niej, ale dla siebie samego, jako sfera Polski normalnej, a nie Polski idealnej. Diabeł zaś występuje nie tylko pod gwiazdą czerwoną, lecz i pod opozycyjną, a wolność musi być także wolnością dla niego — albo nie istnieje. Wracając po tej dygresji do tematu; ma więc być może sens rozważanie, jak zmniejszyć wymienione wyżej następstwa rozszerzania się społeczeństwa cywilnego na sferę ekonomiczną, uważając jednak, by nie szkodzić głównemu procesowi, polegającemu na likwidowaniu wpływów przerośniętego państwa w dziedzinach, które powinny być zarezerwowane dla swobodnej, choć niekoniernie świętej inicjatywy obywateli.

Po drugie, poszerzanie się stref niezależnej od państwa aktywności społecznej może mieć i zapewne w przypadku Polski już ma poważny wpływ na kalkulacje i zachowania wszystkich dynamicznych, uzdolnionych jednostek. Także tych — chodzi głównie o część młodzieży — które do zrealizowania własnych aspiracji gotowe są przyjąć warunki umożliwiające im awans oficjalny, jeśli nie byłoby innego wyboru. I dodatkowo również tych, co takie decyzje podjęli w przeszłości — jako ze swego punktu widzenia mniejsze zło — gdy jedynym innym wariantem było dobrowolne skazanie się na szeregowy los bezpartyjnego⁴. Otóż odradzające się społeczeństwo cywilne, gdy tylko zaczyna stwarzać dające dochody stanowiska, powołuje również własne dra-

4. Ta separacja w warunkach, gdy nomenklatura jest jednak ciągle dominującym elementem polskiej rzeczywistości może mieć nawet — paradoksalnie — skutki ujemne, polegające na psychicznym wyprowadzeniu się z PRL i zamknięciu oczu na wszystko co tam się dzieje. Rozmawiałem niedawno z osobą należącą do opozycji powiedzmy „umiarkowanej”, pracującą w legalnej instytucji niezależnej. Na uwagę, że nie widać wysiłku, by ocenić zmiany zachodzące wewnątrz systemu usłyszałem odpowiedź, że „my nie wiemy, co tam się dzieje, bo my się z tym nie stykamy”.

biny awansu i własne wzorce karier, często bardziej interesujące od tych z nomenklatury, a na ogół zdrowsze, jeśli chodzi o konserwację i rozwój własnej osobowości. Nomenklatura bowiem, oprócz ujemnych następstw wymienionych poprzednio, ma jeszcze jedno, wiążące się z jej — jeśli tak można powiedzieć — grzechem pierworodnym. Cała instytucjonalna machina państwa komunistycznego (jak każdej zresztą dyktatury) nie jest wytworem woli społecznej, lecz pozostałością gwałtuadanego społeczeństwu przez jego mniejszość — często przy naczelnej roli obcych, jak w przypadku Polski i pozostałych krajów Europy Wschodniej (z wyjątkiem być może Jugosławii). Wywodząc się z gwałtu, struktura ta musi być tak ukształtowana, by przede wszystkim utrwalac jego skutki, broniąc ich przed społecznym odrzutem. I dopiero na zapleczu tej „strażniczej” strony, na jej drugim planie znajdując się to, co jest przeznaczone dla obsługiwanian różnych potrzeb społecznych. Biorąc więc legitymację partyjną albo godząc się, w zamian za stanowisko, na rolę bezpartyjnego do dyspozycji — przystępuje się w pierwszym rzędzie, obiektywnie, do klasy strażników ustroju, do „nich”, bez względu na osobiste motywacje. I to przystąpienie ma swoją cenę. Każda kariera z nomenklatury, choćby bardzo odległa od ściśle politycznej dziedziny, wiąże się z wykonywaniem czynności strażniczych na rzecz systemu. Czasami tak „niewinnych”, jak na przykład zobowiązanie podwładnych do udziału w pochodzie pierwszomajowym, a czasami tak daleko idących, jak współpraca z oddziałem pierwszym (tak się nazywają placówki służby bezpieczeństwa znajdujące się we wszystkich większych firmach i instytucjach). Ta strażnicza strona oficjalnych karier powoduje często najpierw wewnętrzne konflikty, a następnie przystosowanie osobowości, czemu towarzyszą nierzadko różne charakterologiczne wykrzywienia⁵. Kiedys tę cenę za wstęp do nomenklatury godziło się płacić bardzo wielu ludzi po to, by móc urzeczywistnić swe marzenia o pozycji społecznej. Godziło się, a może też nie widziało jej tak wyraźnie, jak zaczęło dostrzegać po przejściu solidarnościowej burzy. Przypomniała ona dobitnie, że system nie ma legitymacji, a więc wszelkie działanie na rzecz jego ochrony, wszelkie działanie strażnicze jest działaniem przeciwko społeczeństwu. Dzisiaj analizy

5. W Polsce takie sytuacje nie występują dziś w postaci ostrej. Warto więc może rzucić okiem na aktualny stan rzeczy w Związku Sowieckim, który pokazuje, jak było u nas kiedyś: „Popatrzcie, u nas jeżeli człowiek nie należy do partii i jeśli już wyrósł z komsomolskiego wieku — to nie wchodzi on w żadne społeczne struktury (podkr. moje — W.K.), jest praktycznie pozbawiony możliwości przejawiania jakiejkolwiek aktywności społecznej i politycznej”. B.P. Kuraszwili — Instytut Państwa i Prawa Akademii Nauk ZSSR w: „Więcej socjalizmu” — dyskusja ok. zlego stołu. *Ogoniok* nr 14/1988 r.

socjologiczne prowadzone w awansowych grupach wieku, a szczególnie wśród młodzieży, ujawniają znaczne osłabienie pędu do karier oficjalnych⁶. Oprócz usztywniającego kręgosłupy wpływu Sierpnia złożyły się na to także inne przyczyny. Wśród nich znajduje się niewątpliwie fakt powstania poza sferą państwa alternatywnych drabin awansu, pozwalających zdobywać pozycje i poważanie społeczne lepszej marki niż to z nomenklatury⁷. Wyrósł więc jej konkurent i im znaczniejsze będą postępy rekonstrukcji społeczeństwa cywilnego — mierzone ilością ról do obsadzenia, szczególnie ról wynagradzanych — tym silniej ta konkurencja będzie oddziaływała na przemiany zachodzące wewnątrz systemu, których omówienie wykracza poza zakres obecnego szkicu i zostanie zrobione odrębnie. Przemiany te — chociaż mniej widoczne na zewnątrz i często lekceważone — są równie ważne jak te, którymi zajmowałem się wyżej i dopiero zestawione razem mogą one dać w miarę pełny obraz tego, co się dzieje z komunizmem.

Waldemar KUCZYŃSKI

Sartrouville, czerwiec 1988 r.

6. Sładem takich rozdarć jest następująca wypowiedź Romana Bratnego na pytanie dziennikarza „... jak się Pan dzisiaj czuje jako członek partii?”:

— Fatalnie, Uważam jednak, że dopóki ona istnieje, to należy zrobić wszystko, aby jej jeszcze bardziej nie deprecjonować. Kiedyś zapytał mnie Wojciech Jaruzelski, kiedy mu powiedziałem, że w stanie wojennym należało postąpić po kadarowsku, tzn. rozwiązać partię i powołać nową. — A pan do tej nowej wstąpiłby? Spuściłem oczy i odrzekłem, że nie. Nie miałbym siły wstąpić i ryzykować ponownie, ale nie uważam za moralnie opuszczenie jej w momencie pewnej degradacji... Mówią, że szargam świętości”. *Trybuna Ludu* z 11-12 czerwca 1988 r.

7. Patrz np. Józef Baniak, „Studenci a wartości naczelne”, *Studia Socjologiczne* nr 4/1986. Wedle tych badań, przeprowadzonych na Uniwersytecie Wrocławskim jeszcze w latach 1979-1980, umacnianie socjalizmu i zajmowanie wysokich stanowisk znajdowały się na szarym końcu listy wartości (podobnie jak zbawienie duszy! — W.K.). Osiem lat później postawa takiego odwrócenia się od Polski oficjalnej jest jeszcze bardziej wyraźna, o czym świadczy następująca skarga działacza na młodych: „Kiedy patrzę na nich, nasuwa mi się pytanie: czy oni się umówili, że żaden nie należy do żadnej organizacji? Kiedy przy kieliszku pytam, dlaczego żadne z was nie należy do żadnej organizacji: A po co? — chłodem”. Edmund Lewandowski, „Młodzież pragnie odrobiny nadziei”, *Odgłosy* z 9 stycznia 1988 r. (wyniki sondaży socjologicznego). I jeszcze jeden cytat: „Niewielu młodych Polaków chciałoby pełnić w przyszłości funkcje kierownicze. Wskaźniki ciągu do kariery podawane przez różne ośrodki badawcze oscylują około kilku procent, choć według badań Akademii Nauk Społecznych, przeprowadzonych w roku 1985; tylko 1,4 % młodzieży myśli o awansie w życiu zawodowym oraz społecznym i politycznym”. Dariusz Szymczycha, „Młodzi grzeją ławę”, *Sztandar Młodych* z 18-20 marca 1988 r.

Galicyjska debata

O tym spotkaniu, które miało miejsce pod koniec maja br. w Domu Polonii przy krakowskim Rynku, pisała oficjalna prasa PRL-u, podnosząc dobrą wolę organizatorów zebrania, ministra Krawczuka oraz zrzeszonych w neozwiązku pisarzy, którzy „wyciągnęli w geście pojednania dłoń do swych dawnych kolegów z rozwiązanego ZLP”. Co prawda zasada chrześcijańska mówi o konieczności przebaczenia, ale są sprawy o charakterze ponadindywidualnym, w których o przebaczeniu nie może być mowy. To znaczy przebaczeniu takim, żeby wymazać z pamięci haniebny fakt i uznać go za niebyły. A w tym właśnie kierunku zmierzają ostatnio czołowi działacze nowego ZLP, np. Żukrowski i Koźniewski, oraz niektórzy przedstawiciele władzy — proponują uznanie, że faktu rozwiązania nie było, a więc „pojednanie” nawet bez przeprosin i przyjęcie wszystkich pisarzy do Związku z otwartymi ramionami, na zasadzie automatycznej: kto w ZLP był, ten będzie! Cynizm tych panów i dobre mniemanie o sobie nie znają granic.

Ponieważ apel nowego prezesa nowego ZLP spotkał się z taką reakcją, na jaką zasługiwał, czyli grobowym milczeniem, spróbowano innych, rozsądniejszych metod. Taka jest chyba geneza osobliwego spotkania — osobliwego jak na dotychczasowe stosunki między władzą a niezrzeszonymi pisarzami, należącymi w części do opozycji demokratycznej. Osobliwego również dlatego, że po raz pierwszy pisarze ci postanowili zaproszenie przyjąć, żeby dać wyraz swym przekonaniom w publicznej dyskusji. *Nota bene* warunkiem spotkania, postawionym przez Jana Józefa Szczepańskiego i jego kolegów, była nieobecność telewizji. Spotkanie nagrywało tylko polskie radio w celu, jak zaakcentował Krawczuk, dokumentacji.

Potem w Warszawie różnie komentowano to spotkanie. Niektórzy dawni członkowie ZLP mieli za złe Prezesowi, że w sytuacji, gdy PEN-Club nadal jest zawieszony, zgodził się na jakiegokolwiek publiczne rozmowy. Ale przebieg spotkania potwierdził słuszność decyzji, bowiem raz jeszcze przedstawiciele strony przeciwnej ujawnili ciasnotę myślowych horyzontów i nieumiejętność przekroczenia stereotypów postępowania, a Szczepański i jego koledzy mieli wreszcie okazję do głośnego przedstawienia w dość szerokim gronie swego stanowiska i powiedzenia kilku gorzkich prawd o obecnym życiu kulturalnym, którym minister Krawczuk nie potrafił zaprzeczyć.

Jan Józef Szczepański wystąpił z Oświadczeniem podpisanym przez sporą, bo czterdziestoosobową, grupę pisarzy krakowskich:

„My, pisarze Krakowa, niezrzeszeni w nowym ZLP, uważamy,

że po doświadczeniach lat 1981-1988 nie ma już powrotu do dawnej formuły organizacyjnej ZLP. Uznając potrzebę stworzenia jakiejś nowej platformy życia profesjonalnego, widzimy jej możliwość jedynie w swobodnym powstawaniu klubów i stowarzyszeń, których członkom przysługiwałyby te same uprawnienia, które przysługują członkom ZLP. Upoważniamy Jana Józefa Szczepańskiego do występowania i złożenia powyższego Oświadczenia w naszym imieniu”.

Podpisy złożyli m.in.: Anna Ablewicz, Barbara Czałczyńska, Anna Gorazd, Maria Leśniewska, Ewa Lipska, Anna Skoczylas, Wisiława Szymborska, Teresa Truszkowska, Marta Wyka, Kazimierz Barnaś, Jan Błoński, Tadeusz Chrzanowski, Leszek Elektorowicz, Kornel Filipowicz, Tadeusz Kwiatkowski, Juliusz Kydryński, Jan Lohmann, Włodzimierz Maciąg, Leszek A. Moczulski, Przemysław Mrzczkowski, Jan Prokop, Stanisław Stabro, Jan Stoberski, Jacek Stwora, Kazimierz Traciewicz, Jacek Woźniakowski, Adam Ziemianin.

Minister Krawczuk mówił obrazowo i potocznie, chociaż z fatalną dykcją, czyniąc sporo aluzji historycznych do miejsca spotkania, niewiele natomiast przedstawiając konkretnych propozycji. Zachęcił jednak — chyba nieopatrnie — do szczerego mówienia o tym, co „na sercu leży”. Bo jak *glasnost* to *glasnost*, a *pieriestrojka* — chwalił się — już dawno się u nas w kulturze zaczęła.

Szkoda tylko — dodajmy od siebie — że efektów jakoś nie widać, szczególnie w materialnym gospodarzeniu kulturą upadającą wraz z całą gospodarką PRL. O tej właśnie katastrofalnej sytuacji w kulturze mówiło wielu pisarzy. Ale wróćmy jeszcze do głównego tematu zebrania.

Prezes przypominał w skrócie to, co napisał w *Kadencji*: chodziło wtedy — i pod tym względem niewiele się zmieniło — o zachowanie zasady kierowniczej roli partii. Ta zasada sama w sobie jest mocno wątpliwa, a zastosowana do literatury może prowadzić tylko do takich katastrof, jaka nastąpiła w roku 1983. Rozwiązanie Związku poprzedziła ohydna nagonka w prasie na niektórych jego członków. Posłużono się m.in. „dyskusją” wokół nowej listy lektur szkolnych, wśród których były np. książki Szczepańskiego. Sfałszowano list Prezesa do Premiera i nie odnaleziono potem autora perfidnej fałszywki. Wysztydzano internowanych w stanie wojennym kolegów pisarzy i za to wszystko nawet nie przeproszono! Więzy wzajemnego szacunku zostały więc bezpowrotnie zerwane, tym bardziej że ludzie, którzy tak kulturze zaszkodzili, nadal funkcjonują, i to na eksponowanych stanowiskach. I nadal trwa skandaliczna sytuacja PEN-Clubu, który nie może wznowić swej działalności rzekomo ze względów czysto proceduralnych.

Zgodzono się też właściwie, że nie może być powrotu do dawnej struktury ZLP, że potrzebny jest pluralizm, który z natury rzeczy musi być różnokierunkowy. Natomiast zasadnicza różnica zdań między przedstawicielami obydwu stron wystąpiła w

ocenie sytuacji polskiej kultury i określeniu jej przyczyn. W sposób szczególnie ostry, bez taktycznych uników i gry dyplomatycznej, mówili o tej sytuacji profesorowie Błoński i Maciąg.

Komercjalizacja w kulturze przybiera kształty patologiczne. Oto klasykę, polską i obcą, traktuje się w sposób prawie wyłącznie merkantylny lub instrumentalny: wydawanie jej albo przynosi duże zarobki, albo uzupełnia programy szkolne. Cenzura się liberalizuje, bo musi ze względu na olbrzymi rozwój wydawnictw bezdebitowych i podziemnej prasy, ale rozwój ten następuje kosztem dezintegracji życia literackiego i czytelnictwa. Należy więc zapobiegać temu niekorzystnemu zjawisku choćby przez ułatwienie w bibliotekach dostępu do „nielegalnych” publikacji i nierepresjonowanie ludzi za ich produkowanie i kolportowanie, należy też odnotowywać te wydawnictwa w bibliografiach i recenzować na łamach legalnych periodyków, przynajmniej naukowych. Tymczasem stosy zarekwirowanych książek leżą gdzieś w magazynach MSW, leżą i rdzewieją też maszyny poligraficzne. Któraś z pań rzuciła w związku z tym pomysł, by maszyny te przeznaczyć dla prywatnych wydawnictw.

Oto sytuacja w ruchu wydawniczym. Z jednej strony permanentny brak papieru i galopujące ceny książek, wydłużający się do 4-5 lat okres oczekiwania autorów na swe dzieła, co w przypadku literatury współczesnej, krytyki literackiej i nauki o literaturze, nie mówiąc już o bibliografiach, stawia pod znakiem zapytania sens wydawania rzeczy nieraz już nieaktualnych, przestarzałych. Z drugiej strony prężne jednak nadal podziemie kulturalne, mimo — dodajmy od siebie — rozmaitych trudności technicznych, mimo braku czasem podstawowych materiałów produkcyjnych, mimo konieczności kupowania papieru za dewizy i powiększających się kosztów druku, no i mimo zmęczenia ludzi działających w napięciu nerwowym. Gdyby pozwolić mu się rozwijać normalnie, tzn. nie represjonować i nie prześladować, to kultura polska zyskałaby poważne wsparcie zza granicy, gdzie wydaje się sztybciej, lepiej i nie ucieka się od tzw. pozycji nierentownych w postaci np. książek krytycznoliterackich, i z podziemia, w którym ludziom chce się jeszcze działać dla dobra ogółu, dla dobra książki polskiej, a karze się ich za to kolegiami i rekwirowaniem samochodów!

Te niezwykle ważne głosy uzupełnił w dowcipny sposób Jacek Woźniakowski. Nawijając do przemówienia, bo tak należałoby nazwać wypowiedź profesora Mariana Stępnia — redaktora naczelnego *Zdania*, organu tzw. partyjnych liberałów, „realistów” w stylu Rakowskiego — utrzymaną w znanej nam od lat nowomowie, zwrócił uwagę, że nasze życie literackie wymaga nie uporządkowania, ale wręcz przeciwnie. Życiu kulturalnemu należy pozostawić swobodę rozwoju i do władzy powinno należeć tylko zapewnienie tej swobody. „Nie porządkowanie jest ważne w kulturze, profesorze Stępień, lecz wartości” — podkreślił Woźniakowski. Tymczasem w naszym życiu społecznym wszechwładnie panuje pozorność! Jest wiele form dialogu, które nie prowadzą do rozstrzygnięć. Pozory niszczą dążenie narodu do pod-

miotowości i dlatego wiele osób nie chce uczestniczyć w takich czy innych układach społecznych. Obecna reforma w dziedzinie kultury jest nieudolnym naśladowaniem tego, co już w roku 1981 proponowała „Solidarność”. Powołano np. do życia nową spółkę wydawniczą pod nazwą Polska Agencja Wydawnicza, która ma się zająć przede wszystkim promocją polskiej książki za granicą. Do tej pory miały spełniać takie zadanie aż dwie instytucje: Ars Polona i Agencja Autorska. Obie spełniały je źle, więc zamiast je zlikwidować lub gruntownie zreorganizować, czyli prawdziwie zreformować, tworzy się instytucję trzecią, żeby tylko — dodajmy — utrzymać stare stanowiska i stworzyć nowe dla ludzi, dla których zabrakło już miejsca w połączonych ministerstwach. I to kosztem dużych środków wypracowanych w poważnym stopniu przez wiele wydawnictw akcjonariuszy. Oto przykład gospodarczego absurdu! Inny absurd: *Tygodnik Powszechny* drukowany jest w nakładzie 80 tys. i w ograniczonej objętości, a rozeszłoby się przynajmniej 200 tys., lecz podobno brak papieru. Tymczasem w Katowicach zaczął się ukazywać magazyn pornograficzny, na pięknym papierze i w nakładzie 350 tys. Mówi się stale o braku papieru — jakiego i dla kogo, należy zapytać, bo na niektóre „inicjatywy” wydawnicze papier zawsze się znajduje.

Woźniakowski podał ciekawą statystykę: wszystkie wydawnictwa podległe Ministerstwu Kultury i Sztuki zużywają 10% tej ilości papieru, która przeznaczona jest na RSW Prasę, MON i inne instytucje pokrewne (MAW, KAW itp.). A wydawnictwa katolickie zużywają 2% z tej puli papieru, którą ma w swej gestii minister Krawczuk. Ten obraz burzy całkowicie peerelowski mit „braku papieru”. Potwierdził to zresztą, choć nie tak dobitnie i otwarcie, dyrektor Wydawnictwa Literackiego, Andrzej Kurz. Jest to mit bardzo wygodny dla różnych panów od polityki kulturalnej!

Galicyska debata nie stała się więc „austriackim gadaniem”, czasem tylko elementy takiego gadania przenikały do wypowiedzi złotoustego Krawczuka i równie złotoustego Stępnia oraz dobrodusznego — jak sam siebie określił — Kawalca, prezesa krakowskiego oddziału ZLP, który chciałby widzieć wszystkich kolegów pojedypanych. Ale jest to taki sam mit, mit „porozumienia”, jak mit „braku papieru”.

O religii bez namaszczenia

"Będziecie jako bogowie"

Ten tytuł nie wyda się chyba przesadną oceną ambicji autora książki, jeśli zważyć że autor przedmowy pisze o niej:

„Jest to również książka o Bogu... czy też o nieobecności Boga. Słowo „Bóg” pojawia się w niej co chwila. Hawking mianowicie szuka odpowiedzi na sławne pytanie Einsteina, czy Bóg miał cokolwiek do powiedzenia w stworzeniu świata (*whether God had any choice in creating the universe*). Hawking, jak sam wyraźnie stwierdza, próbuje zrozumieć myśl Boga (*to understand the mind of God*). Tym bardziej zaskakujący jest rezultat tej próby, przynajmniej do tej pory: wszechświat bez granicy przestrzennej, bez początku i końca w czasie, w którym Stwórca nie ma nic do roboty”.

Autorem przedmowy jest Carl Sagan z Cornell University w stanie Nowy Jork. Stephen Hawking z uniwersytetu Cambridge (tego w Anglii) istotnie kończy swą książkę takimi słowami:

„... jeśli odkryjemy kompletną teorię (całego fizycznego świata, A.P.), to powinna ona z biegiem czasu stać się zrozumiała, przynajmniej w ogólnych zarysach, dla wszystkich, nie tylko dla nielicznych uczonych. I wtedy wszyscy — filozofowie, uczeni i całkiem zwyczajni ludzie — będziemy mogli wziąć udział w dyskusji nad pytaniem, dlaczego istniejemy i dlaczego wszechświat istnieje. Znalazienie odpowiedzi na to pytanie byłoby ostatecznym triumfem ludzkiego rozumu — bo poznalibyśmy wtedy myśl Boga (*we would know the mind of God*).

Oba te cytaty wydają mi się więcej niż trochę żenujące — tym bardziej że pochodzą od tak wybitnych ludzi. Carl Sagan, to prawda, jest właściwie tylko niezmiernie poczytnym popularyzatorem, ale Stephen Hawking jest jednym z najwybitniejszych fizyków teoretycznych współczesnej doby. Obwoluta książki informuje (i on sam w tekście o tym wspomina), że urodził się dokładnie w trzechsetną rocznicę śmierci Galileusza (1642-1942) i jest *Lucasian Professor of Mathematics* w Cambridge czyli na katedrze, którą przed nim piastowali Izaak Newton i Paul Dirac.

odkrywca równania elektronu. Naprawdę nie byle co. Uwielbiający go uczniowie lubią go porównywać z Einsteinem. Równocześnie Stephen Hawking jest totalnym kaleką. Od młodości cierpi na chorobę neuronów ruchowych, która powoduje powolny ale nieublagany zanik wszystkich mięśni; poruszać się może tylko na wózku; zawsze mówił z największą trudnością i tak niewyraźnie, że tylko najbliżsi współpracownicy mogli go rozumieć, a od dwóch lat, na skutek zaniku mięśni krtani, mówi tylko za pomocą elektronicznego aparatu podarowanego mu, wraz z innym niezmiernie zaawansowanym sprzętem, przez Amerykanów. Ale ze zdjęcia na obwolucie książki patrzy na nas uśmiechnięta i zdumiewająco młodzieńcza twarz człowieka, który najwyraźniej potrafi cieszyć się życiem, nade wszystko chyba swą nauką, która mu życie wypełnia. Widać to również na kartach książki, która przy całej precyzji, jakiej wymaga temat, bucha entuzjazmem i swobodnym humorem. Dowcipny jest nawet tytuł książki. Brzmi on „Związki historia czasu”¹.

Jest to pierwsza książka Hawkinga napisana dla nie-specjalistów. Nie ma w niej ani jednego równania, z wyjątkiem znanego powszechnie wzoru Einsteina stwierdzającego równoważność energii i materii, $E=mc^2$. Rzeczy proste i trudne są wyłożone równie jasno, z tym że pojawiające się w ostatnich rozdziałach najnowsze koncepcje kosmologiczne jak *supergravity* i *strings* (nie wiem, czy istnieją już polskie odpowiedniki tych pojęć) zapewne i dla specjalistów nie są jeszcze całkiem zrozumiałe. Talent popularyzatorski Hawkinga jest szczególnie rodzaju: to nie jest tyle upraszczanie do docieranie do rzeczy fundamentalnych, poparte przekonaniem (które leży u podstaw nauki), że na dostatecznie fundamentalnym poziomie wszystko staje się proste.

Skąd zatem u takiego koryfeusza ten naiwny antro-teologiczny optymizm, widoczny w wypowiedziach zacytowanych na początku tego artykułu? Hawking (i Sagan też) zdają się mieć pojęcie Boga właściwe dla małego dziecka, które jeszcze nie liźnęło katechizmu i jeszcze nie zaczęło myśleć. W pewnej mierze jest to ekstrapolacja wspomnianego założenia wszelkiej nauki, że przyroda w swej najgłębszej istocie musi być bardzo prosta; a jeśli przyroda, to Pan Bóg też. Fizycy od czasów Arystotelesa prowadzą pojęcie Boga do roli *spiritus movens* przyrody. W miarę jak fizyka odkrywała prawa przyrody, ten specjalny *spiritus movens* był z nauki stopniowo eliminowany. Laplace miał kiedyś powiedzieć Napoleonowi, że nie potrzebuje tej hipotezy. W czasach panowania mechaniki Newtona hipoteza — w ramach tej mechaniki — istotnie nie była potrzebna. Tylko teologowie, tacy co to szli o lepsze z nauką, upierali się, że przecież Ktoś musiał ten świat stworzyć i że w pewnym momencie Pan Bóg musiał w ten świat ponownie wkroczyć, żeby stworzyć życie,

1. Stephen Hawking, *A Brief History of Time. From the Big Bang to Black Holes*, Introduction by Carl Sagan. Bantam Press. London, New York, Toronto, Sydney, Auckland, 1988. Str. X, 198 i 2 zł.

że po stworzeniu człowieka też musiał w jego życie raz po raz wkraczać, bo jakże inaczej wytłumaczyć cuda. W ten sposób teologowie walcnie wspierali uproszczone, jeśli nie prostackie, pojęcie Boga fizyków.

Sytuacja uległa pewnej zmianie z pojawieniem się teorii względności i mechaniki kwantowej, a zwłaszcza na skutek odkrycia faktu rozszerzenia się wszechświata i związanej z tym zasady antropizmu². Jeśli wszechświat się rozszerza, to kiedyś musiał być skupiony w jednym punkcie o nieskończonej gęstości i nieskończonej energii, a zatem musiał istnieć jakiś moment zerowy, który był również początkiem czasu. Uderzające jest, że w tym momencie zerowym albo wkrótce po nim zasadnicze stałe fizyczne przybrały akurat takie wartości (spośród nieskończonej liczby możliwych wartości), które umożliwiły powstanie stabilnych słońc i planet i życia na przynajmniej jednej planecie, a w końcu także człowieka, który może ten zdumiewający wszechświat obserwować. To jest właśnie zasada antropizmu.

Hawking był przez wiele lat zdecydowanym zwolennikiem postulowania u początku czasu (jakieś 15 miliardów lat temu) tak zwanej osobliwości (*singularity*), od której się wszystko zaczęło, w której jednak wszystkie znane nam prawa fizyki załamują się ostatecznie, tak że absolutnie nie możemy tej osobliwości opisać. Utwierdzały go w tym przekonaniu jego studia nad czarnymi dziurami (*black holes*), przedziwnymi pozostałościami po bardzo masywnych gwiazdach (o masie przynajmniej półtora razy większej od masy Słońca), które zapadły się pod swoim własnym ciężarem, tworząc skupiska o nieskończonej gęstości, podobne do początkowej osobliwości. Również w tych lokalnych osobliwościach przestrzeń i czas przestają istnieć. Jest to konsekwencja ogólnej teorii względności, według której grawitacja jest wynikiem zakrzywienia czasoprzestrzeni powodowanego obecnością materii. I czas i przestrzeń pozostają sobą o tyle tylko, o ile są w miarę płaskie. Ale wszelkie nieskończoności i osobliwości są bardzo kłopotliwe dla nauki, gdyż nie może ona o nich nic powiedzieć poza tym, że są nieskończonościami czy osobliwościami. W tej sytuacji znowu powstaje pole dla hipotezy Boga jako przyczyny sprawczej, odrzuconej przez Laplace'a. Na to pole wchodzi teologowie, twierdząc, że osobliwość początkowa, moment zero u początku ekspansji wszechświata był momentem, w którym Bóg świat stworzył, dbając przy tym, by stałe fizyczne obowiązujące w tym świecie były dokładnie takie, by możliwe w nim było powstanie stabilnych słońc i planet i życia i ludzi, zdolnych do obserwowania tego świata i przy okazji do oddawania Mu czci (zasada antropizmu). W stosunku do lokalnych osobliwości, jakimi są czarne dziury, kosmologicznie nastawieni teologowie nie wysuwają żadnych roszczeń, bo nie wiadomo, jakie by to miały być roszczenia. Najwyżej mogłyby one posłużyć jako naukowe

2. O zasadzie antropizmu pisałem kiedyś w *Kulturze* nr 12/1982 pt. „Ciebie w centrum wszechświata?”.

prototypy końca wszechświata, gdyby się miało okazać (choć trzeba by na to poczekać dobrych parę miliardów lat), że siła grawitacji jednak przeważa nad siłą kosmicznej ekspansji, wszechświat zacznie się znowu kurczyć i z czasem zapadnie się pod własnym ciężarem w jedną kosmiczną czarną dziurę. To byłaby nowa osobliwość, tego samego rzędu co osobliwość początkowa. Wszechświat miałby wyraźny początek i wyraźny koniec.

Nauka, jak się rzekło, z natury swej takiej sytuacji nie lubi. I Hawking jako rasowy uczony też jej nie lubił. Na szczęście znalazła się droga wyjścia. Nadarzyła się ona w toku poszukiwań tak zwanej Wielkiej Całościowej Teorii (*Grand United Theory*, GUT), która mieściłaby w sobie wszystkie cząstkowe teorie fizyki, chemii i kosmologii. Bo wszystkie dotychczasowe teorie formułują prawa mniej lub bardziej cząstkowe, które pozwalają na sprawdzalne doświadczalnie przewidywania tylko w określonym zakresie zjawisk. I tak cała współczesna kosmologia — z *Big Bangiem*, rozszerzaniem się wszechświata itd. — opiera się na ogólnej teorii względności (która mieści w sobie dawną mechanikę Newtona). Ale rozwój kosmologii wymaga uwzględnienia w coraz większej mierze tego, co się dzieje wewnątrz gwiazd i galaktyk, ściślej wewnątrz składających się na nie atomów. Tu miarodajna jest mechanika kwantowa wraz z kluczową dla tej teorii zasadą nieoznaczoności Heisenberga. Otóż przewidywania teorii względności i mechaniki kwantowej są w wielu punktach między sobą sprzeczne i te sprzeczności stają się tym bardziej dotkliwe, im bardziej zbliżamy się do wspomnianych osobliwości, nawet lokalnych osobliwości, jakimi są czarne dziury, nie mówiąc już o pierwotnej zasadniczej osobliwości, z której miał się wyłonić nasz wszechświat. O ile w teorii względności, w makro-skali kosmicznej zasadniczą rolę odgrywa siła grawitacji i oddziaływanie elektromagnetyczne, o tyle w mikro-skali podatomowej górę biorą dwa dalsze oddziaływania, zwane silnym i słabym, działające tylko wewnątrz jądra atomowego. Uczeni od dawna podejrzewali, że te cztery siły to właściwie tylko cztery różne aspekty jednej pierwotnej siły, która dopiero w toku ekspansji wszechświata uległa zróżnicowaniu. Ale nade wszystko w mikro-skali kluczową rolę odgrywa kwantowa zasada nieoznaczoności. Zadaniem Wielkiej Całościowej Teorii jest pełne uwzględnienie zjawisk zarówno makro- jak i mikro-świata i umożliwienie precyzyjnych przewidywań zgodnych z obserwacją i doświadczeniem. Droga do teorii GUT jest jeszcze najeżona wieloma trudnościami, ale Hawking jest dobrej myśli; jest praktycznie przekonany, że uda się ją uczynom wypracować jeszcze przed końcem stulecia.

Hawking-kosmolog jest dobrej myśli również dlatego, że teoria GUT obiecuje uczynom pozbycie się dokuczliwych osobliwości, zwłaszcza owego niepojętego momentu zero u początku wszechświata. W teorii GUT wszechświat nie miałby ani początku ani końca, byłby światem skończonym, ale bez żadnych granic, tak jak powierzchnia kuli jest wielkością skończoną, ale żadnych granic nie ma. Moment zero w tej kosmologii miałby z grubsza

taki sam status, jaki ma biegun, dajmy na to północny, na kuli ziemskiej. Przechodząc przez biegun, w pewnym momencie zamiast iść dalej na północ zaczynamy iść na południe — zmiana bardzo zasadnicza — ale nic dramatycznego się nie dzieje. Prawa rządzące tym przechodzeniem są takie same jak przy przechodzeniu jakiegokolwiek innego punktu na globie w jakiegokolwiek szerokości geograficznej. Tak samo wszechświat, przechodząc przez moment, powiedzmy, zerowy. Tyle że do tego momentu się kurczył, a od tego momentu zaczyna się rozszerzać, ale wszystko odbywa się gładko, prawie niepostrzeżenie. Jak kosmologowie wyobrażają sobie tę możliwość, jest sprawą wysoce skomplikowaną, ale warto i temu poświęcić chwilę uwagi. Zabieg polega, z grubsza mówiąc, na tym, że czas mierzy się nie w liczbach rzeczywistych, lecz urojonych. Liczby urojone oznaczane literą i (i pomnożone przez i daje minus 1, $2i$ pomnożone przez $2i$ daje minus 4, itd.) są szeroko stosowanym, bardzo użytecznym zabiegiem matematycznym, mimo że takich liczb w rzeczywistości nie ma (bo każda liczba rzeczywista, nawet ujemna, pomnożona przez siebie samą daje zawsze liczbę dodatnią). Zaletą zabiegu jest to, że czas mierzony liczbami urojonymi staje się wymiarem zupełnie takim samym jak trzy wymiary przestrzenne, a określona tymi wymiarami przestrzeń (o tyle urojona) przestrzenią płaską (nie zakrzywioną w jeszcze inny wymiar), podobną pod tym względem do dwuwymiarowej przestrzeni euklidesowej z tym tylko, że zamiast dwóch wymiarów mamy teraz cztery. Właśnie płaskość tej czterowymiarowej przestrzeni (właściwie *czaso-przestrzeni*) pozwala uniknąć owych zakrzywień wynikających z ogólnej teorii względności, w których i czas i przestrzeń ostatecznie przestają istnieć, bo czas kurczy się do momentu zero, a przestrzeń do rozmiarów punktu, w którym gęstość materii staje się nieskończona. (Przypuszczalnie dotyczy to również zakrzywień charakteryzujących Hawking'owskie czarne dziury). A zatem nie ma już osobliwości, wszechświat jest we wszystkich swoich wymiarach, łącznie z czasem, skończony, a jednak nie ma żadnych granic i nie ma też ani początku ani końca. I żaden moment stworzenia nie jest potrzebny. A zatem, hurra, Bóg-Stwórca też nie jest już potrzebny.

Nie jest rzeczą nie-specjalisty orzekać, w jakim stopniu ta koncepcja jest naukowo uzasadniona. Sam Hawking zresztą kwalifikuje ją tylko jako „propozycję”. Warto jednak zwrócić uwagę, że wprowadzenie do niej liczb urojonych nie jest całkiem arbitralnym zabiegiem, lecz zdaje się być związane z charakterystyką funkcji falowej w teorii kwantów, według której każda cząstka elementarna ma przynajmniej dwie „historie”, jedną ukrytą w funkcji falowej określającej prawdopodobieństwo pewnego jej stanu w danej chwili, drugą otwartą, która staje się jednoznaczny faktem z chwilą dokonania pomiaru. Widzę jakąś analogię między tymi dwoma rodzajami „realności” cząstki elementarnej a czasem „urojonym” i „rzeczywistym”. Daje to jakiś głęboki filozoficzny wgląd w tajemnicę „istnienia”. Niemniej, jeśli naskikowana przez Hawkinga koncepcja kosmologiczna jest tylko

„propozycją”, to ta moja jej interpretacja jest nie więcej niż supozycją.

Znacznie ważniejsze dla mnie — i tu czuję się bardziej kompetentny — są *quasi*-teologiczne konsekwencje naukowej kosmologii Hawkinga: że Bóg w tej kosmologii nie jest już potrzebny. Mam ochotę odpowiedzieć na to: I co z tego? Ten Bóg fizyków, dotychczas podobno potrzebny do zatkania dziury w naukowej kosmologii, jest najwyżej filozoficznym, jeśli nie naukowym, postulatem i niczym więcej. Nie ma on w każdym razie nic wspólnego z Bogiem objawionym w Jezusie Chrystusie ani też z Bogiem jakiegokolwiek wielkiej religii. Jeśli chrześcijaństwo czci Boga również (a nie tylko i może nawet nie przede wszystkim) jako Stwórcę wszechzręczy, to na pewno nie w sensie i nie w funkcji, w jakiej filozoficznie nastawieni kosmologowie wprowadzają Go do swoich teorii. Chrześcijaństwo czci Boga nade wszystko dlatego, że jest On Miłością i źródłem wszelkiej miłości. Nawet biblijny mit Księgi Genesis o stworzeniu świata (mit w pozytywnym sensie opowieści wyrażającej jakąś głęboką prawdę) koncentruje uwagę nie tyle na tym, że Bóg świat stworzył, ale na tym, że uznał swoje stworzenie za dobre. Jezus w relacjach ewangelicznych nigdy nie mówi o fakcie stworzenia, mówi natomiast wiele o Ojcu, który kocha wszelkie stworzenie, który nawet ptaki niebieskie karmi i lilie polne odziewa. Jest to ogromnie odległe od Boga filozofów, a zwłaszcza od Boga fizyków. Prawdziwy Bóg religii (tylko Bóg religii, a nie żadnej innej dyscypliny, może być prawdziwy) nie stworzył świata w jakimś momencie zero, ani nie stworzył niczego innego w innym określonym momencie, lecz stwarza go stale, jest jego racją bytu i jego sensem. Jest także sensem ludzkiego życia, każdego człowieka i wszystkiego co człowiek czyni, myśli czy czuje, by tak powiedzieć, sensownie. Jest także sensem nauki, a w kosmologii (Hawkinga czy kogokolwiek innego) jest obecny nie w postaci kosmologicznego postulatu, lecz w postaci uczciwego poszukiwania, logicznej myśli, zgodności z doświadczeniem, tego wszystkiego co zwykliśmy nazywać naukową prawdą. Ale nie staje się przez to abstrakcją. Bóg chrześcijaństwa, będąc tym wszystkim, pozostaje jednak żywą Osobą, do której możemy mówić per „Ty”. Na dobrą sprawę tylko mówiąc „Ty” możemy go choć trochę poznać i pokochać. Znowu jest to bardzo odległe od Boga fizyków, którzy nawet nie mówią o nim „On”, tylko „to” („ten postulat”, „ta hipoteza”). Przy tej postawie nieuniknione jest rozminięcie się z Nim i trudno powiedzieć o Nim cokolwiek sensownego.

Jakkolwiek chrześcijańska praktyka polega głównie na rozmowie z osobowym Bogiem, teologia mówi o Nim przeważnie w trzeciej osobie i wtedy łatwo wkrada się na jego miejsce bóg filozofów i fizyków (sądzę, że tego bożka należy pisać małą literą). Jest to pozostałość z okresu przed-naukowego, kiedy nauka była jeszcze pomieszana z religią, nie miała swej autonomii i nie będąc sobą nie mogła być autentycznie religijna (w sensie naszkicowanym powyżej). I tak Hawking wspomina o konferencji na temat kosmologii, jaka się odbyła w Watykanie w roku 1981.

Na zakończenie konferencji papież miał powiedzieć zebrany uczonej, wśród których był też Hawking, że wolno im studiować ewolucję wszechświata od momentu zero, ale nie sam moment zero, bo to był moment Stworzenia. Wydaje mi się, że jest to fałszywy sposób oddzielania nauki od religii, zagrażający właśnie autonomii nauki. Do myśli papieża zakradł się bóg fizyków i Hawking, znalazłszy się na swoim terytorium, pomyślał sobie złośliwie, jak to dobrze że papież nie wiedział o jego wykładzie, wygłoszonym na konferencji, o wszechświecie w którym nie ma momentu zero, bo w przeciwnym razie mógłby go spotkać los Galileusza. Nie bardzo to ładne, ale Hawking nie zawsze okazuje się religijnym analfabetą (mam na myśli nie tę złośliwą uwagę, ale zakończenie jego książki zacytowane na początku artykułu). Mam w swoich papierach protokół międzynarodowego seminarium w roku 1980, na którym Hawking wygłosił (chyba przez kogoś) referat o wynikach swych badań w zakresie ogólnej teorii względności. W dyskusji nad referatem pewien izraelski profesor zakwestionował wysunięty przez Hawkinga postulat, który oznaczałby pogwałcenie zasady zachowania liczby baryonów (baryony są to cięższe cząstki elementarne, jak roton i neutron). Hawking odpowiedział na to, że jeśli niektórym ludziom tak bardzo zależy na zachowaniu liczby baryonów, to chyba dlatego, że nie wierzą w życie wieczne i chcą, by przynajmniej ich baryony przetrwały. Przynam się, że w tym przypadku dowcip Hawkinga zabrzmiał mi sympatycznie.

Hawking na pewno nie jest konwencjonalnie religijny — w przeciwieństwie do swojej żony Jane, pobożnej anglikanki, która towarzyszyła mu wiernie w drodze do sławy. Dziwna rzecz, ale ten fizycznie tak upośledzony człowiek ma czworo dzieci. Jane dbała o to, by życie rodzinne było jak najnormalniejsze. Kiedyś powiedziała, że martwi się nie tyle chorobą męża, co tym, że nie potrafi zrozumieć jego matematycznych wzorów. Natomiast w niedawnym wywiadzie skarżyła się, że tak trudno Stephenowi wyperswadować, że nie jest Bogiem. Istotnie jego zaangażowanie w sprawy nauki odznacza się zgola religijnym natężeniem. Ale na pewno nie brak mu też prawdziwie religijnych cnót: odwagi, samozaparcia, wierności, jakiejś fundamentalnej ufności, także humoru. I nie wiem, czy naprawdę brak mu pokory. Tylko o tym wszystkim Stephen nie pisze, może nawet nie myśli. Wartości religijne nie wchodzą w zakres jego refleksji. Jest człowiekiem jednokierunkowym. To ma swoje dobre strony, ale ma i złe. Jest to chyba skrajny przypadek rozvodu dwóch kultur, który polega na tym, że przyrodnicy nie mają pojęcia o Szekspirze, a humaniści chwalą się, że są jołopami w matematyce. A w każdym razie przydałoby się, by teologowie znali się trochę na fizyce, a fizycy na teologii.

Antoni POSPIESZAŁSKI

W sowieckiej prasie

Badając w odległej przyszłości wydarzenia lata 1988 roku, przyszły historyk zwróci uwagę na dwie decyzje państwowe. Trudno powiedzieć, czy za ważniejszą uzna uchwałę o oddawaniu chłopom w dzierżawę ziemi, czy ukaz nt. obowiązku i prawa wojsk MSW ZSSR do ochrony porządku publicznego. Liczni współcześni komentatorzy (przede wszystkim zachodni) podkreślają znaczenie uchwały o arendzie. Niektórzy (zachodni) komentatorzy twierdzą, że Gorbaczow już zlikwidował kołchozy. Komentatorzy sowieccy (np. członek Biura Politycznego i sekretarz KC A. Jakowlew) zapewniają, że „nikt nie zamierza rozpędzać kołchozów”. Natomiast ukazu dotychczas nie skomentował nikt. Być może nikt na niego nie zwrócił jeszcze uwagi od 28 lipca 1988, kiedy został uchwalony. Dziś można się już zapoznać z pełnym jego tekstem, nadesłanym paryskiej gazecie *Russkaja mysl* przez niezależne pismo moskiewskie *Solidarność* (2. 9. 1988).

Trudno wiedzieć, co pomyśli przyszły historyk. Analizując oba teksty dziś, należy zwrócić uwagę na fakt, że owoce pierwszej ustawy są na razie nieznanne. Nie wiadomo, jak będzie pracował sowiecki człowiek na swojej oddanej w dzierżawę ziemi, jeśli wszystko inne pozostanie w rękach państwa (maszyny, narzędzia itp.). Natomiast owoce ukazu o wojskach wewnętrznych widoczne są gołym okiem. 21 sierpnia 1988 odbył się na Placu Puszkina w Moskwie wiec z okazji wkroczenia „bratnich wojsk” do Czechosłowacji. W rozpędzaniu wiecu, któremu towarzyszyło bezlitosne bicie zebranych, w tym i kobiet, bardzo aktywnie uczestniczyły wewnętrzne wojska MSW ZSSR, krzepcy chłopcy w nieznanych moskwiczanom szarych kombinezonach i czarnych беретach. Moskiewskie gazety poinformowały, że są to oddziały do specjalnych zadań, nowa gwarancja *glasnosti*. *Wieczerniaja Moskwa* z 22 sierpnia br. nazwała wiec „prowokacyjnym spodem” i oburzyła się, że na Placu Puszkina znaleźli się korespondenci zagraniczni i że rozlegały się okrzyki przeciwko polityce państwa

sowieckiego i „naszej armii”. „Nasza armia” to korpus wewnętrzny MSW rozpedzający demonstrantów. Korpus wewnętrzny istnieje od 1921 roku, podlegał wtedy WCzK i służył „zabezpieczeniu porządku” na terenie kraju. WCzK dysponowała ponadto wojskami pogranicznymi. Oddziały wojsk wewnętrznych — do tego specjalnie umundurowane, żeby łatwiej było je rozpoznać — po raz pierwszy w dziejach ZSSR skierowane zostały do rozpedzania demonstracji w Moskwie. Po raz drugi oglądano je 5 września, kiedy skromny liczbowo ale czynny „Związek Demokratyczny” zorganizował kolejną demonstrację dla upamiętnienia „70-tej rocznicy początku czerwonego terroru” (5 września 1918 Rada Komisarzy Ludowych ogłosiła oficjalnie, że zaczyna się „czerwony terror”). „Oddziały do zadań specjalnych” znów rozpedzały, biły i aresztowały demonstrantów. „Czarne berety” pojawiły się też w innych miastach, np. w Leningradzie.

Sowiecka prasa podkreśla, że rozpedzanie demonstracji przebiega w całkowitej zgodzie z prawem, jak przystało na praworządne państwo, którym Związek Sowiecki został z chwilą wyboru Gorbaczowa na stanowisko generalnego sekretarza, a może dopiero nim będzie, kiedy latem 1989 roku Gorbaczow zostanie również przewodniczącym Rady Najwyższej ZSSR. 28 lipca 1988 uchwalono dwie ustawy. Jedna — o której mowa powyżej — przyznaje ogromne uprawnienia wojskom wewnętrznym. Druga — o której szeroko rozpisyje się prasa — dotyczy trybu przeprowadzania wieców i demonstracji.

Niespodziewane dla wszystkich ogłoszenie „jawności” wprawiło władze w popłoch. Kiedy nagle zaczęto zwoływać wiece, demonstracje i zebrania, władze nie wiedziały, co robić. Wydawano przejściowe rozporządzenia dotyczące poszczególnych przypadków. Teraz nareszcie jest ogólny ukaz. Jak pisze *Wieczniemia Moskwa* z 22 sierpnia: „W życie weszło Prawo”. Teraz władzom terenowym w każdej chwili wolno zakazać „zebrań, wieców, pochodów i demonstracji”. Sowieci miasta Moskwy dlatego zakazały demonstracji w 20-tą rocznicę inwazji Czechosłowacji, że „inicjatorzy wiecu z rozmysłem starają się przedstawić politykę sowiecką w krzywym zwierciadle”, wskutek czego istnieje „możliwość naruszenia porządku publicznego”. Znaczenie uchwały o wiecach wspartej uchwałą o wojskach wewnętrznych najobszerniej przedstawia wspomniana *Wieczniemia Moskwa*: „Na wszystkie niepokojące społeczeństwo pytania... dała odpowiedź XIX konferencja wszechzwiązkowa”. Kiedy w 1964 roku dobiegała kresu postalinowska odwilż, były zasłużony pracownik NKWD, Arkadij Wasiljew, przesunięty w międzyczasie do pionu literackiego, napisał powieść pod tytułem „Więcej pytań nie ma”. Pytania jednak są, jest ich nawet coraz więcej i coraz więcej ludzi się nimi interesuje. 25 sierpnia 1968 na Plac Czerwony wyszło siedmioro ludzi. Uczestniczka tej demonstracji Natalia Gorbaniewska opisuje w książce pt. „W południe”: „... Po kilku sekundach do siedzących (na Placu Czerwonym) zaczęło biec co sił w nogach około dziesięciu mężczyzn z różnych, jak najbliższych miejsca demonstracji punktów placu... Zerwali plakaty, po czym zaczęli bić sie-

dzących po twarzy, po głowie...". Dwadzieścia lat później demonstrantów było 100-150, ale rozpedzało ich już nie dziesięciu agentów w cywilu, a milicja i wojsko. Postęp jest niewątpliwy. Można go rozpatrywać z dwóch punktów widzenia...

Ładnych kilka lat temu, w spokojnych czasach „zastoju”, w których rozlegały się jednak głosy „dysydentów” i „odszczepieńców”, jak Czingiz Ajtmatow nazywa emigrantów, sowiecki poeta, wierny obrońca sowieckich wartości, prosił w wierszach: „Kochana nasza dyktaturo, nie zechciej słabnąć i obumierać”. Obawy sowieckiego poety były wówczas wyolbrzymione. KGB, tarczę i miecz władzy sowieckiej, trzymał w rękach Jurij Andropow. Także dziś, kiedy KGB rządzi Czebrikow, nie ma powodu do obaw, choć „organy” straciły nieco kontenans, odkąd zezwolono na wiele rzeczy, które wydawały się zakazane na wieki. W obliczu sprzecznych sygnałów, bojąc się — jak przystało na prawdziwych sowieckich ludzi — oskarżenia o „przejęcie”, „pracownicy milicji, prokuratury i sądów osłabli ostatnimi czasy w walce z naruszeniami porządku”. *Prawda* z 26 sierpnia zwraca uwagę, że „osłabienie walki” nastąpiło „ostatnimi czasy”, akurat w chwili, kiedy „zaktywizowały się elementy antysowieckie, antysocjalistyczne”. Centralny organ KPZS cytuje tytułem przykładu demonstrację z 21 sierpnia. „Demokratyzacja bez praworządności grozi anarchią”, tłumaczy *Prawda*.

Ostatnimi czasy, by posłużyć się udaną formułą *Prawdy*, podjęto kroki zapobiegające anarchii. Wspominałem już o nowych ustawach (ukazach) i zleceniu „demokratyzacji” oddziałom do zadań specjalnych. Istnieją też subtelniejsze posunięcia. 1 sierpnia czytelnicy prasy sowieckiej mogą odnawiać prenumeratę gazet na drugie półrocze. Niespodziewanie okazało się, że na najpopularniejsze tytuły (*Ogoniok*, *Moskowskije nowosti*, *Znamia*) prenumeratę zamknięto zanim ją otworzono. „Limit wyczerpany”, odpowiadało chętnym. W Moskwie nazwano to „papierową wojną”. Z jednej strony proceder ten jest sprzeczny z zasadą reformy ekonomicznej: wszystkie gazety i czasopisma przeszły na „rozrachunek ekonomiczny”, czyli własny, i ograniczanie liczb prenumeratorów podcina ich byt finansowy. Ale jeśli się dobrze zastanowić, to dlaczegożby cukier, mięso, tłuszcz, a w niektórych rejonach nawet chleb miały być wydzielane sowieckim obywatelom na kartki, a *glasnost'* nie? Od teraz *glasnost'* też będzie na kartki.

Do subtelnych środków walki z anarchią należy nasilająca się kontrpropaganda. Pięć lat temu ówczesny generalny sekretarz Andropow wspominał o potrzebie jej nasilenia. W komitetach partyjnych różnych szczebli stworzono sieć specjalnych wydziałów d/s wojny propagandowej. Ażeby zrozumieć, jak to się robi, wystarczy poczytać, co wszystkie sowieckie gazety pisały o strajkach w Polsce i „podżegaczach z podziemnych grup” (*Prawda* z 28 sierpnia) nakłaniających robotników do przerwania pracy i groźących łamistrąjkom śmiercią, albo to, co pisały o 20-tej rocznicy inwazji Czechosłowacji, oskarżając Zachód o zorganizowa-

nie „czarnego sabatu antysocjalistycznego” (*Prawda* z 6 września 1988). *Izwestia* z 22 sierpnia br. opisały wydarzenia 1968 do-
kładnie tak, jak dwadzieścia lat temu: „... Siły antysocjalistyczne,
wykorzystując polityczną nieodpowiedzialność i oportunizm czę-
ści ówczesnego kierownictwa KPCz, zdobywały coraz to nowe po-
zycje w społeczeństwie...”.

Kontrpropaganda działa w najrozmaitszych kierunkach. Twier-
dzi np., że „Jekarze Bundeswchry i Pentagonu” starają się „opa-
nować mistykę i irracjonalizm, ażeby skłonić młodych uczonych
do rozszerzenia dla celów militarnych nauk, które na pozór nie
mają z wojną niczego wspólnego”. Twierdzi też, że „antykomu-
niści aktywnie studiują etykę, kulturę i światopogląd Wschodu”,
szukając tam broni przeciwko socjalizmowi (*Prawda* z 29 lipca
1988). Przechodząc od „mistyki i irracjonalizmu” do konkretnej
przeszłości, sowieccy historycy (Lew Bezymienskij, Walentin Fa-
lin) pokazali w artykule „Kto rozpętał zimną wojnę” (*Prawda*
z 29 września 1988), że fałszowanie historii nadal jest ich specjal-
nością. W ogromnym artykule na całą stronę gazety ani razu nie
pada nazwisko władcy sowieckiej polityki zagranicznej, Stalina.
Ukazują się książki. Oto np. — jak twierdzi recenzent — „uchy-
lono kurtyny” nad złowrogą tajemnicą zamachu na papieża Jana
Pawła II. Dwaj sowieccy dziennikarze, E. Kowalew i I. Siedow,
w dziele pt. „Labyrinth prowokacji” dowodzą na „zaledwie” 300
stronicach, że winnym zamachu jest międzynarodowy terroryzm,
którym manipulują specłużby i ośrodki propagandowe Zachodu.
We wrześniowym numerze pisma *Znamia* ukazał się tekst pod
pretensjonalnym tytułem „Monologi” i podtytułem „Zawód: cu-
dzoziemiec”. Autor, Walery Agranowski, opisuje we wstępie, jak
pod sam koniec lat 60-tych „wiadoma instytucja”, czyli KGB,
zapropnowała mu „zebranie materiałów do dokumentalnej po-
wieści o sowieckim szpiegu H.-T. Longsdale”. Na samym końcu
„Monologów” autor uprzedza: „Jeśli czytacie te słowa, to znaczy,
że pozwolono mi opublikować powieść o Connonie Trofimowiczu
Mołodym, a jeśli nie czytacie, to znaczy, że jeszcze nie pozwolili:
jeszcze nie nadszedł czas. Czy nadejdzie?”. Czytamy i czujemy
bezgraniczną wdzięczność dla naszych kochanych „organów”, któ-
re pozwoliły opublikować biografię sowieckiego szpiega...

Z góry uprzedzam — autorowi daleko do Le Carré. Więcej:
był dostawcą powieści szpiegowskich na zgniłym Zachodzie le-
piej się wywiązuje z zadania. Powieść Agranowskiego zwróciła
jednak moją uwagę z dwóch powodów. Po pierwsze w Moskwie
ożywiło się zainteresowanie dla bohaterkiej pracy KGB. To już
się kiedyś zdarzyło. Po śmierci Stalina, rozstrzelaniu Berii i
kilku jego pomocników, po tajnym referacie Chruszczowa i pierw-
szych wiadomościach o zbrodniach „organów” zaczęto wydawać
książki o sowieckich szpiegach. KGB chciało pokazać, że czekałi
zajmowali się nie tylko mordowaniem własnego narodu, ale że
przy okazji bronili też ojczyzny od wrogów zewnętrznych. W tam-
tych latach rozkwitła sława Richarda Sorge, błysnęły i inne
nazwiska. Dziś, kiedy znowu mówi się o przestępstwach „orga-
nów”, KGB znów pilnie potrzebuje bohaterów. Pech chce, że raz

ich już wykorzystano. Co robić? Tu kryje się drugi powód mojego zainteresowania „Monologami” Agranowskiego. Babel napisał kiedyś opowiadanie „Tak to robiono w Odessie”. Spróbujmy opowiedzieć, „jak to robią” w Moskwie. Powieść jest więc dokumentalna. Dokumentalna, to znaczy oparta na dokumentach, czyli prawdziwa. Agranowski dokumentów nie cytuje (ściśle tajne...). Przedstawia natomiast czytelnikowi rzecz znacznie cenniejszą, mianowicie rozmowy z szefami sowieckiego wywiadu. Pisarze regularnie zapraszają do tego samego gmachu (Plac Dzierżyńskiego 2) do dużego gabinetu, w którym siedzi około tuzina czeskistów, a wśród nich bohater powieści. Pisarz zadaje pytania, a bohater powieści odpowiada, spytawszy uprzednio Głównego o zezwolenie. Powtarzając za Churchilllem: tajemnica spowita w zagadkę i owinięta w sekret. Ludzie sowieccy jednak koniec końców dowiadują się, jak bohaterowie „tajnego frontu” walczą o pokój. Sowiecki szpieg G.T. *vel* Gordon Longsdale, *vel* Konstantyn Pierfiliew *vel* Connon Trofimowicz Mołody walczył o pokój od 1955 do 1961 roku, w latach pierwszej odwilży. Ale kto ośmieli się rzucić kamieniem w KGB? Jeszcze Rzymianie radzili miłośnikom pokoju, by szykowali wojnę.

Wszystko byłoby doskonale, gdyby nie jeden drobny szczegół. Londyńskie wydawnictwo Nevill Spearman Ltd. opublikowało w 1965 roku książkę pod krótkim tytułem „Szpieg” i nieco dłuższym podtytułem „Pamiętniki Gordona Lonsdale’a”. Autor stwierdzał w przedmowie, iż on, Gordon Lonsdale, sowiecki tajny agent, zaproponował z Moskwy londyńskiej gazecie *People* swoje pamiętniki. Gazeta je wydrukowała, ale jak to gazeta, co nieco dodała, co nieco ujęła. *Summa summarum*, tajny sowiecki agent postanowił teraz wydać pamiętniki w Moskwie. Tym razem będzie w nich wszystko poza tym, co pozostaje tajemnicą.

Ktoś gotów się zdziwić, że rzecz wyszła w Londynie, a teraz życie i przygody szpiega miałyby być nie wiem czemu tajemnicą? Byłoby to pytanie słuszne, gdyby kiedyś nie pisano w ZSSR o Gordonie-Connonie. Ci czytelnicy *Kultury*, którzy przechowują wszystkie numery, znajdują w moim przeglądzie z maja 1972 roku wzmiankę o powieści (dokumentalnej!) T. Podolina pt. „Spekromandirówka” (ukazała się w *Młodej Gwardii* na przełomie 1971/1972 roku). Bohaterem powieści był tenże Gordon Lonsdale (obecnie występujący jako Longsdale). W 1972 roku Lonsdale walczył z perfidnym Albionem, szykującym się do wojny bakteriologicznej przeciw światu pokoju i socjalizmowi. W 1988 roku Lonsdale’owi udaje się dostać do jakiejś super-tajnej fabryki. W 1965 roku sam szpieg pisał — co było prawdą, skoro mówiono o tym przed sądem — że zdobył tajemnice łodzi podwodnych.

Aby zakończyć tę przydługą historię czekisty dodam, że powieść została opublikowana po wydanych wcześniej rozdziałach z książki Fazila Iskandera „Sandro iz Czegema” i po dobrym pośmiertnym opowiadaniu Władimira Tiendriakowa o pracy czeskistów w Moskwie lat 50-tych. W ten sposób „dokumentalna powieść” nabiera cech prawdziwego dokumentu, pokazuje, że KGB jest gotowe odstąpić nareszcie wszystkie swoje tajemnice. Na

przykład opowiedzieć to, co od 1961 na Zachodzie mógł wiedzieć każdy, kto tylko chciał (kiedy Lonsdale'a aresztowano). Albo np. opowiedzieć, że wszystkie mapy geograficzne były niezgodne z rzeczywistością, świadomie sfalszowane, żeby wróg nie wiedział, gdzie jest. W związku z tym jedynymi prawdziwymi mapami były w czasie wojny mapy niemieckie.

Propagując swoich bohaterów, odkrywając tajemnice, które nikomu poza ich stróżami nie są potrzebne, KGB kroczy w pierwszych szeregach *pieriestrojki*. Która mimo to — ogólnie mówiąc — drepce w miejscu. Przemawiając do dziennikarzy w ambasadzie amerykańskiej, gdzie mu wręczono medal honorowego członka amerykańskiej Akademii Nauk, Andriej Sacharow wyraził zaniepokojenie coraz wolniejszym tempem reform demokratycznych, by nie powiedzieć ich brakiem. Akademik Sacharow napiętnował sekretarza KC i członka Biura Ligaczowa, nazywając go „bardzo groźną siłą reakcyjną”. Nie mam żadnych specjalnych powodów, by bronić reputacji towarzysza Ligaczowa, ale demotywowanie go w prasie zachodniej i w ustach wielu gorących zwolenników *pieriestrojki* w ojczyźnie *glasnosti* służy, moim zdaniem, przede wszystkim podkreślaniu „świętości” Gorbaczowa. Im gorszy jest drugi sekretarz, tym lepszy — tanim kosztem — sekretarz generalny. Przedstawianie trudności *pieriestrojki* jako wyniku knowań „reakcyjnych sił” jest mało przekonujące. W *Ogońku* nr 29 z lipca 1988 ukazał się wywiad z ministrem finansów ZSSR, Borysem Gostiewem. Dziennikarka Ałła Bossart rozmawiała z ministrem na temat podatku dochodowego prywatnych przedsiębiorców. Wszyscy sowieccy ekonomiści doszli do wniosku (jedni ochoczo, inni niechętnie) że tylko dopuszczenie elementów rynku do gospodarki socjalistycznej może ją uratować od śmierci. Prywatna inicjatywa i spółki mają ożywić zduszoną centralizmem i planowaniem gospodarkę narodową.

W marcu 1988 prezydium Rady Najwyższej ZSSR uchwaliło, że prywatni przedsiębiorcy mają płacić podatek dochodowy: od dochodu powyżej 500 rubli — 30 %, powyżej 700 — 50 %, powyżej 1.000 — 70 %, powyżej 1.500 — 90 %. Minister finansów tłumaczy dziennikarce, że taki wysoki podatek dochodowy jest niezbędny, aby „wszyscy byli równi”. Średnia pensja wynosi u nas 250 rubli, powiada minister. „Niewspółmierne do tego dochody prywatniacze będą uzasadnione rozdzielenie robotników, którzy przy dziesięciu godzinach pracy zarabiają 200 rubli”. Minister nie ma wątpliwości: „Gdzie Pani widziała uczciwego człowieka zarabiającego 1.500 rubli?”. Z jego punktu widzenia wszyscy prywatni przedsiębiorcy to kanciarze i spekulanci.

Chcąc ostatecznie przywołać dziennikarkę, minister zawiązał ją do moskiewskiej fabryki samochodów, żeby porozmawiała z proletariatem. Miał rację. Robotnicy jak jeden mąż przeklinali prywatniaczy: „Oszuści! Robotniczą krew piją! Jeżeli mają takie tęgie głowy, niech przyjdą do nas i fabrykę postawią na nogi! Zobaczymy, ile tu wyrobiją!”.

Minister grozi: „W społeczeństwie tworzy się warstwa bogaczy, co doprowadzi do zróżnicowania społecznego i spowoduje

nieodwracalne konsekwencje. Nie zaręczę, że robotnicy nie wyjdą na ulicę...". Być może „czarny reakcjonista” Ligaczow wyraża słuszne interesy klasy robotniczej, której nie chodzi o to, żeby żyć lepiej, tylko żeby innym nie pozwolić żyć dobrze?

W 1926 roku „zjednoczona opozycja” pod przewodem Trockiego walczyła przeciw Stalinowi i Bucharinowi w obronie interesów klasy robotniczej. Dziś zdajemy się być świadkami wielkiego rewanzu Trockiego. W ubogim arsenale bolszewickich idei zostali po zdemaskowaniu Stalina i jego koncepcji budownictwa socjalistycznego tylko Bucharin i Trocki. Ale stanowisko Bucharina, jego apel do chłopów, aby się bogacił, zostały w latach 20-tych uznane za „antyproletariackie”. obrońcy klasy robotniczej typu ministra finansów muszą się odwoływać do Trockiego. Artykuł w *Prawdzie* z 9 września br., pióra generała Wołkogenowa, przywraca Trockiego sowieckiej historii. Jeszcze się go krytykuje (ale i chwali za opór wobec Stalina), ale już się o nim pisze. Sowieccy historycy przejęli m.in. (na razie o tym nie mówiąc) trockistowską koncepcję sowieckiej historii. Można być przekonanym, że wkrótce oznajmią oficjalnie, że Stalin dokonał termidoriańskiej kontrrewolucji. Na razie twierdzą, że wszystkiemu winien jest aparat lub biurokracja.

Wybór jest niewielki: Lenin, Stalin, Trocki, Bucharin. Sowiecka ideologia skazana jest na błąkanie się między nimi.

Na razie — w lipcu br. — ustawy o podatku dochodowym nie zniesiono, ale wstrzymano jej wykonanie: władzom terenowym pozwolono na zmniejszanie go. Nietrudno sobie wyobrazić, jak władze terenowe zacierają ręce...

Adam KRUCZEK

11 września 1988

20-ta rocznica najazdu na Czechosłowację

W tym roku przypada 20-ta rocznica najazdu na Czechosłowację wojsk Układu Warszawskiego — w tym, niestety, oddziałów wojska polskiego. Z tej okazji przypominam, że był Polak, który oddał życie, aby zaprotestować przeciw tej zbrodni i hańbie. Był nim Ryszard SIWIEC, 59-letni magister prawa z Przemysła, oficer AK, który jedenaście dni po inwazji — w dniu 8 września 1968 roku około godziny 11-tej w południe, w obecności tłumy tysięcy ludzi z całej Polski oraz członków rządu PRL z Wł. Gomułką na czele — oblał się benzyną (przedtem rozrzucił ulotki z protestem) i podpalił. Płonąc biegł trybunami stadionu 10-lecia w Warszawie w kierunku łoża honorowej krzycząc: „protestuj! protestuj!...”. Po przebiegnięciu około czterdziestu metrów zemdlął i upadł. Na

„celcie”, zdjętej z samochodu ciężarowego, przewieziono go do szpitala im. Dzieciątka Jezus na Pradze w Warszawie, gdzie zmarł w największych cierpieniach dnia 12 września 1968 roku. Przed śmiercią kazał przynieść magnetofon i zwołał personel szpitalny do swego łóżka. Wygłosił swój manifest protestacyjny przeciw polityce Związku Sowieckiego i przeciw inwazji na Czechosłowację. Część tego przemówienia (też o Czechosłowacji) mam w domu w Krakowie nagraną na kasetę magnetofonową (rodzina R. Siwca pozwoliła mi je przegrać). Zmarł w obecności żony, lekarzy i ubeków, którzy go pilnowali. Ciało jego przewieziono do Przemysła i pochowano na cmentarzu na Zasaniu.

Ryszard Siwiec na miejsce swojej protestacyjnej śmierci przez samospalenie wybrał dobre miejsce i moment. Po pacyfikacji protestów studenckich i decyzji o inwazji i udziale w niej wojska polskiego rząd Gomułki pragnął to po swojemu wytłumaczyć i pochwalić (odbywały się jeszcze procesy studentów). Wybrano na to coroczne dożynki państwowe. Prasa i radio zapowiedziały, że odbędą się w Warszawie największe po wojnie dożynki — święto plonów, w czasie których I sekretarz PZPR, „Wiesław” Gomułka, wygłosi ważne przemówienie. Z olbrzymim nakładem środków i propagandy zwieziono do Warszawy na dzień 8 września delegacje rolników, robotników i pracującej inteligencji z całej Polski, a też delegacje z zagranicy. Święto plonów odbyło się na olbrzymim stadionie 10-lecia. Była piękna słoneczna pogoda i ciepło. Około godziny 9-tej zaczęły się uroczystości powitaniem Gomułki i członków rządu, transmitowane na żywo przez TV polską. Około godziny 10.30 towarzysz „Wiesław” zaczął swoje typowe długie i nudne przemówienie, w którym przytaczał cytry świadczące o rozwoju PRL-u i dobrobycie oraz szczęściu obywateli. Oczywiście powiedział o knowaniach wrogów socjalizmu, syjonistów, imperialistów, którzy próbowali opętać część młodzieży studenckiej itp. Potem przeszedł do spraw międzynarodowych, zaczął mówić o nadziejach wrogów socjalizmu na oderwanie Czechosłowacji od wspólnoty i wychwalać decyzję o „bratniej pomocy” ludowi czechosłowackiemu. Wtedy właśnie Ryszard Siwiec wstał ze swego miejsca (dolne trybuny przy głównym wejściu), oblał się rozpuszczalnikiem benzynowym, wyjął z teczki ulotki, które rozrzucił w powietrze i podpalił się. Najbliższa publiczność zaczęła uciekać w panice. Jak już powiedziałem, Siwiec zaczął biec w kierunku głównej trybuny, wołając głośno „protestuję! protestuję!”. Po przebiegnięciu około 40-50 metrów upadł i dopalał się. Ludzie zaczęli narzucać na niego koce i ubrania, aby go zgasić (jest to relacja pielęgniarza, który miał wtedy dyżur w tej części stadionu i biegł za R. Siwcem, żeby go zgasić). Ubegy i milicja bardzo grzecznie zabrali wszystkich ludzi otaczających udział w gaszeniu oraz gapiów i przewieźli do pałacu Mieszkowskich, gdzie każdy dostał pieniężne odszkodowanie „za udział w akcji gaszenia wariata” i składał pisemne zobowiązanie, że nie powie o tym nic nikomu. Wszyscy byli pewni, że to wariat. Ostre słońce i burza oklasków po każdym zdaniu Gomułki zagłuszyły wołanie Siwca i przytłumiły blask ognia. Strach i de-

moralizacja zablokowały ludzi. Przesuwający się po trybunach ślup ognia i dymu był jednak widoczny przez moment na ekranach telewizyjnych, bo reportaż szedł na żywo.

Ten wstrząsający protest patrioty i głęboko wierzącego katolika nie może zostać ani przemilczany, ani zapomniany! Był to jedyny w tym czasie protest w Polsce, który będzie się liczył w historii. Ani rodząca się opozycja, ani kler, ani intelektualiści nie zrobili nic ważnego, aby pokazać światu i pobratymcom, że my Polacy nie zgadzamy się z tą zbrodnią i hańbą, jaką była inwazja na Czechosłowację w sierpniu 1968 roku.

Kilka danych o R. Siwcu: Ryszard Adam SIWIEC — urodzony 7 marca 1909 roku w Dębicy koło Rzeszowa. Studia prawnicze ukończył na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Po studiach i śmierci ojca przeniósł się z matką do Przemyśla, gdzie założył rodzinę i pracował. W czasie drugiej wojny światowej brał czynny udział w podziemiu AK w randze oficera. Po wojnie przesłuchiwany, więziony i prześladowany. Od lat 60-tych aż do śmierci pracował w Tarnobrzeskich Zakładach Przemysłu Spożywczego jako radca prawny. Głęboko wierzący i praktykujący katolik zaprzyjaźniony z kurią biskupią w Przemyślu. Ma żonę i pięcioro dorastających dzieci: córki — Inocenta i Elżbieta. synowie — Wit, Adam, Mariusz.

Jego dom jest miejscem patriotyczno-religijnych spotkań młodzieży i starszych. Wiosną 1968 mocno przeżywał pacyfikację ruchu studenckiego w Polsce (najstarsze dzieci, Inocenta, Elżbieta i Wit, wybierały się na studia). R. Siwec zdecydował się z grupą przyjaciół na jakąś akcję — protest przeciw zakłamaniu i terrorowi. Przyjaciele po kolei zrezygnowali ze strachu. W kwietniu 1968 R. Siwec napisał testament, w którym zapowiedział swój protest. Testament ten znaleziono po jego śmierci. Kilka dni po inwazji na CSRR zapowiedział, że jedzie służbowo do Warszawy na kilka dni, co często się zdarzało w jego pracy radcy prawnego. Przed wyjazdem udał się z całą rodziną na mszę św., wszyscy przystąpili do spowiedzi i komunii św. Nikogo to nie dziwiło przy religijności R. Siwca. O bohaterskiej śmierci Ryszarda jego żona dowiedziała się na ulicy Przemyśla od pewnego oficera WP z Przemyśla. Po południu 9 września 1968 przylecieli helikoptrem ubecy z Warszawy i wzięli panią Siwec do stolicy, twierdząc, że mąż jest śmiertelnie poparzony w wypadku samochodowym (Siwcową znała już prawdę). Była w Warszawie cały czas przy mężu w szpitalu. Po śmierci R. Siwca władza rozpuszczała pogłoski, że: 1. szaleniec i wariat (nikt w Przemyślu nie uwierzył), 2. że za grube pieniądze z RFN spalił się, aby dostać dolary.

Na Zaduszki, co roku, rodzina i przyjaciele zbierają się u grobu tego wielkiego patrioty z Przemyśla, często fotografowani i legitymowani przez UB. Rodzina Siwców była *non stop* pilnowana przez SB aż do czasu „Solidarności”. Opuścili ich przestraszeni przyjaciele. Opiekował się nimi biskup Tokarczuk. Wit, Adam i Mariusz Siwcowie utworzyli w Przemyślu Komitet Obrony Wierzących (1978-1979 r.), potem przeszli do „Solidarności”. Potem część rodziny przeniosta się do USA.

Jiří Palach spalił się kilka miesięcy później niż Siwiec. Zna go i kocha za to cały świat. Winą nas — Polaków — jest, że nie umiemy ujawnić światu i braciom Czechosłowakom Ryszarda Siwca, który oddał swoje życie, aby zaprotestować i zmyć hańbę udziału Polaków w inwazji na ZSRR. Cześć jego pamięci!

Adam MACEDONSKI

Kronika niemiecka

Na podstawie relacji dziennika *Neue Ruhr Zeitung* z Zagłębia Ruhry *Trybuna Ludu* informuje o niebezpieczeństwach grożących ze strony zachodniemieckich celników polskim podróżnym i turystom wracającym po dłuższym pobycie w RFN do Polski. Na podstawie „poufnych informacji” napływających na przejścia graniczne z terenu całej RFN celnicy pewną ręką wyłapują tych Polaków, którzy, często za głodowe wynają odzienie, podejmowali pracę na czarno. Schwytany delikwent zobowiązany jest zapłacić kwotę „od 50 do kilku tysięcy marek” jako „karę na zabezpieczenie świądzeń”. Dopiero po uiszczeniu odpowiedniej kwoty osoba ta może wrócić do kraju, przy czym prokuratura zachodniemiecka niezależnie od tego wszczynają śledztwo. Należy się spodziewać, że osoby takie będą miały kłopoty z uzyskaniem ponownej wizy turystycznej do RFN. Ponoć skonfiskowano dotychczas Polakom w ten sposób ponad milion marek. Według *Neue Ruhr Zeitung* przeżycia i przesłuchania na granicy RFN są dla polskich podróżnych poniżające. Autor artykułu, Daniel Luliński, maluje mroźny obraz w żyłach obraz orwellowskich Niemiec, w których „polscy przybysze... są na bieżąco śledzeni przez władze i zapewne nie tylko przez celne organa...”. Absurdalność urojenia pana Lulińskiego dokumentuje fakt, iż bońskie MSZ spodziewa się w bież. roku ponad 800 tysięcy podróżnych i turystów z Polski (o 300 tys. osób więcej niż w ub. roku). ■ Klub Niezależnej Myśli Politycznej im. Juliusza Miroszewskiego w Monachium zorganizował w sierpniu wspólny wieczór polsko-czesko-słowacki zatytułowany: „Doktryna Breżniewa po 20 latach — przed rocznicą inwazji na Czechosłowację”. Słowacki dziennikarz Egon Lansky mówił o atmosferze Praskiej Wiosny, postulatach społeczeństwa, niezrozumieniu zachodnich środków masowego przekazu dla polityki Dubczeka. Lansky wskazał, że Praska Wiosna była rodzajem reformy odgórnej, zainicjowanej przez partię. Myśl o ewentualnym konflikcie z Armią Sowietką w obronie reform była dla Dubczeka niewyobrażalna. Armia czechosłowacka była przygotowana do... obrony przed interwencją Zachodu. Podczas tego samego wieczoru ukraiński publicysta i historyk, prof. Bohdan Osadczuk, wygłosił referat o doktrynie Breżniewa i jej aktualności dziś, czyli o zasadach polityki sowieckiej wobec państw bloku wschodniego. W części artystycznej ze wspólnym koncertem wystąpili gorąco przyjęci Karel Kryl i Jacek Kaczmarski, pieśniarz Praskiej Wiosny i pieśniarz „Solidarności”. ■ Po dwóch latach spadku obrotów handlowych między Polską i RFN w pierwszych miesiącach tego roku zanotowano wzrost eksportu o 30 % i importu o 15 %. Władze polskie nie cenią tego jeszcze jako przełomu w stosunkach gospodarczo-handlowych z RFN. Polska nie jest, jak widać, atrakcyjnym partnerem dla RFN. Polska lista ofert eksportowych obejmuje jedynie 953 pozycje, podczas gdy np. Węgrzy mają 3.061 pozycji do zaoferowania. Natomiast poprzez kontakty z firmami RFN Polska uzyskuje dostęp do nowo-

czesnej terminologii. Zaproponowano Niemcom 300 ewentualnych wspólnych przedsięwzięć w celu uzdrowienia polskiej gospodarki, zachęcając ich tym, że realizacja tych przedsięwzięć pozwoli Polsce spłacić długi. Niemieckie kola przemysłowe są jednak ostrożne, tym bardziej, że wzajemne stosunki polityczne także nie układają się najlepiej. Zresztą o czym tu w ogóle marzyć, skoro niemiecki przedsiębiorca musi kilka godzin czekać na połączenie telefoniczne między Bonn i Warszawą (łącznie telefaksowa jeszcze w ogóle nie została wprowadzona) gdyż między RFN i Polską jest tylko 127 linii telefonicznych. Polsko-niemieckie spółki, dla których problem ten jest szczególnie dotkliwy, wystąpiły z propozycją współdziałania w modernizacji telekomunikacji z zagranicą. Nawet *Trybuna Ludu* pozostało tylko sarkastyczne stwierdzenie, iż powściągliwa odpowiedź p. Ceglowskiego brzmiąca: „Sprawa jest rozważana”. ☐ W pierwszych sześciu miesiącach tego roku zachodnio-niemiecki Caritas wystąpił do Polski pomoc wartości 11,5 miliona marek. Deutsche Bank AG, największy bank zachodniemiecki, udzielił trzymilionowego kredytu rzemiosłu i drobnej wytwórczości w Polsce, umożliwiając w ten sposób import z RFN brakujących w Polsce maszyn, urządzeń, surowców i materiałów. Prywatni właściciele zakładów lub przedsiębiorstw muszą jednak najpierw znaleźć kontrahenta na Zachodzie, z którym umawiają się na produkcję określonego artykułu: dopiero wówczas mają szansę uzyskania niezbędnego kredytu dewizowego. Dotychczas znalazło się w kraju ok. dwudziestu takich kredytobiorców. Przeprowadzono także rozmowy z Międzynarodową Korporacją Finansową w celu uzyskania podobnych kredytów z Beneluksu i Austrii. ☐ Jak podał były szef zachodniemieckiego wywiadu Herbert Heilenbroich, wschodnioeuropejski *urywiad gospodarczy* jest tak dobrane poinformowany, że czasami docierają do RFN zamówienia z powołaniem się na wewnętrzne kody producenta. ☐ Marek Świca, starszy radca w Instytucie Urzędzie Kontroli Prasy, Wydawnictw i Widowisk po dwudziestu latach pracy poprosił o azyl polityczny w RFN. Ostatnio miał już pewne problemy w pracy, gdyż przełożeni uważali, że zbyt pobłażliwie stosował przepisy cenzury. ☐ Przewodniczący organizacji ziomkowskiej z RFN — Centralnego Związku Niemców z Niemiec Środkowych i Wschodnich, Horst Sielaff, przebywał w sierpniu w Polsce na zaproszenie stowarzyszenia „Wisła-Odra”, wygłaszając w Szczecinie referat nt. „Przyszłość europejskiego domu i miejsca w nim narodów środkowej Europy — widziane oczyma niemieckiego działacza politycznego”. Organizacja ta zamierza nawet podjąć ze stowarzyszeniem „Wisła-Odra” porozumienie o współpracy. Pan Sielaff jest denotowanym do Bundestagu z ramienia SPD i z panami Hupką i Czają nie chce mieć nic wspólnego. Z niezależnymi ugrupowaniami w Polsce Sielaff widocznie też nie chce mieć nic wspólnego, gdyż w swoich komunikacie prasowym, wydanym po wizycie mówi jedynie o oficjalnych spotkaniach służących jakoby porozumieniu i współpracy. ☐ Tygodnik *Der Spiegel* opublikował bardzo wymowny wywiad z Mieczysławem Rakowskim, który sam siebie nazywa urodzonym ideologiem. Oto kilka najbardziej znaczących odpowiedzi Rakowskiego na bezkompromisowe i ostre pytania *Spiegla*: „Przed wszystkim doświadczenia z przeszłości nie pozwalają nam na zalegalizowanie 'Solidarności'... Ponadto uważam, iż przyszłość Polski nie od tego zależy, czy będzie lub nie będzie 'Solidarności'. Tendencje anarchoistyczne są według Rakowskiego cechą narodową Polaków i dlatego też pluralizm związkowy „nie byłby pluralizmem, a anarchią”. M. Rakowski sugeruje, że być może Polacy nie dojrżeli do demokracji. Politycznie dojrzał dla Rakowskiego natomiast Lech Wałęsa: „To już nie jest ten sam Wałęsa co w roku 1980 czy 1981”. *Spiegel*: „Nic gorzej go już chyba spotkać nie mogło, jak pochwały akurat z Pańskich ust”. Wypowiedź Rakowskiego ujawniają, że tzw. rozmowy przy okrągłym stole mają służyć podważeniu autorytetu Wałęsy. Rakowski: „On przyszedł jako Wałęsa. Nie widzimy w nim przywódcę 'Solidarności', ponieważ organizacja ta legalnie już nie

istnieje". Ostatnie strajki Rakowski zakwalifikował następująco: „Akcje strajkowe nie rozpoczęły się spontanicznie, tylko były sterowane — w przeszłości jak i dziś”. „W wywiadzie poruszony został także problem masowej emigracji młodych Polaków. na co Rakowski widzi rozwiązanie w stworzeniu lepszych perspektyw, tylko że oferowana przez pana Rakowskiego perspektywa „demokratycznego socjalizmu” i „szerokiej platformy dialogowej” już jakoś nie trafia do przekonania młodego polskiego pokolenia. ■ Ostatnie wydarzenia w Polsce otrzeźwiły te mass-media zachodnioniemieckie, które w ekipie Jaruzelskiego dopatrywały się ciągle jeszcze ratownika polskiej racji stanu. Nawet niepoprawna pod tym względem wydawczyni tygodnika *Die Zeit*, hrabina Marion Dönhoff, zdążyła zrozumieć, iż bez „Solidarności” uzdrowienie Polski jest złudnym urojeniem. Nie chce ona jednak, żeby jej przyjaciele utracili władzę, gdyż to „zagrażałoby stabilności świata” i dlatego EWG musi opracować odpowiedni plan pomocy Polsce. „... Niech nikt nie wpadnie na pomysły, że należy dążyć do wyłączenia Polski z Układu Warszawskiego uzasadniając to niemożnością gospodarczego uzdrowienia tego systemu” — pisze p. Dönhoff, nie wyjaśnia jednak, jakie sama widzi możliwości zreformowania tego systemu. Zarazem M. Dönhoff stwierdza, że władze PRL żyją w nieracjalnym świecie. Przykładem żądanie od Bonn 7 miliardów marek kredytów bezwarunkowych i uznanie odmowy za obrazę prowadzącą do ochłodzenia stosunków. ■ Państwa zrzeszone w OECD wyeksportowały w ubiegłym roku do krajów Europy Wschodniej co najmniej 300 tysięcy ton *trujących odpadów przemysłowych*. ■ Zaplanowana na wrzesień wizyta ministra spraw zagranicznych PRL Tadeusza Olechowskiego w Bonn została odłożona. ■ Jan Paweł II planuje na rok 1991 wizytę w *biskupstwie berlińskim*, obejmującym obie części miasta. ■ Doradca kanclerza Kohla do spraw zagranicznych *Horst Teitschük* poinformował, iż rząd zachodnioniemiecki podjął wysiłki dla utworzenia międzynarodowego gremium rozstrzygającego o przyznawaniu kredytów dla krajów Europy Wschodniej. Celem instytucji byłoby wypracowanie wspólnej strategii kredytowej i uniezależnienie przyznawania pożyczek od interesów politycznych poszczególnych państw. ■ Wschodnioniemiecki dziennik partyjny *Sächsische Zeitung* w opowiedzi na list czytelnika: „Fryzjerzy mają *ustawowy obowiązek* odrzucania żądań strzygących się obywateli, gdy proponowana fryzura sprzeczna jest z zasadami moralności socjalistycznej”. ■ Eugeniusz Buczak zajął się w *Głosie Pomorza* opisem Polonii w Berlinie Zachodnim. Działalność emigracji w latach 1980-1984 autor uważa za „wrogo nastawioną do wszystkiego co polskie”. Z tego tytułu działacze emigracyjni „znajdowali duże poparcie wśród wrogich Polsce organizacji niemieckich, w tym także rewizjonistycznych. Wroga działalność berlińskiej 'Solidarności' wspierał także Senat Berlina, przeznaczając na jej działalność wiele marek. Za duże pieniądze, otrzymywane nie tylko z Berlina Zachodniego, lecz także z RFN i organizacji antykomunistycznych innych krajów Europy, można było działać i... także dobrze żyć”. P. Buczak wspomina co prawda o działalności Stowarzyszenia „Solidarność” i wydawanym przez nie piśmie *Pogląd* (które nazywa *Poglądami*) i czyni to nawet bez zjadliwych komentarzy, ale nie odnotował, że akurat to stowarzyszenie i czasopismo miało swego czasu niebagatelne kłopoty z Senatem Berlina. Z uznaniem wspomina o działalności Andrzeja Więckowskiego i jego czasopiśmie *Archipelag*, formułując wszystko w czasie teraźniejszym. Tymczasem *Archipelag* niestety już od dłuższego czasu przestał się ukazywać. „Z lektury tego pisma wynioskowałem, że nie jest ono wrogiem wobec obecnej Polski” — pisze p. Buczak, który lubuje się w takich uogólnieniach.

Krzysztof HYLA — Maciej RYBIŃSKI

Nieśmiertelna Rodziewiczówna

Na skrzydełku „Szarego prochu” wydanego w kieszonkowym formacie, na lichym papierze nakładem Jutra Pracy, Lippstadt 1947, wydawca apeluje do sentymentów odbiorcy: „Drogi Czytelniku! Znow idzie do Twoich rąk książka polska znanej i ukochanej przez nas wszystkich pisarki Marii Rodziewiczówny. W książce tej mamy do czynienia, jak zwykle u tej pisarki, z problemem miłości Ojczyzny i miłości ziemi”. I dalej anonduje w podobnym tonie, że wkrótce ukaże się jeszcze piękniejsza i jeszcze bardziej ukochana powieść tej autorki — „Dewajtis”. Reklama, jak wiadomo, nie polega na głoszeniu prawdy, ale zacytowany ów fragment zdaje się nie odbiegać od stanu faktycznego. Niestabnąca popularność książek Marii Rodziewiczówny jest tematem wstydliwym dla krytyków literackich, bo świadczącym o całkowitej ich nieskuteczności wobec żywiołu czytelniczego. Krytycy już dawno wypowiedzieli się o Rodziewiczównie i nie mają zamiaru do niej wracać. Tymczasem jej dzieło jest zastanawiającym fenomenem kultury masowej, przekraczającym gusty nie jednej, ale kilku epok. Rodziewiczówna stała się wziętą pisarką począwszy od swojej pierwszej powieści, „Strasznego dziadunia”, wyróżnionej na konkursie pisma *Świt*, tygodnika dla kobiet redagowanego przez Marię Konopnicką w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. I jest nią dotychczas, o czym świadczą listy *bestsellerów* warszawskiego *Przeglądu Tygodniowego*. W marcu 1988 roku w księgarni krakowskiej „Lato leśnych ludzi” i „Macierz” (obie w nakładach 100 tys. egzemplarzy) znalazły się na siódmej i ósmej pozycji najbardziej kupowanych książek. W maju warszawianie niemal równie często kupowali „Kosmos” Gombrowicza co „Ragnarök” Rodziewiczówny, podobnie jak mieszkańcy Katowic i Siedlec. Książki te zajęły odpowiednio pierwsze i drugie miejsce na listach *bestsellerów*. Zdumiewające sąsiedztwo, dziwne materii pomieszanie. Jeśli jeszcze okaże się, że „Kosmos” i „Ragnarök” kupowali ci sami ludzie... W każdym razie i stolica i prowincja opowiedziały się za Rodziewiczówną.

W 1988 roku mija sto lat od pierwszego wydania „Dewajtisa”, najpoczytniejszej książki z ogromnego dorobku autorki i zarazem najprzychylniej ocenianej przez krytykę. Sięga teraz po nią piąte pokolenie odbiorców. „Dewajtis” był wznawiany niezliczoną ilość razy i tylko do 1936 roku doczekał się w Polsce jedenastu wydań. Został szybko przełożony na czeski, niemiecki, francuski, serbo-chorwacki. Nie sposób policzyć jego masowych wydań w skupiskach polonijnych Niemiec, Wielkiej Brytanii, USA, Kanady. Ciekawe, ilu emigrantów pod wpływem tej lektury postanowiło wrócić w latach międzywojennych do Polski. Rzecz to nie do ustalenia. Zacytane egzemplarze książek Rodziewiczówny znalazłam w paryskiej bibliotece Instytutu Orientalistyki; najstarsze pochodziły z przełomu wieku. Po francusku „Dewajtis” ukazał się w 1907 roku w przekładzie Jean-Vanceslasy Gasztowtta. Litewską opowieść, ogłaszaną w odcinkach w *Kurierze Warszawskim* przed wiekiem, drukowały następnie przez dziesiątki lat kolejne gazety polonijne. „Dewajtis” należy do kanonu polskiej literatury popularnej, jak „Trylogia”, „Znachor” i „Trędowata”. Rodziewiczówna, porównywana do Kraszewskiego, Orzeszkowej i Weysenhoffa przez przychylnych krytyków, zakasowała bardziej szacownych pisarzy umiejętnością zwaną *Lust zum Fabulieren* i sensacyjnością wątków. Tamci przy niej wyglądają na szlachetnych nudziarzy. Choć niekiedy podejmowała tematykę historyczną (wtedy pod pseudonimem, pisząc o losach powstańców) pisała na ogół o współczesności, tak jak ją widziała z perspektywy swego obserwatorium w Hruszowej. Musiała też czytać sporo literatury obcej — w „Czaharach” kilkakrotnie czyni aluzje do „Peer Gynta” Ibsena. „Dewajtis” nosi ślad lektur amerykańskich. Konflikt w wielu jej książkach zawiązuje się z chwilą śmierci patriarchy rodu i wiąże się z zapisem testamentowym, podziałem majątku, walką spadkobierców o ziemię. Życie wsi poleskiej znała z autopsji i potrafiła je przedstawić w dość plastyczny sposób. Skomplikowanego organizmu miejskiego lub choćby miasteczka robotniczego — jak w powieści „Na wyżynach” — nie umiała opisać wiarygodnie. Reprezentowała zresztą zdecydowany antyurbanizm. Warszawa jest w jej powieściach miastem rozbitków, Paryż — skupiskiem szulerów, gdzie przy stole karciowym Kresowi ziemianie tracą majątki. Pisarka wysyłała niektórych swoich bohaterów w daleki świat, nawet do Ameryki, opisaną z rozbijającą naiwnością, ale nakazywała im powrót. Ostępy, uroczyska, osady pośród bagnisk, nieprzebyte lasy są jej naturalną sceną i w nich czuła się najlepiej. Rozgrywają się w nich wydarzenia mające pewien związek z rzeczywistością, ale rozwiązywane w konwencji baśniowej. Większość jej powieści kończy się dydaktycznym morałem, w którym dzieln i pracowity otrzymują w nagrodę cząstkę dobrego losu. Niekiedy autorka, jakby już znudzona cukierkowym *happy-end*-em, kończy opowieść śmiercią bohatera, ale wówczas jest to kara za odstępstwo, przestroga dla czytelników.

Krakowskie Wydawnictwo Literackie, decydując się na wznowienie niektórych książek Rodziewiczówny, odkryło żyłę złota.

„Czahary” i „Macierz” ukazały się nakładem WL w 1957 roku, w sporym nakładzie 65 tysięcy egzemplarzy. Następnie, w serii „Pism” Marii Rodziewiczówny pod redakcją Anny Martuszeńskiej wyszły dotychczas: „Dewajtis”, ponownie „Czahary”, „Między ustami a brzegiem pucharu”, „Szary proch”, „Joan VII — I-12”, „Ragnarök”, „Macierz”, i „Straszny dziadunio” — już w nakładzie 200 tysięcy egzemplarzy. W kolejce czeka „Jerychonka”, „Anima vilis” i „Jaskółczym gniazdem”. WL zapowiada też wydanie pracy monograficznej o twórczości Rodziewiczówny pt. „Jak szumi Dewajtis?” autorstwa Anny Martuszeńskiej. Zatem w Polsce już bez kresów, etnicznie jednorodnej, Rodziewiczówna została nobilitowana do rangi klasyka. Była nim już dawno z mianowania *vox populi*, a teraz dochodzi oficjalne *placet* poważnego wydawnictwa, które znowu zapełnia domowe biblioteczki jej pismami. Nie wszystkimi, bo nawet najbardziej populistycznie nastawiony redaktor zawaha się przed wznowieniem całości utworów pódnej autorki. W postówiu do „Czahałów” z 1957 roku redakcja zastrzega, że jest to dorobek „bogaty, aczkolwiek w swoich wartościach bardzo nierówny”. W postówiu do „Macierzy” starano się przedstawić Rodziewiczównę jako pisarkę społecznie zaangażowaną po słusznej stronie: „Nieprzerwany niemal poóyt na wsi pozwolił jej zapoznać się z bliska z życiem najbiedniejszych, wyzyskiwanych i krzywdzonych mieszkańców wsi. Tych najbardziej potrzebujących bierze Rodziewiczówna w obronę”. Opinia ta wydaje się być zasłoną dymną dla cenzury, niechętniej ziemiańskiej pisarce z kresów, na dodatek przed wojną lansowanej przez encję. Bohaterka tej powieści, rodzaj protohippiski, sama jest winna swojej nędzy i wyzysk nie ma tu nic do rzeczy. W istocie jest to klasyczny romans w scenerii ludowej, a pełna biologicznej krzepy Magda osiąga w końcu swoje. Odmienne charakterystycznie postawę pisarki PWN-owski przewodnik encyklopedyczny „Literatura polska”: „...konserwatyzm poglądów ograniczył tematykę jej powieści i opowiadań najczęściej do życia na wsi i dworu kresowego, broniącego stanu posiadania ziemi i świadomości narodowej”. W „Małym słowniku pisarzy polskich” ocena wypada podobnie: „Po niepodległości konserwatyzm jej poglądów utawnił się, bo stał się już nie obroną polskości, lecz szlacheckiego stanu posiadania”. Niezupełnie, skoro ulubionym bohaterem autorki jest zmudzki gospodarz, ni to szlachcic ni to chłop. Zbigniew Żabicki, jeden z nielicznych współczesnych literaturoznawców, którzy podjęli niewygodny temat spadku po Rodziewiczównie, nadał swemu szkicowi o niej jednoznaczny tytuł: „Klasyk ziej popularności”. Ten sam krytyk, jako autor hasła poświęconego pisarce w „Małym słowniku...” przychylnie ocenił tylko „Lato łesnych ludzi”, w jego opinii „pełną uroku i szczerego odczucia przyrody opowieść o wakacyjnym pobycie grupki przyjaciół w łesnej głuszy”. Natomiast przewodnik „Literatura polska” określa tę powieść jako „utwór wykazujący związek z ideologią skautingu”. Słowo *ideologia* brzmi niemilo.

Zatem wsteczna czy postępową była Rodziewiczówna? Już przez siebie współczesnych uważana za epigona pozytywizmu, tym

bardziej nie pasowała do późniejszych epok literackich. Co nie znaczy, że z różnych nowinek literackich nie korzystała. Uszczknęła coś z naturalizmu i z modernizmu. Z jej poglądów przedstawionych w książkach nie da się pewnie złożyć spójnego światopoglądu. Pozytywistyczny kult pracy łączyła z romantyczną apoteozą poświęcenia. Bogobojności towarzyszyło żywe zainteresowanie szczytkami pogańskiego kultu na Litwie. Orgdownicza emancypacji, kreśliła sylwetki kobiet silnych i upartych. Niektóre stworzone przez nią postacie kobiece mają za sobą tak zwaną przeszłość i żyją — przynajmniej do czasu — w wolnych związkach. Rodziewiczówna kwestionowała nawet nierozzerwalność małżeństwa w powieściach „Nieoswojone ptaki” i „Wrzos”. Pisarce przypisuje się obronę polskości na kresach wschodnich, ale należy dodać, że do ruchów narodowościowych na Litwie odnosiła się życzliwie, o czym świadczy „Szary proch”. Niektóre dialogi w swoich powieściach podawała po litewsku, który musiała znać niezłe. Gloryfikowała nie tyle polskości na Litwie, co typ człowieka, który na pytanie, kim jest, odpowiada „swój”, który mówi „po naszymu”. Wzmocniła w powszechnej świadomości wyobrażenie upartego, milkliwego żmudzina i siłę związków plemiennych. Zaostrzyła natomiast konflikt swój-obcy, główne w jej książkach przeciwstawienie.

Opozycja krytyki towarzyszyła Rodziewiczównie od jej debiutu. Kazimierz Czachowski w „Obrazie współczesnej literatury polskiej 1884-1934” (Lwów 1934) wspomina w szkicu poświęconym pisarce, że „szerokiego uznania nie obniżyły głosy krytyki, nieraz, zwłaszcza w okresie bojowym Młodej Polski, ujemne lub co najmniej powściągliwe”. Twierdzi, że choć elita wypowiadała się z lekceważeniem o jej książkach, to jednak ukradkiem po nie sięgała. „Bo aczkolwiek liczne są zarzuty, jakie ze stanowiska artystycznego i intelektualnego postawić można powieściom autorki 'Dewajtisa', równoważy je znakomicie jej niewątpliwy talent powieściopisarski. Talent ten polega na zdolności tworzenia mitów, na umiejętności przekonującego narzucania czytelnikowi atmosfery baśniowej”. Ta ostatnia uwaga jest trafna. Nie można oceniać książek Rodziewiczówny miarą realizmu. Stefan Żółkiewski wyśmiał w jednym ze swoich referatów „Lato leśnych ludzi”, pytając: Kiedy ci ludzie pracują? Z czego żyją? Nie zdziwiły go natomiast mówiące zwierzęta. Rodziewiczówna opowiada klechdy oparte na wątkach wziętych z życia i tak je należy traktować. Czachowski, ostrożny w ferowaniu sądów na temat popularnej autorki, zalicza jej twórczość do „niższego poziomu”, co nie znaczy, że ją potępia. Uważa bowiem, że takie utwory prowadzą następnie odbiorcę „do dzieł na wyższą miarę sztuki”. Nie jest to wcale takie pewne. Te późniejsze, ciągnie krytyk, mogą być nawet ze społecznego punktu widzenia pożyteczniejsze, „bo przedostają się do najszerszych mas”. Wywód jest niejasny i trochę podejrzany, ale słusznie zwraca uwagę na siłę oddziaływania literatury popularnej. Wcale nie jest obojętne, jaki jest jej poziom i co utrwała w świadomości zbiorowej. I może należałoby życzyć Polsce wyższego poziomu średniej lite-

ratury o masowym zasięgu, nie tylko kilku geniuszy. To jednak należy do sfery pobożnych życzeń. Ale pytanie należałoby sformułować jeszcze inaczej: czego szuka czytelnik w powieściach Rodziewiczówny? Co w tej twórczości zaspokaja jego potrzeby? Dlaczego ją sobie wybrał na tak długie lata? Zdaniem Czachowskiego, odbiorca znajduje w tych książkach wzór postępowania bohatera w warunkach zwykłych, codziennych. Zauważył to nawet Boy-Zeleński, którego o przychylności do pisarki nie należy podejrzewać, gdy w przedmowie do „Fedry” Racine’a napomknął, że łączy ją z... Corneille’em zdolność do kreowania heroicznych postaw...

O Rodziewiczównie wypowiadało się swego czasu wielu krytyków, kąśliwie lub apologetycznie, między innymi Piotr Chmielowski, który nawet napisał wstęp do „Dewajtisa” w 1900 roku, Antoni Potocki, Bronisław Chlebowski, Adam Grzymała-Siedlecki. Henryk Sienkiewicz wysmażył na jej cześć list otwarty na jubileusz autorki w 1911 roku, ogłoszony w *Kurierze Warszawskim*. Specjalny numer *Bluszczy* poświęcony w całości Rodziewiczównie ukazał się na kolejny jej jubileusz, w 1927 roku. W 1934 roku autorka otrzymała nagrodę literacką imienia Elizy Orzeszkowej. W latach 1926-1939 ukazały się we Lwowie jej „Pisma” — ogółem 36 tomów, ze wstępem Zdzisława Dębickiego. Krytyk przedrukował następnie swój panegiryk, wyjątkowo irytujący dla współczesnego czytelnika, w dwutomowych szkicach pt. „Portrety” (Warszawa 1927) i jeszcze raz, w roku 1936, w poznańskim wydaniu jubileuszowym „Dewajtisa”. Chwali pisarkę właśnie za to, co w jej utworach jest płaskie i stereotypowe: jednostronny i pogardliwy stosunek do ludności żydowskiej na kresach, przejawy ksenofobii, skłonność do patosu, zły styl, moralizatorstwo. Książki Rodziewiczówny „pozostawiły posiew zdrowego ziarna, ziarna nade wszystko polskiego i chrześcijańskiego...”. Są to powieści „uczciwe i poczciwe, oparte na motywach rodzinnych, uczące kochać to, co własne, co swoje, co narodowe”. Gdyby — hipotetycznie rozważa Dębicki — „lud polski nie posiadał w swej masie 59 % analfabetów, ich poczytność byłaby jeszcze większa”. To, rzeczywiście, sprawdziło się. Pomyśleć: w 1988 roku 200 tysięcy egzemplarzy „Strasznego dziadunia” na rynku. Czego dziś sięj czytelnicy szukają w Rodziewiczównie? Przecież nie tylko powieści z myszką, dagerotypu. Spróbujmy sobie na to odpowiedzieć.

Najpierw jednak przypomnę pokrótce życiorys pisarki. Tak się złożyło, że daty jej życia pokrywają się z datami powstań: styczniowego i warszawskiego. Pierwsze zaciążyło na całej jej biografii, drugie przypuszczalnie przyspieszyło jej śmierć, w podszym zresztą wieku 81 lat. Maria Rodziewiczówna, używająca też pseudonimów Zmogas (czyli Żmudzin) i Maro, urodziła się 2 lutego 1863 roku we wsi Pieniuha na Grodzieńszczyźnie. Jej rodzice za udział w powstaniu zostali uwięzieni i zesłani na Syberię, a majątek uległ konfiskacie. Wychowaniem dziecka zajęła się krewna, Karolina Skirmuntowa, sportretowana następnie w powieści „Byli i będą”. Po zwolnieniu rodziców Rodziewiczówna

przeniosła się z nimi w 1871 roku do Warszawy, gdzie została umieszczona na pensji. Gdy jej ojciec odziedziczył po swym bracie majątek Hruszowa pod Antopolem, Rodziewiczówna kształciła się dalej w zakładzie Niepokalanek w Jazłowcu. Po śmierci ojca w 1881 roku i wkrótce potem matki sama zajęła się podupadającym i zadłużonym majątkiem. Własną pracą i późniejszymi dochodami literackimi oczyściła hipotekę. Debiutowała w 1882 roku nowelą ogłoszoną w *Dzienniku Anonsowym*. Dębicki tak oto szkicuje portret młodej dziedziczki: „Więc 'panienka' z dworu kresowego przywdziewa grubą kurtę z szarego samodziła 'białoruskiego, chodzi w obuwiu juchtowym, w krótkiej spódnicy (...), strzyże włosy krótko, 'po męsku', i od świtu do nocy dogląda swego dobytku, pomnaża go, długi ciężące na ziemi opłaca”. Rodziewiczówna musiała jednak dość szybko odkryć, że pisaniem zdobędzie potrzebne na spłacanie długów pieniądze. Pisała pośpiesznie, dużo i dla zarobku. Uczynił jej z tego zarzut Wilhelm Feldman we „Współczesnej literaturze polskiej” (Kraków 1930), nazywając ten typ powieści dziennikarską, bo pisaną z myślą o druku w odcinkach: „Na poziom ten, czyhający na większość pisarzy polskich w pewnym okresie życia, gdy stają nad pytaniem: surowa sztuka i nędza, czy popłatny *Kurjerek*, na poziom ten zeszło wiele talentów narratorskich, po których można się było więcej spodziewać (...). Nadzieję budził przed rokiem 1890 niewątpliwy talent Rodziewiczówny, kiedy w 'Dewajtisie' stworzyła symbol starego dębu i jak on wrosniętego w ziemię Marka Czertwana. Wszystko jednak co miała do powiedzenia, wypowiedziała w tym właśnie utworze; w nieskończonym szeregu dalszych daje nieraz rzuty jaskrawej a dużej fantazji, która przy dyscyplinie kulturalnej mogłaby tworzyć rzeczy niepowszednie...”.

Po sukcesie „Dewajtisa”, nagrodzonego przez *Kurjer Warszawski* w 1888 roku, autorka część zimy spędzała co roku w Warszawie i o swoje interesy wydawnicze dbała z równą siłą woli, co o majątek ziemski. Wstąpiła do Koła Zjednoczonych Ziemianek, gdzie zajmowała się wydziałem ekonomicznym. Podczas pierwszej wojny światowej pracowała w Czerwonym Krzyżu, pomagała też w organizowaniu odsieczy dla Lwowa. Po zakończeniu wojny nadal czynna społecznie, wzniosła w Antopolu Dom Polski dla nauczycieli i odnowiła kościół w swojej parafii. Począwszy od 1887 roku przez następnych dwadzieścia lat ogłasza rokrocznie co najmniej jedną powieść lub zbiór opowiadań. Podobno pisała je zimą, w czasie wolnym od zajęć gospodarskich. Dopiero w starszym wieku zmniejszyła tempo produkcji literackiej. „Lato leśnych ludzi” było jej pierwszą powieścią ogłoszoną w niepodległej Polsce, ale niewykluczone, że powstało wcześniej, bo jego akcja toczy się w czasie zaborów. W 1926 roku ukazały się „Niedobitki z granicznego bastionu”, trzy lata później — „Florjan z Wielkiej Hłuszy”, w 1931 roku — „Dwie rady” i wyraźnie autobiograficzne „Gniazdo Białozora”. Do informacji na temat losów autorki z chwilą wybuchu drugiej wojny nie udało mi się dotrzeć. Przypuszczalnie były dramatyczne, jak dla większości mieszkańców ziem litewsko-białoruskich. Pisarka zmarła w Żelaznej lub

w Leonowej pod Skierniewicami, 6 lub 16 listopada 1944 (dane na ten temat różnią się). Musiała zatem przeżyć najgorsze, także utratę ziemi rodzinnej, z którą związek był naczelnym tematem jej twórczości.

Zatem co pociąga współczesnego czytelnika w książkach Rodziewiczówny? Przypuszczalnie wszystko to, nad czym pastwi się krytyk: nieskomplikowana, choć pełna gwałtownych zwrotów fabuła z różnaitością kataklizmów, zabójstw, cudownych ocalań; schematyczny rysunek postaci, etos rycerza-oracza, wyidealizowany obraz zaścianka żmudzkiego, ckliwość i melodramat. Świat jest nieprzenikniony i niezrozumiały, a tu Rodziewiczówna przedstawia taką jego wersję, którą można ogarnąć i pojąć, bo rządzią nim stałe prawa. Przeszłość staje się w jej ujęciu arkadyjską krainą, gdzie wprawdzie nie brak ludzi chytrych i podstępnych, ale w ostatecznym rachunku są oni skazani na przegraną. Pukle-rem jest honor i praca. Dobro i sprawiedliwość zwyciężają.

Człowiek — uczy Rodziewiczówna — jest przypisany swemu miejscu urodzenia, ma z nim tajemniczy i trwały związek. Żle jest, gdy kołyskę od grobu dzieli długa droga. Jeśli człowiek swoje miejsce opuszcza, narusza więź, którą tworzą: ziemia, wspólna wiara, pokrewieństwo, wychowanie. Autorka jest wyznawczynią patriotyzmu lokalnego, zakątka krewnych i sąsiadów, gdzie wszyscy się znają. Obcy, przybysz, jest postacią moralnie podejrzaną. „Obcy a wróg to jedno” — przestrzega w „Lecie leśnych ludzi”. Stąd jej niechęć do Żydów i do osadników niemieckich, by nie wspomnieć o urzędnikach carskich. Wszelkie przejawy cudzoziemszczyzny potępia. Głosi ideał życia wedle dawnych obyczajów, w małych wsiach-wspólnotach odciętych od cywilizacji, utopię niemal w stylu Robinsona Crusoe. Ta wspólnota jest samowystarczalna i gdy tylko ma dobrego pana, świecącego przykładem, rozkwita: „Błogosławiony to zakątek, nikomu nie braknie chleba i paszy, daleko do miasteczek, nie ma szynku, nie potrzeba pieniędzy. Chłop syty, pola i paszy ma w bród, nie potrzebuje kraść. Moje warunki są tego rodzaju, że ani ich wyzyskiwać, ani obciążać nie mam potrzeby... Możemy utrzymać *patriarchalny* (podkreślenie moje — R.G.) stosunek i żyć w zgodzie ze sobą” — mówi Zofia w „Czaharach”, napisanych w 1905 roku.

Wspólnota u Rodziewiczówny z otwartymi rękami przyjmuje synów i córki marnotrawne, nakazując im: „Zostań”. Autorka poddaje swoich bohaterów licznym próbom, by wyprowadzić ich na silnych i szlachejnych ludzi. Przewodnikiem młodego w takiej inicjacji bywa dziadek, ojciec lub matka. Gdy prace w myśl ich wskazań zostają spełnione, adepta czeka nagroda. Zło, nawet występki, można okupić — uczy dalej Rodziewiczówna. Namietność i chciwość niszczy, miłość naprawia i ulepsza człowieka. Cierpienie uczy pokory i należy mu się poddać. Prawy w końcu wychodzi na swoje, nawet gdy jest fałszywie oskarżany. W „Na wyżynach” autorka odwołuje się wprost do Księgi Hioba. Ten wzór zastosowała wielokrotnie w konstrukcji fabularnej swoich powieści.

Sławiąc styl życia jak „ongis”, zaleca umiarkowanie. Dom w jej opowieściach litewskich nie jest wcale rozłożystym dworem, lecz schludną chatą urządzoną po spartańsku. Izba Zofii w „Czaharach” ma prosty stół zbitý z desek, podłogę krytą suk-nem miejscowego wyrobu i ściany zdobne sieciami, koszami, ro-gami. Chata Marka w „Dewajtisie” jest bielona, czysta, oplecio-na dzikim winem. Ludzie chodzą w ubraniach z lnu i samodziału, w łapciach z łyka. Jak w westernach, są przedsiębiorczy, odważ-ni i obznajomieni z naturą. Potrafią przetrwać w najbardziej nie-sprzyjających warunkach. Najlepiej czują się na odludziu. Obraz litewsko-białoruskich ostepów chyba najbardziej zjednuje współ-czesnego czytelnika do prozy Rodziewiczówny. Jest to atrakcja tym silniejsza, że te mityczne obszary są już niedostępne. Pozo-staje więc obcowanie z nimi przez literaturę, która je utrwaliła. Nawet, *z* może szczególnie przez taką, która jest nostalgiczna i pełna patosu: „Hej, rubieże dalekie Rzeczypospolitej, hej, kresy ciche, puste, zażawione, wyludnione, wymordowane, wysiedlone, zamarte dla szpiegowskiego oka triumfującego łupieżcy-kata, kor-donami bagnatów i ziemskiej mocy, dokumentami rządów potęż-nych i kongresów od Macierzy oddarte i z kart wykreślone” — wzdycha Odrowąż w „Lecie leśnych ludzi”. W Rodziewiczównie współczesny czytelnik szuka też przypuszczalnie mitu przetrwa-nia. Wreszcie pragnie wierzyć w odradzające właściwości natury. Las jest mitycznym powrotem do matecznika. Można w nim ulec złudzeniu, że wszystko da się zacząć od początku.

Na sesji poświęconej literaturze kresów w Lille w 1987 roku profesor Jan Błoński wygłosił referat o „Raju polskim oć Mic-kiewicza do Rymkiewicza”. O Rodziewiczównie w nim nie wspo-mniał, ale jego wywód pozwala także lepiej zrozumieć fenomen jej popularności. Błoński podkreśla, że mit litewski, w odróż-nieniu od ukraińskiego, powstał nie wskutek walki i podboju, lecz unii. Urok odległej Litwy polegał na ubóstwie tych ziem i prostocie życia mieszkańców. „Raj polski” był tym droższy, im bardziej był zagrożony, a pojęcie zagrożenia brało się z obecności obcej, niepojętej siły militarnej. Przyczyn zła szukano nie w różnicach etnicznych, religijnych czy kulturowych, lecz w obcej władzy. Silnie zatem w literaturze tych obszarów zaakcentowany jest antagonizm swój — obcy. Polskość definiuje się nie tyle przez język, co przez stan, bo szlachta z pewnością była bardziej polska niż chłopci, ale przede wszystkim przez styl życia. Tak pojęty „polski raj” jest rodzajem federacji sąsiadów, wolnych i równych sobie. Jego wyobrażenie musiało więc powstać z dala od wielkomięjskiego centrum; to rodzaj matecznika czy rezer-watu, w którym obyczaje były silniejsze niż prawa. Porządek w tej arkadii oparty jest na wspólności, także wspólności ludzi z naturą, gdzie rośliny i zwierzęta traktuje się jak przedłużenie rodziny.

Rodziewiczówna także wzmocniła w wyobraźni zbiorowej obraz tego raju polskiego i dodała doń wiele szczegółów. Odrzuć-my „awantury arabskie”, jak określił jeden z krytyków jej skłon-ność do naiwno-przygodowych wątków. Pozostaje rzetelny opis

natury, życia leśnego i gospodarskiego. Pisarka kusi utopią głuszy, Rzeczypospolitej kmieci. Staje tam czas historii, człowiek podporządkowany jest zegarowi biologicznemu. Jak silny jest ten mit terapeutycznych właściwości lasu, świadczy dziś popularność książek Newerly'ego. I gdyby tylko — chciałoby się powtórzyć za Feldmanem — Rodziewiczówna miała więcej „dyscypliny kulturalnej”, o jej popularności nie pisałoby się z pewnym zażenowaniem, z pomocą słowa „aczkolwiek”, które wiele razy spotyka się w opiniach krytyków.

Zalecać lektury jej książek nie ma potrzeby, wzbraniać — nie ma powodu, bo czytelnik i tak postawi na swoim. Wypada mu tylko życzyć, aby czytał je jak baśnie i nie dał się uwieść obrazowi wiecznej szczęśliwości we wspólnocie plemiennej.

Renata GORCZYŃSKA

Dziwaczny pomysł

Artykuł ten powstał jako utrzymany w popularnym tonie referat pt. „Sobowtór” i „zwierciadło”: hipoteza dwuznaczności pewnych tekstów, który posłałem na pewne sympozjum komparatystyczno-literackie i który podobno został na nim odczytany. Jest to bardzo skondensowany szkic hipotezy interpretacyjnej, jaką sformułowałem w trakcie wieloletniego zajmowania się tekstami związanymi z zoroastryzmem, tzn. przedmuzulmańską religią Iranu. Pozwalam sobie przedstawić ten tekst czytelnikom niekoniecznie zainteresowanym tematyką orientalistyczną, ponieważ wydaje mi się, że hipoteza, o której będzie mowa, mogłaby ewentualnie znaleźć zastosowanie w odniesieniu do pewnych tekstów w literaturze naszej cywilizacji. Chcę podkreślić z naciskiem, iż chodzi tu o hipotezę, czyli pewną aprioryczną konstrukcję pojęciową, a nie o twierdzenie w pełni udokumentowane faktami. Na korzyść tej hipotezy przemawia to, że pozwala ona lepiej, tzn. w sposób bardziej racjonalny i naturalny, wyjaśnić treść i strukturę pewnych tekstów, co nie stanowi jednak jej potwierdzenia rzeczowego. Ograniczam się więc tylko do stwierdzenia, że hipoteza ta nie jest niemożliwa logicznie.

Aby sformułować, na czym polega chwyt semantyczny, który nazywam „sobowtorem”, muszę poświęcić kilka słów mitologii irańskiej, gdyż to ona nasunęła mi myśl, iż pewne stare legendy mogą być w istocie celowo skonstruowanymi alegoriami; tak w każdym razie traktuję obecnie eschatologię zoroastryjską. Kosmologiczno-eschatologiczna doktryna staroirańska nie występuje w Aweście (= zoroastryjskim Piśmie św.; przyp. IX-VII wiek przed Chr.) w postaci skodyfikowanej; są to raczej luźne wzmian-

ki rozsiane w różnych tekstach, zwłaszcza w tzw. *yaszt'ach*. Bardziej systematyczny jej wykład znaleźć można dopiero w tekstach średnioirańskich, zwłaszcza w tekście pt. *Bundahiszn* (ca. „*fundatio, geneza*”) powstałym przyp. w IX wieku po Chr. i stanowiącym rodzaj rekapitulacji i rekonstrukcji materiału awestyjskiego. W opisanym tu micie historia świata zaplanowana jest na 12 tysięcy lat, ale właściwie dzieje stworzenia zajmują tylko drugą połowę tego okresu, gdyż zaczynają się u progu 7-go milenium atakiem Złego Ducha na królestwo Ohrmazda. Stworzenie świata stanowi rodzaj reakcji obronnej na tę agresję: powstają morza, rzeki i góry oraz pojawia się pierwsza para ludzka, której potomstwo reprezentowane jest przez dwie dynastie mitycznych władców. Całość historii zmierza ku końcowi świata, zwanemu „odnowieniem” (śr. pers. *fraškart*), w trakcie którego nastąpi zmartwychwstanie zmarłych, ich sąd i ostateczne wygnanie Złego Ducha z królestwa Ohrmazda.

Analizując tę dość szczegółowo a zarazem niejasno opisaną legendę doszedłem do wniosku, że nie utrzymałaby się ona z tyłoma szczegółami w ciągu tak długiego czasu, gdyby stanowiła wyłącznie bajkę wymyśloną przez jednego człowieka czy też była eklektycznym zlepkiem zapożyczeń z innych cywilizacji (choćż nawiązania wedyckie są w niej wyraźne). Uznałem, że jest to świadomie skonstruowana alegoria opisująca coś istniejącego w świecie i że tradycyjnie przekazywana znajomość rzeczywistego modelu przyczyniła się do długowieczności (może nawet rozwinięcia) mitu awestyjskiego. Rozważyłem z tuzin dziedzin dostatecznie ważnych dla człowieka, by zasłużyć na tak złożoną alegorię, ale żaden z tych modeli — poczynając od produkcji metalu a kończąc na podstawach matematyki — nie pasował. W pewnym momencie uderzyło mnie, że zawiła geografia mityczna opisana w *Bundahiszn'ie* przypomina fantazyjny opis anatomiczny i że góry odpowiadają w niej kościom, rzeki — żyłom, a morza i jeziora — różnym wewnętrznym organom człowieka (czy szerzej: ssaka). Bez wdawania się w szczegóły podam mój obecny pogląd na tę sprawę: wydaje mi się, że awestyjski mit świata jest oparty na projekcji ludzkiego ciała (mikrokosmos) na wszechświat (makrokosmos), zaś „atak Złego Ducha” od którego zaczynają się dzieje ludzkości przypomina penetrację pokarmu do ust i dalsze losy pożywienia w systemie trawiennym. Era 12 tysięcy lat wydaje się makrokosmiczną projekcją 24-godzinnej doby (czyli jedno milenium odpowiada 2 godzinom), a lata panowania poszczególnych władców mitologicznych dość ściśle odpowiadają w tym przeliczeniu trwaniu różnych faz trawienia (które w normalnym organizmie zajmuje ok. 12 godzin).

Przyjmując, że u podstaw koncepcji awestyjskiej istotnie leży taki paralelizm mikro- i makrokosmiczny (*nota bene* niewielu moich kolegów-orientalistów z tym się zgadza), można go тракtować dwojako: albo uznać go za poważny „ogład” metafizyczny, albo przyjąć, że chodziło tu o celową mistyfikację i o stworzenie żartobliwej zagadki zwiększającej atrakcyjność pewnych tekstów. Skłaniam się do tego drugiego rozwiązania. Wbrew pow-

szechnej opinii traktuję teksty awestyjskie nie jako literaturę religijną w dzisiejszym sensie tego słowa, a jako (w najstarszych częściach w każdym razie) literaturę *tout court*, stworzoną dla celów pedagogicznych, a ściślej: w celu szzerzenia ujednoczonego języka narodowego. Wtrąćmy nawiasem, że nie wiadomo ani gdzie, ani kiedy dokładnie teksty te powstały; zazwyczaj przyjmuje się za ich kolebkę Centralną Azję, a życie Zoroastra (moim zdaniem postaci mitycznej) jest umieszczane między 1600 a 600 przed Chr.!

Osobiście uważam te teksty za medyjskie, powstałe w okresie krzepnięcia tego pierwszego państwa irańskiego (pn. zach. Iran) około VIII wieku przed Chr. Był to okres rozpadu wspólnoty indo-irańskiej, a sprawa posiadania własnego jednolitego języka musiała mieć dla Medji duże znaczenie polityczne jako czynnik spójności społeczeństwa. Stąd może płynęło wyraźne poparcie państwa dla magów, pełniących w istocie funkcję oświatową. Wróćmy do spraw bardziej literackich.

Zauważmy, że paralelizm mikro- i makrokosmosu w micie irańskim ustanawia paralogiczną (czy wręcz: schizofreniczną) tożsamość człowieka-kosmosu i zawartości ludzkich jelit (ludzie w tym kosmosie). Dla osoby obznajomionej z tą zasadą tożsamości — pozornie „utwierdzoną” przez mit — teksty literackie traktujące o ludziach stają się w istocie dwuznaczne: opisy, wskazówki czy apele dotyczące istot ludzkich mogą też być odczytywane jako odnoszące się do groteskowego „sobowtóra” człowieka. Otwiera to duże możliwości dla twórczości o charakterze *komicznym* — szczególnie jeśli teksty zostaną już z założenia skomponowane ambiwalentnie — choć komizm ten potrafią ocenić tylko osoby znające trick podstawowy (bądź to dlatego, że same rozszyfrowały mit, bądź to że zostały przez kogoś wtajemniczone). Szczególnie zabawne dla wtajemniczonego odbiorcy będą teksty sformułowane uroczyście i patetycznie, gdyż kontrast między makro- i mikroobiektem dyskursu będzie szczególnie duży. Nie jestem zupełnie pewny, czy tekstów takich nie ma w naszym dziedzictwie literackim — i to nie tylko w Iranie.

Przejdźmy do hipotezy „zwierciadła”. Część tekstów awestyjskich, znana pod nazwą *gāthā* („pieśni”) to stroficzne i rytmiczne utwory, których „podmiot liryczny” czyli narrator mówiący w 1-ej osobie zwraca się do naczelnego bóstwa Ahura Mazdy (dosł. „Mądrego Pana”) w 2-ej osobie. Są to przeważnie błagania, o pomoc i litość; narrator skarży się na prześladowania ze strony jakichś złych postaci, wychwala własną cnotę i pomstuje na przeciwników. Teksty te są nader niejasne (także językowo), ale można o nich powiedzieć przynajmniej tyle, że trochę przypominają charakterem biblijne Psalmi. Znow, nie wdając się w szczegóły, streszczę moją hipotezę interpretacji *gāthōw*.

Podaję, że teksty te oparte są na fortelu semantycznym korzystającym z deiktycznego charakteru zaimków. Odniesienie przedmiotowe zaimków osobowych jest okazjonalne i 1-sza osoba oznacza po prostu mówiącego, a 2-ga osoba — odbiorcę przekazu.

W wypadku tekstów literackich czytelnik interpretuje odruchowo wypowiedzi posługujące się zaimkami „ja” i „ty” jako dyskurs autora skierowany do jakiejś określonej osoby trzeciej, przewidzianej na odbiorcę. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by po kryjomu zmienić ten tradycyjny porządek rzeczy: „ja” może oznaczać sam utwór (ca. „ja — poemat”, „my — te słowa”), zaś „ty” (ewentualnie zaopatrzone w jakiś epitet pochwalny) — dowolnego aktualnego słuchacza lub czytelnika tekstu. Poemat może zwracać się do niego prosząc np. o uwagę i właściwe zrozumienie, wychwalać wspaniałomyślność czytelnika i ostrzegać go przed fałszywą interpretacją. Oczywiście, znów jest to mrużenie okiem do wtajemniczonych i kpiny z nieuprzedzonego czytelnika, dla niego bowiem wypowiedź takiego „zwierciadlanego” tekstu będzie enigmatyczna; najczęściej potraktuje to jako odautorską wypowiedź skierowaną do jakiejś istoty zaświatowej.

Nie ośmielę się twierdzić, że w pełni rozumiem zagadkowe (często czysto filologicznie) *gāthā*, ale sądzę, że z punktu widzenia hipotezy „sobowtóra” i „zwierciadła” ich treść staje się jaśniejsza. Bardzo ogólnie określiłbym ją następująco: upersonifikowany poemat zwraca się poprzez swoje *r* edium (recytatora lub może — znów hipoteza — dawny tekst pisany) do odbiorcy, pochlebia mu pięknym tytułem, recytuje litanie jego cnót, wzywa do miłosierdzia, prosi o uwagę i skarży się na „złych”, którzy go — poemat — krzywdzą. Na czym polega ta krzywdza? Odbiorcy nie rozumieją „zwierciadlanej” konwencji poematu i interpretują go w sensie normalnym, tzn. świeckim, materialnym, a tym samym umieszczają go w przestrzeni semantycznej, do której odnosi się *trick* „sobowtóra”. W tym zaś wypadku „ja” może oznaczać „sobowtóra”, przemawiającego do swego makrokosmicznego odpowiednika, lub *vice versa*. Narrator, czyli upersonifikowany poemat, zdaje sobie sprawę, że taka interpretacja jest możliwa i że w tym wypadku treść jego wypowiedzi mogłaby być interpretowana jako groteskowa tyrada „treści jelit” do swego dyspozytora (nie trudno zgadnąć, gdzie usytuowanego) — i w gorących słowach ostrzega przed tym zwracając uwagę, iż źli odbiorcy sami znajdują się przez to w złej sytuacji semantycznej. Następują dalsze apele do „Mądrego Pana” czyli idealnego odbiorcy, by pojął o co chodzi i wybawił poemat z kłopotów, w zamian za co ten będzie śpiewał jego chwałę.

Jaki mógł być cel tych utworów? Jak powiedziałem można przypuścić, że początkowo stanowiły „materiał dydaktyczny”, który z biegiem czasu na skutek niezrozumienia przez większość adeptów został zsakralizowany i oficjalna — powierzchowna — wykładnia wzięła górę. W okresie początkowym celem zagadkowości i skomplikowanego stylu tych utworów mogła być raczej medytacja nad ich znaczeniem, zmuszająca do refleksji gramatycznej, a równocześnie mógł to być rodzaj antycznego testu inteligencji i samodzielności umysłowej. Zagadkowość wywołana jest tu kombinacją dwóch *trick*ów semantycznych: „sobowtóra”, czyli pseudo-tożsamości człowieka i treści ludzkich jelit, oraz „zwierciadła”, czyli takiej zmiany referencji zaimkowej,

iż „ja” odnosi się do samego tekstu, a „ty” do jego dowolnego odbiorcy. W ten sposób teksty te mają dwie wykładnie: „złą”, jako komiczna przemowa „sobowtóra” do swego odpowiednika w odmiennym wymiarze, oraz „dobrą”, będącą hymnem na cześć odbiorcy i ostrzeżeniem przed „złą” interpretacją. Słynny dualizm zoroastryjski, doktryna walki złego pierwiastka z dobrym w świecie, w którym są mieszane — wszystko to mogłoby mieć w istocie początek w sferze semantycznej.

Zdając sobie w pełni sprawę z — ogólnie mówiąc — ekscentryczności przedstawionej hipotezy, posunę się jeszcze o krok dalej, stawiając pytanie, czy opisane tu fortele komiczno-literackie nie przeniknęły w swoim czasie poza krąg irańsko-zoroastryjski; pewne teksty naszej — europejskiej — literatury stają się bowiem bardziej zrozumiałe, jeśli się spojrzy na nie od tej strony. Naturalną drogą wędrówki na Zachód byłaby Grecja i Rzym. Za słabo znam ich literatury z pierwszej ręki, by wypowiedzieć się śmiało na ich temat, ale np. *Carmina* Horacego wydają mi się zastanawiające. Te pięknie sformułowane acz nieco nudnawe wezwania do umiaru w życiu, niegromadzenia bogactw i obojętności wobec rychłej śmierci nabierają nieoczekiwanych kolorów, gdy popatrzymy na nie jako na skierowane *równocześnie* do nominalnych odbiorców (np. Maecenas) i zarazem do mikro-kosmicznego „sobowtóra”. W tej drugiej, równoległej interpretacji czytelnik może sobie wystawić postać starszawego poety, zaniepokojonego perspektywą przewlekłej obstrukcji i udzielającego przedmiotowi swych zmartwień nie całkiem bezinteresownych rad. Dodatkową zabawą dla wtajemniczonych odbiorców współczesnych byłby znak równania, mimochodem stawiany w ten sposób pomiędzy oficjalnym adresatem a „sobowtórem” poety. Może na tym polegała słynna starożytna ironia?

Posuńmy się jeszcze o krok dalej. Nie jest *a priori* wykluczone, że znajomość obu omówionych tu sztuczek semantycznych jakoś przetrwała do — lub została ponownie odkryta w czasie — Odrodzenia, cechującego się m.in. nagłym zainteresowaniem tekstami antycznymi i spowodowała powstanie naśladownictw, dających się interpretować w ten sam sposób. Ograniczę się do jednego przykładu: sonetów Szekspira. Do dziś są one przedmiotem sporów co do tożsamości opiewanego w nich „słodkiego chłopca” i „czarnej [tzn. w ówczesnej konwencji brzydkiej] damy”. Biorąc te wiersze dosłownie jako odautorskie „wynurzenia liryczne” otrzymujemy bardzo dziwny obraz: żonaty, dzieciaty i szanowany przedsiębiorca teatralny nagle pała namiętnością do jakiegoś młodzieńca, namawiając go równocześnie gorąco do małżeństwa i płodzenia jak największej ilości potomstwa, a wszystko to łączy z równoczesną miłością do odrażającej fizycznie kobiety, która, od czasu do czasu uwodzi „słodkiego chłopca”. Skądinąd, jeśli popatrzeć na te wiersze z perspektywy „sobowtóra”, *Sonet* nie tylko stają się bardziej zrozumiałe w szczegółach, ale i niezwykle zabawne. Równocześnie — i stosuje tu to słowo dosłownie — można je interpretować jako „zwierciadło”, w którym „ja” mówiące jest samym tekstem, a „słodki

chłopiec" i „czarna dama" są niedbałymi czytelnikami, których utwory te zachęcają pochlebstwem i wymówką do większej wierności lekturze.

Na końcu wspomnę krótko o jeszcze jednym zastanawiającym zjawisku w literaturze angielskiej: twórczości Williama Blake'a (1757-1827). Jego dziwne utwory budzą dwie skrajne reakcje: opinię, że był szaleńcem (George Orwell), lub że naprawdę dotarł do jakiejś „głębszej rzeczywistości" metafizycznej (Czesław Miłosz). Blake był zafascynowanym Biblią swedenborgistą, a równocześnie wyduje się, że był ateistą (w każdym razie nienawidził zorganizowanej religii), żywiąc zarazem głęboki kult dla Chrystusa. Jego utwory to rodzaj prywatnej mitologii, dość wyraźnie (np. w *Jerusalem*) nawiązującej do przypominającej awestyjską projekcji ludzkiej anatomii na makrokosmos. Blake oczywiście nie znał Awesty, natomiast robi częste aluzje do podwójnego sensu tekstów biblijnych (nazywa to sensem „anielskim" i „diabelskim", przy czym mają one być wyrazem konkurujących ze sobą tzw. sprzeczności, które Blake mianuje Rozumem i Energią). Przytoczę tu fragment utworu pt. „Zaślubiny Nieba i Piekła", który to dziwny tytuł mógłby być aluzją do połączenia *trick'ów* „zwierciadła" i „sobowtóra" w jednym tekście, przez co zyskuje on podwójną wykładnię: „dobrą" i „złą". Oto ów fragment w moim tłumaczeniu:

„Starożytni poeci ożywiali wszystkie postrzegalne przedmioty za pomocą bogów i geniuszy, nadając im imiona i ozdabiając je właściwościami lasów, rzek, gór, jezior, miast, ludów i wszelkich rzeczy; które ich spotęgowane i liczne zmysły zdolne były postrzegać.

A szczególnie badali specyficznego ducha [*genius*] każdego miasta i kraju, umieszczając je pod (patronatem) ich umysłowego bóstwa.

Aż powstał system, którym posłużyli się niektórzy i ujarzmili (ludzi) spopolitych, próbując urzeczywistnić lub wyabstrahować umysłowe bóstwa z ich przedmiotów; tak zaczęli się Kapłani:

Dobierający formy kultu z poetyckich opowieści.

I w końcu oznajmili oni, że to bogowie tak zarządziłi.

W ten sposób ludzie zapomnieli, że wszystkie bóstwa rezydują w ludzkiej piersi".

Gdyby odnieść ten fragment do Awesty i zoroastryzmu, mógłby on służyć niemal dosłownie jako *resumé* naszkicowanej powyżej hipotezy na temat oryginalnego przeznaczenia tych tekstów i ich dalszych losów. Studia nad Biblią nie są moją specjalnością i nie chcę się na ten temat wypowiadać. Niemniej wypadek Blake'a i — szerszej — obfitość dziwnych poglądów i utworów w europejskiej kulturze od renesansu aż po romantyzm (Pico della Mirandola, Boehme, Swedenborg i in.) mogłaby być tłumaczona w ten sposób, iż pewne osoby w przeszłości formułowały nieortodoksyjne poglądy na temat ewentualnego ukrytego znaczenia starych tekstów sakralnych. Niektóre z tych koncepcji mogły przypominać moją interpretację Awesty. Wyduje się to prawdopodobnie w odniesieniu do Blake'a, którego utwory z tego

punktu widzenia stają się mniej enigmatyczne czy też szaleńcze. Chciałbym podkreślić, że nie traktuję tej zbieżności jako „potwierdzenia” mej hipotezy ani nie sugeruję, że koncepcje te istotnie docierały do „całej prawdy”. Zarówno Blake mógł się mylić w swojej interpretacji Biblii, jak ja w mojej teorii znaczenia i roli tekstów awestyjskich. Niemniej: sformułowanie nawet mylnego poglądu przypominającego inny mylny pogląd nie jest całkiem bezużyteczne, w najgorszym razie bowiem pozwala odtworzyć w zarysie, w jaki sposób mylił się poprzednik i o co mu właściwie chodziło. Wydaje mi się, że z tego choćby punktu widzenia — jako element rozszerzający *univers du discours* — koncepcja „sobowtóra” i „zwierciadła” (logicznie spójna, a więc potencjalnie możliwa) zasługuje na prezentację. Życie jest krótkie i szare, możliwości publikacji ograniczone, a nawet bardzo dziwaczne pomysły nie powinny przepadać bez śladu. A zatem...

W. SKALMOWSKI
(M. BROŃSKI)

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ •
PRZEKŁADY Z JEZYKA POLSKIEGO NA
FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE
ŻĄDANIE.

KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓLCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili
najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej
Wyspie Świętego Ludwika.

Na Kresach czyli w domu

Raj? Piekło? Ziemia obiecana? Niewyczerpane źródło natchnień dla urodzonych *tam* poetów, ale czy tylko dla nich? Przedziwna jedność czasoprzestrzeni, tak zmiennej pod względem geograficznym, politycznym, kulturowym. Kraj idylli i apokalipsy. Wielu twierdzi, że ukochany przez duchy, tu najchętniej obcuje żywi z umarłymi. Zdaniem poety *stamtąd*, pospółstwo obchodziło uroczystość ku czci zmarłych przodków w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandii, co łączyło gminne święto Dziadów z obrządkami dawnej Grecji, Skandynawii i Dalekiego Wschodu, a nawet rytuałami *woodoo*. Mickiewicz wierzył, że starożytne plemiona mające zwyczaj częstowania zmarłych i egzotyczne plemiona z zamorskich wysp bliżej leżą Wilna, niż Warszawa czy Poznań. Że są ukryte gdzieś za grzbietem nieba, na linii horyzontu: *na granicy, na kresie, na Kresach*.

Bo Kresy dawnej Rzeczypospolitej odsyłają do sprawy granicy w podwójnym wymiarze: geograficzno-politycznym i narodowościowym oraz filozoficzno-religijnym. Ten pierwszy zmieniał się w porządku historycznym i osiągnął swoje spełnienie: dzieje Kresów jako ziem związanych z I i II Rzeczypospolitą osiągnęły swój kres 17 września 1939 roku. Jednak drugi wymiar granicy nie spełnił się jeszcze: Kresy żyją w świadomości ludzi należących do różnych narodów jako źródło mitu, symbol, znak tajemnicy. Wieloznaczności granic, przemianom i przenikaniu się obu wymiarów w ciągu pięciu stuleci, od wieku XVI do XX, poświęcona została książka zbiorowa pod redakcją Daniela Beauvoisa z przedmową Czesława Miłosza*.

Książka ta ukazała się niedawno nakładem Wydawnictwa Uniwersyteckiego w Lille i gromadzi plon międzynarodowego kolok-

* *Les confins de l'ancienne Pologne. Ukraine. Lithuanie. Biélorussie XVI-XX siècles.* Daniel Beauvois (éd.), préface de Czesław Miłosz, prix Nobel de littérature, Presses Universitaires de Lille, 1988, str. 284.

wium, które odbyło się w maju 1987 roku na tamtejszym uniwersytecie. Książka bardzo ważna, dająca do myślenia; wydana po francusku przecież — zdolna zainteresować problematyką Europy środkowej licznych cudzoziemców.

Czesław Miłosz napisał w *Przedmowie*:

„Mówiono, że kiedy na Uniwersytecie Harvardzkim była rozważana kandydatura Nabokova, jeden z wykładowców, zdaje się Roman Jakobson, zastrzegł: 'słoi jest ogromnym zwierzęciem, ale to nie wystarczy, by mianować go profesorem zoologii'. Ponieważ jestem pisarzem z 'Kresów' lub jeśli chcecie — z Wielkiego Xięstwa Litewskiego, czuję się tu trochę jak zwierzę przed aeropagiem zoologów, jako że moje książki należą do dziedziny wybranej przez was jako przedmiot badań. .

Jednak sam czując się, w pewnym stopniu, zoologiem, cieszę się, że mogę wziąć udział w konferencji na temat tak egzotyczny i prawie niemożliwy. Polska zdaje się już bardzo oddalona od półwyspu Europy Zachodniej. Zainteresowanie zebranych tu historyków różnych narodowości dla Kresów polsko-litewskich dawnej Rzeczypospolitej graniczy zatem z cudem. Muszę wyznać, że właśnie dziwność krainy, z której pochodzę i niemożność przekazania cudzoziemcom jej dziejów stała się obsesją od początku mego emigracyjnego życia. (...) Pytany o kraj mego pochodzenia, nie mogłem odpowiadać 'Polska', chociaż można się było tego spodziewać od autora piszącego po polsku. Muszę dodać, że moje lata szkolne i uniwersyteckie przeżyłem w mieście, które w ciągu bieżącego stulecia przechodziło z rąk do rąk trzynastę razy, trzynastę — liczyłem" (przeł. K.R.).

Pisarze z Kresów od dawna odczuwali konsekwencje życia na granicy. W roku 1830 ksiądz Kiprijonos Nezabitauskis-Zabitis, powstaniec listopadowy i emigrant, napisał na wygnaniu zbiorek wierszy (po litewsku), który dedykował następująco: „Do Miłociwego Pana Adama Mickiewicza Sławetnego i wielkiego Poety Piszącego po Polsku Naszego Wielkiego Rodaka”.

W pierwszym numerze pisma *Auśra* (ukazał się on w roku 1883), programowo niechętnego Polakom, traktowanym jako szczególnie zagrożenie litewskiej kultury narodowej, redaktor Jurgis Mikšas zamieścił recenzję z *Witoloraudy* — pierwszej części napisanej po polsku trylogii Józefa Ignacego Kraszewskiego pt. *Anafielas*. W recenzji pisał: „Czym dla Greków *Odyseja* z *Illiadą*, dla Rzymian *Eneida*, dla Żydów Stary Testament, dla chrześcijan Nowy Testament — tym dla nas, jako Litwinów, ta pieśń *Witolorauda*, pierwsza część tej wielkiej epepei (...) nie sposób znaleźć żadnej innej książki tak wartościowej i tak kochanej jak *Witolorauda*”.

W roku 1943 litewski poeta Liudas Gira pytał w poemacie zatytułowanym *Adam Mickiewicz nad Wołgą*:

*Jak swoją miłość do Litwy z oddali wystawię?
Tylko jego słowami: „Ty jesteś jak zdrowie!”***

** Cyt. za: Małgorzata Stolzman, *Nigdy od ciebie miasto... Dzieje kultury wileńskiej lat międzypowstaniowych (1832-1863)*, Olsztyn 1987, „Pojezierze”, str. 224 i nast.

Przykłady można by mnożyć. Kresy były ojczyzną wielu narodowości, języków i kultur. Norman Davies w szkicu zatytułowanym *Un monde bouleversé*, zamieszczonym w omawianej książce o Kresach, stwierdził: „Trudno wyobrazić sobie jakikolwiek region w Europie (...), w którym stosunki etniczne byłyby bardziej niż na Kresach skomplikowane. Litwa na przykład nie była krajem zamieszkałym tylko przez Litwinów. Aż do drugiej wojny światowej żyli tu oczywiście Litwini, ale także Polacy, Rusini, Żydzi, Tatarzy, Niemcy, Rosjanie. W roku 1900 Wilno było miastem przede wszystkim polskim, w którym mniejszość żydowska bardzo wyraźnie przewyższała pod względem liczebności 'tubylczą' mniejszość litewskojęzyczną. Przypomina to nieco sytuację etniczną stolicy Walii, Cardiff, które jest miastem przede wszystkim angielskim, gdzie „tubylcza mniejszość” walijska jest jeszcze mniejsza niż mniejszość pakistańska. Ukraina również nie była krajem zamieszkałym tylko przez Ukraińców. Ukraińcy mieszkali przede wszystkim na wsi, ale żyli tu też Rosjanie, Polacy, Rumuni, Czesi, Żydzi, Tatarzy, Niemcy. W roku 1900 stolica Ukrainy, Kijów, była miastem przede wszystkim rosyjskim, w którym 'mniejszość żydowska i polska bardzo wyraźnie przewyższały liczebnie małą wspólnotę 'tubylczych' Ukraińców” (przeł. K.R.).

Wśród tych rozmaitych narodowości żyła na Kresach ogromna wspólnota żydowska. Trzy czwarte dzisiejszego społeczeństwa żydowskiego — podkreślał Norman Davies — przyznaje się do tego, że pochodzi właśnie stamtąd. Przed wielką emigracją z końca XIX wieku obszar między Wisłą i Dnieprem był w pewnym sensie światem żydowskim. Jean-Marie Delmaire przypominał w swoim eseju zatytułowanym *L'assimilation de la bourgeoisie juive et ses limites*, że Kresy kojarzą się społeczeństwu żydowskiemu z tym, co najlepsze i z tym, co najgorsze. Na tych właśnie obszarach powstały najciekawsze współczesne prądy religijne; Kresy — podkreśla Delmaire — były dla Żydów tym, czy Babilon w okresie powstawania Talmudu i Hiszpania w XI i XII stuleciu. „Ten świat odszedł bezpowrotnie w przeszłość — nie może odżyć ani w Nowym Jorku, ani w Izraelu”.

Jean-Marie Delmaire pisał w innym fragmencie swego eseju, że dla Żydów „Polska była nową Ziemią Obiecaną, zgodnie z Bożym rozkazem ukrytym w grze słów 'Po lin!', co znaczy 'Osiażdź tutaj!'. Wilno zwano dumnie 'Jerusalaim de Lite', czyli 'Litewską Jerozolimą', jak najśluszniej zresztą, ponieważ od czasów antycznego Jeruzalem żadne inne miasto nie było świadkiem tak wspaniałego rozwoju intelektualnego i duchowego narodu żydowskiego” (przeł. K.R.).

Litwa i Ukraina były też świadkami końca żydowskiego świata; rozpadu, opisanego — między innymi — przez Juliana Strykowskiego w jego galicyjskiej trylogii *Głosy w ciemności*, *Austeria*, *Sen Azrila* (przypomnijmy, że Strykowski ukończył kolejne ogniwo swego cyklu, powieść pt. *Echo*). Metafizyce Strykowskiego poświęciła esej Ewa Kobylńska, zwracając uwagę na wielowarstwowość jego pisarstwa.

Warto w tym miejscu podkreślić, że jedną z głównych zalet

omawianej książki o Kresach dawnej Rzeczypospolitej jest jej „polifoniczność”, to znaczy umiejętne zestrojenie tekstów historycznych z tekstami dotyczącymi literackich przedstawień tematyki kresowej, w sposób umożliwiający czytelnikowi zdanie sprawy ze stopnia skomplikowania poruszanej problematyki.

Jej komplikacja bierze się — jak już wspomniałem — z tajemniczości samego pojęcia granicy oraz przedziwnych jej związków z tym, co określane jest mianem centrum. Na tę wieloznaczność zwróciła uwagę Ludwika Ślękowa w szkicu pt. *L'image des confins du Sud-Est dans la littérature polonaise des XVI^e et XVII^e siècles*, pokazując, że granica-kres sławiła się miejscem sakralnym, podobnie jak leżąca w samym centrum Jasna Góra. Granic wschodnich broniły w wieku XVII nie tylko warownie wyznaczające polityczne granice Rzeczypospolitej, ale również kapliczki z podobiznami Matki Boskiej Częstochowskiej, które nadawały pograniczu znaczenie duchowego środka. Cała zresztą Rzeczypospolita miała charakter kresowy, graniczny; leżała na „pólnocnych” obszarach Europy i chrześcijaństwa, przez co jednocześnie znajdowała się w samym centrum wspólnoty europejskiej. Kresy kresów, czyli wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, nabierały zatem szczególnego znaczenia, stawały się przestrzenią osobnego poświęcenia, w której polec było zaszczytem i przejawem Bożej łaskawości. Stanisław Żółkiewski zastrzegał w testamencie sporządzonym 18 sierpnia 1618 roku, że gdyby mu przyszło umrzeć w obrębie granic Rzeczypospolitej, życzy sobie miejsca spoczynku w Żółkwi, jeśli zaś Bóg powoła go do siebie poza granicami, niech będzie pochowany tam, gdzie wyzionął ducha, a jego nagrobek niech stanie się słupem granicznym, pilnującym spokoju domostwa.

Z analizy tekstów literackich i publicystycznych tamtych czasów wynika, że Kresy rozumiano nie tylko jako najważniejszy bastion w chrześcijańskim przedmurzu, ale jako świętą bramę strzegącą Europy przed wrogiem, ale też otwieraną dla wszystkich, którzy miłują ład i zasady wspólnoty Zachodu.

Podobny trop pojawił się w artykule Jana Błońskiego pt. *Les confins, „paradis polonais” de Mickiewicz à Rymkiewicz*. Pisząc o Soplicowie jako o modelu polskiego raju, Jan Błoński zauważył, że raj ów „jest rajem nie dlatego, że jest polski”, ale dlatego, że jest swojski. Polskość jest na Kresach federacją sąsiedztw-wspólnot różnych narodowo, kulturowo i religijnie, ale równych; nie wyklucza to kłótni i konfliktów, lecz konfliktów domowych: zagrożenie dla tej złożonej wspólnoty „wynika z różnic etycznych, religijnych, kulturowych i Bóg wie jeszcze jakich. Bierze się z obecności obcej siły wojskowej lub państwowej, która nie jest tylko wroga, ale raczej niezrozumiała: skąd te zbiry się u nas wzięły i po co?” (przeł. K.R.).

Soplicowo, kresowy zaścianek — zdaje się sugerować Jan Błoński — jest metaforą polskiej obrony przed atakami na kulturową tożsamość wspólnoty, wspólnej-rzeczy, Rzeczypospolitej opartej na równości i równym prawie do różnicy. Prawo do różnicy, czyli prawo do bycia u siebie w domu.

Metafora zaścianka niewiele ma w tym kontekście wspólnego z zaściankowatością, czyli z zacofaniem i ciemnotą — co wynika również z zamieszczonych w omawianej książce rozważań Marka Tomaszewskiego, Marka Zaleskiego, Jerzego Jarzębskiego i Marty Wyki — a wiele z nadrzędną wartością istnienia w miejscu szczególnym, narażonym na ciosy i uprzywilejowanym z racji swego położenia, w którym przecinają się głosy, szepty, zaklęcia i modlitwy wypowiedane w różnych językach, tworząc symfonię prawd, przeczuc i przepowiedni. Kresowy zaścianek staje się mitycznym centrum świata — przypomniał Marek Zaleski za Eliade w szkicu pt. *Les confins dans la littérature polonaise contemporaine: mise en garde, promesse ou défi?* — w którym spotykają się przestrzenie Nieba, Ziemi i Piekła — trzy wymiary określające naszą egzystencję.

Marek Tomaszewski w szkicu pt. *L'image des confins chez les romanciers émigrés: Czesław Miłosz, Józef Mackiewicz, Zygmunt Haupt, Włodzimierz Odojewski*, opisał w jaki sposób mityczne centrum świata zlokalizowane na Kresach uległo rozpadowi. Literacki obraz rozpadu owego centrum stał się metaforą rozpadu kultury europejskiej i zagubienia współczesnego człowieka w chaosie. Dworek soplicowski zamienił się w zrujnowane domostwo albo — jak u Haupta — w latający, widmowy dom. Jego odbudowa wydaje się w równym stopniu niemożliwa, co konieczna.

Jak słusznie zauważył Jerzy Jarzębski w szkicu pt. *L'évolution de l'image des confins dans la littérature polonaise après la seconde guerre mondiale*: „Wygnańców z kresowej Arkadii różni od pozostałych coś w rodzaju psychicznego, nierozwiązywalnego splotu, który noszą w sobie. Zaciągnął się on wtedy, gdy wygnaniec zdał sobie sprawę, że nie powróci tam, gdzie splot ów się zawęził; może tylko rozważać jego tajemnicę, warunki jego powstania i porównywać je z wydarzeniami przeszłymi lub teraźniejszymi, próbując odnaleźć nadrzędny sens własnego losu” (przeł. K.R.).

Książka o Kresach dawnej Rzeczypospolitej jest odważną i udaną próbą ukazania splotu tajemnic zawiązanych w krainie wieczycie obecnej na mapie Wielkiej Metafory.

Krzysztof RUTKOWSKI

Szukanie równowagi

Wybór szkiców¹ Tymona Terleckiego ukazał się po raz pierwszy w roku 1985 w *Oficynie Poetów i Malarzy*. Najwcześniejszy

1. Tymon Terlecki, *Szukanie równowagi: szkice literackie i publicystyczne*, Londyn, Polska Fundacja Kulturalna, 1988, str. 417.

szkie, *Mimo wszystko jestem frankofilem*, pochodzi z roku 1940. Najpóźniejszy, *Sztuka pisarska Leszka Kołakowskiego*, z roku 1979.

Tymon Terlecki urodził się w Przemyślu w roku 1905. Studiował historię literatury polskiej we Lwowie, debiutował jako krytyk literacki, zajmował się głównie teatrem. Wybuch wojny zastał go we Francji, gdzie wstąpił do Armii Polskiej. W listopadzie 1939 roku założył w obozie wojskowym w Bretanii tygodnik *Polska Walcząca*, który później redagował w Paryżu, a następnie w Londynie, i który ukazywał się do roku 1948. W Londynie Terlecki mieszkał do roku 1966, po czym przeniósł się do Chicago. W okresie londyńskim był jednym z czołowych eseiistów *Wiadomości*, wieloletnim prezesem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, wydawcą spuścizny po nieżyjących pisarzach (w tym Jasno-rzewskiej-Pawlikowskiej), redaktorem dwutomowej *Literatury polskiej na obczyźnie*, duszą wielu najlepszych poczynań londyńskiej emigracji. Danilewicz Zielińska pisze o nim w *Szkicach o literaturze emigracyjnej*; „To, co dał społeczności emigracyjnej, opłacane było redukcją do minimum własnych możliwości pisarskich”.

W *Szukaniu równowagi* Terlecki jest przede wszystkim zatroskanym tropicielem związków między dziełami sztuki (i nauki), a postawami ideowymi i etycznymi ich twórców. Rozpiętość tematyczna szkiców jest imponująca. Terlecki zajmuje się tematyką emigracji polskiej roku 1945 i aktualnością chrześcijańskiego socjalizmu, pisze o wpływach Leonarda da Vinci na Paula Valéry i o włoskim historyku Guglielmie Ferrero, kreśli portrety Kopernika, Mickiewicza, Eliota, Thomasa, Conrada, Norwida, Wierzyńskiego, Bobkowskiego i dwóch polskich malarzy mieszkających w Anglii — Bohusza i Kossowskiego.

Żarliwy Europejczyk i równie żarliwy patriota Terlecki dojrzał w drugiej wojnie światowej niszczącą rewolucję. Pisał: „Żadna wojna bardziej niż ostatnia... nie była rewolucją, to znaczy targnięciem się na ciągłość historyczną i zrzuceniem z siebie moralnej odpowiedzialności”. Rolę emigracji polskiej upatrywał w realizowaniu „nad-rewolucji”; tym terminem określał zwalczanie skutków rewolucji przez demaskowanie jej kłamstw i demagogii. „Wolno myśleć — pisał — że właśnie w tym, co nazwano nad-rewolucją zawiera się nakaz dla przyszłości, rzeczywista szansa ocalenia Europy i kultury europejskiej. Wolno myśleć, że właśnie w tym, nie w czym innym, zawiera się społeczne zadanie emigracji polskiej”.

Terlecki upatrywał szansę odbudowania Europy po drugiej wojnie światowej w syntezie chrześcijaństwa i socjalizmu. W kolejnych esejach socjalizm staje się coraz bardziej utopijny i płynny jako pojęcie, za to chrześcijaństwo przybiera na konkretności.

Szkice Terleckiego to skrzyżowanie młodopolskiej egzaltacji, patosu i obrazowania z ogromną humanistyczną erudycją i dyscypliną myślową. Jego styl najpierw irytuje, potem zaczyna wciągać i urzekać. Nadmierna żarliwość wpływa z autentycznego idealizmu i, z małymi wyjątkami, nie jest fanatyczna. Ze stylis-

tycznych meandrów wyłania się myśl prosta, uparta, żmudnie konstruowana. I może właśnie to trudzenie się i upór sprawiają, że nawet tezy, z którymi nie można się zgodzić, bo zbyt są sztywne, zbyt gorliwie krojone na miarę Fidiasza, przyjmuje się za dobrą monetę.

Do najlepszych należą skromnie zatytułowane *Marginalia Kopernikowskie*: znakomita *storia* o człowieku i epoce; w której Terlecki wykazuje się nie tylko ogromną wiedzą, ale i umiejętnością ciekawej, anegdotycznej narracji. Następnie portret Andrzeja Bobkowskiego, autora *Szkiców piórkiem*, „przyjaciela od pierwszego wejrzenia”, wreszcie esej o walijskim poecie Dylanie Thomasie. Niewolne od na siłę udowadnianej tezy, są to pasjonujące portrety psychologiczne połączone z rzetelną analizą literacką.

Terlecki stawia ryzykowny znak równości między charakterem twórcy, jego postawą wobec świata (rozpoznaniem w nim dobra i zła), działalnością publicystyczną i polityczną, kolejami życia — a dziełem. Człowiek to wybór, wybór to celowość, celowość to Opatrzność. *Szukanie równowagi* jest książką, która powstała z głębokich osobistych doświadczeń i przemyśleń, książką napisaną przez człowieka przeświadczonego o słuszności swoich tez i raczej od dawna znajdującego się w stanie równowagi, niż poszukującego jej.

Niełatwo jest w *Szukaniu równowagi* odróżnić szkice literackie od publicystycznych; przeważa publicystyka, najlepsza jest krytyka literacka w powiązaniu z biografią. Łączy je wszystkie pasja moralna — i moralizatorska! — i wizja ideowa: przeświadczenie o śmiertelnym zagrożeniu kultury europejskiej, szukanie wspólnego mianownika dla wartości, które mogłyby ją uratować. Tym wspólnym mianownikiem jest chrześcijaństwo, ściślej katolicyzm.

W tej duchowej kartografii, w tym szkicowaniu osobistej mapy intelektualnych i uczuciowych fascynacji sięga Terlecki po przykłady twórców bardzo różnorodnych. Cóż bowiem może łączyć „fanatyka wierności” Conrada z Kołakowskim, rubasznego alkoholika Thomasa z Mickiewiczem, „chuligana wolności” Bobkowskiego z „gwiazdny eskapistą” Kopernikiem? Terlecki łączy ich wszystkich i stawia na równie wysokim duchowym piedestale. Przy całej sztywności i programowości cechuje go niekłamany podziw dla ludzi bardzo różnego autoramentu, byle wiernym sobie: powołaniu artystycznemu, wyborom etyczno-politycznym, instynktowi życia. Czytelnik który dzieli przeświadczenia i tęsknoty Terleckiego odnajdzie w jego książce tę równowagę, którą autor przypisuje, do której wręcz przymusza bohaterów swoich portretów i szkiców. Ateiści, pesymiści, fataliści i wszyscy mający wątpliwości co do harmonii panującej między charakterem twórcy a jego dziełem, i dziełem a religijnością (katolicyzmem) będą mieli poważne kłopoty. Wystarczy powiedzieć, że jedynym, którego Terlecki nie doprowadził do Boga jest Leszek Kołakowski: prawdopodobnie dlatego, że zajął się tylko literacką twórczością autora książki *Jeśli Boga nie ma...*

Z tym wszystkim książka Terleckiego wzbudza nostalgię za czasami, w których wzniosłość naprawdę stanowiła kategorię życia, myślenia i twórczości. „Człowiek dziczeje. To mus” — powiedział kiedyś Beckett.

Janina KATZ HEWETSON

Nieudana monografia

Książkę znanego dziennikarza*, wykładowcy tego zawodu i niegdysiejszego korespondenta *Życia Warszawy* w Moskwie Jerzego Jaruzelskiego trudno jednoznacznie zakwalifikować. Z jednej strony jest ona plonem wieloletnich badań autora nad postacią i dziełem politycznym Cata — poprzedziły ją szkice z tomu „Mackiewicz i konserwatyści”, kwerendy w bibliotekach krajowych i emigracyjnych, niewątpliwa pasja skonstruowania pełnej biografii, a może nawet i monografii twórczości. Z drugiej strony drogę do prawdy historycznej zagradzają autorowi liczne uwikłania polityczne, nie zawsze dobrze skrywany dramat dziennikarza spaczonego wieloletnią służbą, który nie potrafi odejść od swoich przeszłych akcesów i traktuje historię tylko jako maskę dla ukrycia własnej goryczy i niespełnień. Może dlatego monografia przerodziła się w wyraz żalów pod adresem rzeczywistości, a jej bohater został skrojony na miarę dzisiejszych akcjonariuszy różnych konwersatoriów czy akcji „naprawy”. Jakby Jaruzelski chciał narzucić nam złudzenia, z których sam nie potrafi się wyleczyć, gdyż zbyt mocno został skażony mroźnym oddechem współczesności i przekonany o braku wyjścia z sytuacji.

Stąd książka Jerzego Jaruzelskiego nie jest ani *stricte* monografią polityka i dziennikarza Cata-Mackiewicza, ani szkicem o historii najnowszej (zresztą część poświęcona czasom po 1939 roku tchnie wykrętnością, niedopowiedzeniami, w najlepszym przypadku półprawdami...), ani spowiedzią publicysty, któremu odebrano możliwość działania i skazano na istnienie zastępcze. Na zastępczą pisaninę. Chociaż wszystkie te elementy są w niej do zauważenia. W gruncie rzeczy Jaruzelski wtłacza Cata i jego poglądy w ramy obcej im rzeczywistości, jakby chodziło o to, by bohater książki swoim myśleniem i czynami uzasadniał wartości z gruntu przeciwstawne temu, o co mu chodziło w życiu.

Kilka lat temu podobnemu przykrojeniu poddano (pod piórem Andrzeja Garlickiego i jego uczniów) postać Marszałka Józefa Piłsudskiego. Dzisiaj rozszerzono to na innych. Nic w tym zresztą dziwnego, bo metoda jest znana od dawna. Pojawia się na różnych zakrętach historii PRL. Smutne jednak, że posługują się nią nie tylko dyspozycyjni historycy na łamach dwuznacznych

* Jerzy Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz 1896-1966 Wilno-Londyn-Warszawa*. Czytelnik. Warszawa 1987, str. 353.

czasopism, ale także ludzie o szlachetnych intencjach i zadęciu moralistycznym — nieostatnim tego przykładem byłaby nowopowstała *Res Publica* — którzy frazesem historycznym bądź przyszywanymi rodowodami ideologicznymi pokrywają swój brak koncepcji, strach przed historią, niechęć do wyciągnięcia wniosków politycznych. Chronią siebie w trumnach i chcieliby, żeby te za nich gadały — co rzadko się udaje. A właściwie nigdy. Jedy-nym wynikiem zabawy pozostaje charakterystyczne dla dzisiej-szej Polski pomieszanie stylów myślenia, melanz postaw, przyszy-wanie się do przeszłości. Nie po to, żeby ją zrozumieć, ale w celu sprowadzenia wszystkiego, co było wyraźne, ostre, jednoznaczne, na ten sam poziom, zamglonego niedopowiedzenia, ezopowych peryfraz, niezrozumienia własnego losu i rzeczywistości w której się żyje, bez nadziei na jej zmianę.

Tymczasem bohater monografii Jaruzelskiego jak najmniej się do tego nadawał — inna rzecz, że i nikt go o zdanie nie spytał — żeby sobą i swoją często znakomitą publicystykę o du-żych walorach literackich (czego autor „Stanisława Cata-Mackie-wicza...” zdaje się nie zauważać) osłaniać frazes polityczny, bez-myślność, a co najgorsze nieudolność w odczytywaniu historii. Tej, pomimo gruntownych przypisów bibliograficznych, pomimo powoływania się na autorytet Akademii Nauk, niewiele dałoby się u Jerzego Jaruzelskiego odnaleźć. Ani dramatyczne śledztwo w sprawie współpracy Cata z paryską *Kulturą*, ani powikłane przyczyny jego powrotu do kraju w 1956 roku, ani list 34, ani cały splot politycznych węzłów i niuansów okresu II Rzeczypos-politej, że nie wspomnę o okresie londyńskim, nie znalazły dosta-tecznego miejsca w książce Jerzego Jaruzelskiego. Zostały zamar-kowane paroma znakami, które są dla czytelników równie tajemnicze, co ideogramy chińskie. To jeszcze nie najgorsze. Można przecież przyjąć, że książkę (o nakładzie 15 tysięcy) biorą do ręki czytelnicy co nieco obeznani z pokrętnością oficjalnych życiory-sów i z PRL-owskim dwójmyśleniem. Gorzej, że autor prawie zupełnie przemilcza — w pracy pretendującej do roli monografii — zasadnicze tezy publicystyki politycznej Cata, który wychodzi (w gruncie rzeczy) na błazna dziennikarskiego i parlamentarnego podskakiewicza. Zaledwie tyle w skomprimowanej pigułce podaje nam Jerzy Jaruzelski do przełknięcia w 1987 roku, jakby liczył na brak pamięci i niechęć do rozpamiętywania przeszłości, która oprócz wad miała nad powojenną historią jedną przewagę: była autentyczna, wyboła polityczne, decyzje rządzących i życie społeczne były wolne. Niewiele z tego zostaje pod piórem dzisiej-szego dziennikarza. Bo czyż może zostać?

Tak naprawdę *quasi*-monografia Jerzego Jaruzelskiego mówi o jednym — o niemożliwości przzerwarcenia mostów pomiędzy tym, co się dzieje teraz z nami i z naszym losem, a tym co było niegdyś. I o całkowitej niezdolności do zrozumienia losu ludzi wolnych, ich życia, ich myślenia, ich pragnień, ich pisania.

To ostatnie udało się Jaruzelskiemu nadzwyczać.

Nadesłane nowości wydawnicze

- Papież JAN PAWEŁ II. Przemówienia do Polonii i Polaków za granicą, 1979-1987.** Opr. ks. Roman Dzwonkowski, SAC. Str. 242 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- Kazimierz Sosnkowski. Myśl — praca — walka. Przyczynki do monografii oraz uzupełnienia do materiałów historycznych Kazimierza Sosnkowskiego.** Zebrał i opracował Stanisław Babiński. Str. 563 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).
- WAT (Aleksander). Ucieczka Łoża. Proza. Tom III Pism wybranych.** Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Polonia, Londyn 1988).
- DĄBROWSKI (Ryszard). Polska 1976-1982. Fakty, zdjęcia, dokumenty.** Str. 140. (Wyd. Pogląd, Berlin Zachodni 1988).
- WINCZAKIEWICZ (Jan). Opera dwudziestego wieku.** Str. 76 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1988).
- ZOCHOWSKI (Stanisław). Unia Brzeska w Polsce XVII wieku. Monografia ks. Cypriana Zochowskiego, metropolity całej Rusi i arcybiskupa połockiego (1535-1693).** Str. 243 i 5 nlb. (Wyd. OPiM, Brisbane-Londyn 1988).
- MADER (Wit). Walka „Solidarności” o społeczny kształt oświaty w Polsce.** Str. 169 i 7 nlb. (Wyd. Polska Macierz Szkolna, Londyn 1988).
- Kontury. Wybór prozy i poezji autorów piszących po polsku w Izraelu.** Nr 1. Str. 154 i 4 nlb. (Wyd. Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu, POB 14052, Tel-Aviv, 1988).
- Bibliografia historii polskiej za rok 1985.** Opr. Waldemar Bukowski, Stanisław Głuszek, Zbigniew Sołak. Str. 477 i 3 nlb. (Wyd. PAN, Instytut Historii — Zakład
- Informacji Naukowej, 1988, cena zł 1.500).
- MARITAIN (Jacques). Pisma filozoficzne.** Str. 409 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 820).
- LANGER (Jiří). Dziewięć bram do tajemnic chasydów.** Przeł. z czeskiego Anna Golewska. Str. 322 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 700).
- ROMER (Eugeniusz). Pamiętniki. Problemy sumienia i wiary.** Str. 522 i 6 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 960).
- WHITEHEAD (Alfred North). Nauka i świat nowożytny.** Przełożyli Maciej Kozłowski i Marek Pieńkowski OP. Str. 294 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 600).
- ZAWADZKI (Stefan). The Fall of Assyria and Median-Babylonian Relations in Light of the Nabopolassar Chronicle.** Str. 176. (Wyd. Adam Mickiewicz University Press — Poznań, Eburon-Delft, 1988).
- GOMBROWICZ (Witold). Diary.** Vol. I. General editor Jan KOTT, translated by Lillian VALLEE. Str. 230 i 2 nlb. (Wyd. Northwestern University Press, Evanston 1988).
- SODOL (Petro R.). UPA: They Fought Hitler and Stalin. A Brief Overview of Military Aspects from the History of the Ukrainian Insurgent Army, 1942-1949.** Str. 128 i 2 nlb. (Wyd. Committee for the World Convention and Reunion of Soldiers in the Ukrainian Insurgent Army, New York 1987).
- MAGAŁA (Sławomir). Community and Upward Mobility: Dynamics of Socialization and Stateization.** (Nadbitka z Research in Social Movements, Conflicts and Change, vol. 10, str. 235-246, wyd. JAI Press 1988).

- GIEDROYĆ (Michał).** *The Influence of Ruthenian-Lithuanian Metropolitanates on the Progress of Christianisation (1300-1458)*. Str. 49. (Tekst wygłoszony na międzynarodowym kolekwium w Rzymie, 3-6 maja 1988).
- Abstract Review in Science Extension*, vol. I, nr 1. Str. 121 i 5 nlb. (Wyd. International Literary and Information Center in Science Extension, Budapest, 1988).
- KOWALIK (Jan i Emily, opr.):** *Pope John Paul II in the American Press. The American Journey 1987. Press Coverage and Bibliography*. Tom I: *Prologue: Ja-JL, 1987*. Str. 158 i 3 nlb. Tom II: *Prologue: Ag-S, 1987*. Str. 200 i 1 nlb. Tom III: *The Visit*. Str. 166 i 1 nlb. Tom IV: *The Visit — The Impact*. Str. 203 i 1 nlb. (Wyd. American-Polish Documentation Studio, San Jose, CA, 1987).
- KUCZAWKA (Waldemar).** *Entspannung von unten. Möglichkeiten und Grenzen des deutsch-polnischen Dialogs*. Przedmowa Wł. Bartoszewskiego. Str. 272. (Wyd. Burg-Verlag, Stuttgart-Bonn 1988).
- Oberschlesisches Jahrbuch 1987, Band 3*. Str. 391 i 1 nlb. (Wyd. Laumann-Verlag, Dülmen 1987)
- Beiträge zur Geschichte Schlesiens im 19. und 20. Jahrhundert*. Str. 168. (Wyd. Laumann-Verlag, Dülmen 1987).
- KASACK (Wolfgang).** *Encyklopedická slovar ruskaj literatury s 1917 goda*. Przekł. z niemieckiego Elena Wargaffit i Igor Burichin. Str. 922 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1988).
- Aus Politik und Zeitgeschichte/Beilage zur Wochenzeitung „Das Parlament“*, nr 11-12/1988. Zawiera — Gotthold RHODE: *Die deutsch-polnischen Beziehungen von 1945 bis in die achtziger Jahre*; Józef Janusz WĘC: *Die Beziehungen zwischen der VR Polen und der Bundesrepublik Deutschland 1949-1987*; Klaus ZIEMER: *Polen nach dem Referendum — Sackgasse oder Chancen für weitere Reformen?*; Piotr PYSZ / Wolfgang QUAISSER: *Polens Wirtschaft zwischen Krise und Reform*. Str. 61 i 3 nlb. (Wyd. Bundeszentrale für politische Bildung, Bonn).
- Polnische Literatur in deutscher Übersetzung von den Anfängen bis 1985. Eine Bibliographie von Krzysztof A. Kuczyński*. Str. 283 i 5 nlb. (Wyd. Deutsches Polen-Institut, Darmstadt 1987).
- Annali della Fondazione Luigi Einaudi*. Vol. XX. 1986. Str. 600 i 12 nlb. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Torino 1986).
- Ukrajinskij visnyk Hromadskij literaturno-chudožnyj ta suspiłno-politycznyj žurnal*. Wypusk VII. Kyjiw-Lwiv, sierpień 1987 *Pamięci Wasyła Stusa*. Str. 104. (Przedruk samizdatowego czasopisma z Ukrainy, wyd. Ukrajńska Wydawnicza Spółka, Londyn 1987).
- Dereviani chramy Ukrainy*. Katalog wystawy w Muzeum Ukrainiskim w Nowym Jorku. Str. 112 i 2 nlb. (Wyd. Ukrajinskij Muzej, New York).
- BOLENSKIJ (Władimir Andriejewicz).** *Moja żyżń, moi sowriemienniki*. Str. 751 i 5 nlb. (Wyd. YMCA-PRESS, Paryż 1988).
- Otczina niezwiestnaja*. Str. 204. (Wyd. OPI, Londyn 1988).
- RAPOPORT (Witalij), ALEKSIEJEW (Jurij).** *Izmienna rodnia. Oczerki po istorii Krasnoj Armii*. Str. 514 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1988).
- STRUVE (Nikita).** *Osip Mandelstam*. Str. 336 i 2 nlb. (Wyd. OPI, Londyn 1988).

Habent sua fata libelli

Wymiana poglądów*

10.500 KSIĄŻEK NA PRZEMIAŁ W 1988 ROKU

Poglądy się pożyczają: najprościej w podręcznej bibliotece. W czasach Polski Ludowej wyznaczano tam niezwykle krótkie terminy zwrotu. Nowości trzeba było czytać szybko, aby przedawanie nie złażało nas przed końcem lektury.

Wymiana poglądów dokonywała się bowiem ciągle na takiej zasadzie, że jedno wycofywano, a inne wkładano na ich miejsce. Wydawane co jakiś czas spisy książek, określanymi mianem „przestarzałych” lub „zdezaktualizowanych” wyliczały co jest skończono.

Wykaz książek podlegających niezwłóchnemu wycofaniu otwierały dwie pozycje: A.Ch. „Konstytucja bolszewicka” oraz A.Z. „Kominternowski koń trojański w Polsce (dokumenty)”. W pierwszej fazie należało usunąć 1682 tytuły, spośród nich „Do władzy przez kłamstwo, krew i niedolę ludu” oraz „Przyjemności bolszewickie” (...). Jako jeden z pierwszych wycofany został „Elementarz komunizmu” napisany przez Bucharina i Preobrażeńkiego. Przy Bucharinie i Trockim zaznaczono dodatkowo, że przestarzałe są wszystkie ich dzieła. Książki Trockiego nie nadawały się do niczego, ale nie każdy miał prawo się z nimi rozprawić; na pewno nie mógł już tego uczynić Kautsky w pracy „Odprawa Trockiemu”. Nie było miejsca dla „Przyrodniczych podstaw socjalizmu” ani „Socjalizmu odrodzonego” Hempla. Wszystkie te pozycje znalazły się w bibliotekach przed wojną, ale stanu przez siebie postulowanego nie wytrzymały.

Unieważnieniu ulegały kolejno całe okresy historyczne i obszary geograficzne. Za przestarzałe uznano „Walki 18 Dywizji Piechoty z konną armią Budionnego”, odpadły „Kresy wschodnie”, „Wołyń”, „Polska dywizja w tajgach Sybiru”. Zbędne stało się

* *Przegląd Tygodniowy* z 7 sierpnia 1988.

tłumaczenie Balińskiego „Dlaczego musimy mieć silne lotnictwo” oraz Wańkowicza „Dlaczego żołnierz polski wkracza na Litwę i Białoruś”. Przy robieniu porządku z Legionami wymiecione zostały także „Legiony i wojsko polskie w wojnach napoleońskich”.

Rywalizacja między Piłsudskim a Dmowskim zakończyła się wyrzuceniem ich obu z biblioteki. Musieli ustąpić: Kostek-Biernacki, Car, Grażyński, Składkowski, Thugutt, w końcu cały „Album sterników nawy Państwa Polskiego w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości”. Po usunięciu rządu i opozycji do niczego nie służyły już „Wybory z 1935 roku”. Przegrał „Zawsze zwycięski marszałek Smigły Rydz”.

Dla zaznaczenia, że nie chodzi jednak o interpretację zanadto uogólniającą, wycofano również tytuł „Ślepotą władców”.

Przestarzałe stały się nie tylko fakty, ale i wyobrażenia. Do usunięcia instrukcja wyznaczyła wszystkie utwory Kadena Bandrowskiego z wyjątkiem „Miasta mojej matki” oraz „W cieniu zapomnianej olszyny”; wszystkie utwory Dołęgi-Mostowicza oprócz „Kariery Nikodema Dyzmy”, „Znachora” i „Profesora Wilczura”; Kazimiery Hłakowiczówny „Ballady bohaterskie” oraz „Wiersze wybrane”; wszystkie utwory Kossak-Szczuckiej, Stanisława Jerzego Leca i Antoniego Marczyńskiego. Wśród powieści Adolfa Nowaczyńskiego do dalszego przechowywania nie kwalifikowała się również „Młodość Chopina”, podobnie jak wydania przedwojenne „Szkoły orłąt” Meissnera.

Na liście książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu pod numerem 424 figuruje Gide — „Powrót z ZSRR” (i inne utwory), dalej Mauriac — „Ciało i chleb”, London — „Córka śniegu” i „Przygoda”, Mitchell — „Przeminęło z wiatrem”, wszystkie utwory Agaty Christie i Karola Maya.

Po wyrzuceniu autobiografii Henry Forda „Moja filozofia podwodzenia” ani chwili dłużej nie znajdował uzasadnienia podręcznik pod nazwą „Język angielski panuje na świecie”.

Z dzieł naukowych natychmiastowemu usunięciu podlegały wszystkie prace dziewiętnastowiecznego twórcy genetyki Mendla oraz „Zarys nauk o dziedziczności”. Listę dzieł, które przeleżały w bibliotekach od przed wojną, a obecnie przeznaczone były do usunięcia, zamykała praca Znanickiego „Elementarne wiadomości o państwie” (...)

W 1951 roku ustalony został wykaz 239 tytułów wydanych po wojnie, a do tego czasu „zdezaktualizowanych”. Segregacja zaczęła się od Marksa i Engelsa; podlegał jej „Manifest komunistyczny”, wydanie z 1948 roku. Kolejne do usunięcia były materiały Plenum KC PPR z maja 1945 roku. Z publicznego obiegu wypadli Władysław Gomułka, Zenon Kliszko i Marian Spychalski — „wszystkie utwory”. Spychalski znalazł się na liście raz jeszcze ze względu na wspólną z Żymierskim pracę „Wojsko Polskie 1944-1947”.

Nieodpowiednie okazało się *exposé* wygłoszone przez premiera Osóbkę-Morawskiego „W walce o nową Polskę”. Usunięto jeden

i drugi rząd. W wykazie znalazła się też „Zbrodnicza polityka rządu polskiego w Londynie” oraz „Zmierzch Londynu”.

Do likwidacji była jedyna książka Stanisława Mikołajczyka, „W służbie narodu i państwa”. Taki sam koniec czekał pozycje opowiadające się zarówno za, jak i przeciw PSL-owi.

Książka była od tego, żeby się zgadzać. Unieważnieniu ulegli wszyscy wyraziciele stanowisk wzajemnie sobie przeciwstawnych. Na co nie było uzgodnionego poglądu, kwalifikowało się do usunięcia.

Najgorzej wyszli na tym socjaliści. Począwszy od „Krótkiego zarysu historii PPS” Jabłońskiego, eliminowano kolejno Norberta Barlickiego „Proletariat”, Bolesława Drobnera „Drogowskazy” i „Mickiewicz jako socjalista”, Hochfelda „My socjaliści”, Próchnika „Idee i ludzie”.

Z bibliotek wycyfywano drażniące słowa: „Polskie tradycje demokratyczne” Suchodolskiego, „Wzór obywatela w ustroju demokratycznym” Marii Ossowskiej. Nie istniała ani demokracja, ani jej przeciwieństwo. Wypadły z obiegu „Dyktatury” a nawet „Dyktator współczesnej Portugalii Salazar”. Z użycia wychodziły całe grupy pojęć i skojarzeń. Stare poradniki stawały się nieodorzeczne, jak choćby „Jak zakładać stowarzyszenie młodzieży”

Wkrótce już trzeba było zrezygnować z tego, że „Jesteśmy Polakami” edycji z 1946 roku, wycofać się z „Gdańska, miasta naszego” oraz z „Odry, Nisy, najlepszej granicy Polski” — wszystkich wydań.

Wystarczającym powodem do wyrzucenia był fakt, że istniało się w czasie wojny. Oddalone zostały „Wspomnienia więźnia Stutthofu” oraz „Powrót z piekła hitlerowskiego” — wszystkie wydania. Cofnięto „63 dni powstania warszawskiego” i „Getto walczy” Marka Edelmana, w końcu całą „Warszawę bohaterską 1939-1945”; książki potępiające i stawiające AK potraktowane zostały na równi. Odwołaniu uległa „Okupacja niemiecka w Polsce w świetle prawa narodów”.

Żadnej szansy na utrzymanie się nie mieli autorzy, którzy wojnę spędzili w lotnictwie lub nie daj Boże na morzu. Arct stracił cztery pozycje, m.in. „Messerschmitty w słońcu” i „W pogoni za Luftwaffe”. Skasowano wszystkie wydania „Dywizjonu 303” i „Dziękuję ci, kapitanie” Fiedlera oraz „Pod polską banderą” i „Polskiej marynarki wojennej” Pertka. Nie należało spędzać wojny w Londynie („Sikorski i jego żołnierze”), na Śląsku („Śląsk w oczach gestapo”), w Hiroszynie („Hiroszima” Herseya), w Ameryce („Ave Roosevelt”) ani na Węgrzech („Co chcieli zrobić i co zrobili Węgrzy dla Polski w czasie wojny” Diveky’ego).

Nie było zgody na „Koniec Trzeciej Rzeszy” Bernadotte’a ani „Norymbergę”. Nie znalazła akceptacji „Lista strat kultury polskiej 1. IX. 39-1. III. 46”.

Z modelowanego na nowo świata wypadł „ONZ” i „Czerwony Krzyż”. Przepadła cała Jugosławia, łącznie z Konstytucją Ludowej Federacyjnej Republiki Jugosławii oraz wszystkie wydania utworów Broz-Tito.

Uchylone zostały „Podstawowe zasady ekonomiki” oraz „12 zasad wydajności” Emersona. Zablockowano „Sprężyny gospodarki planowej”, zawieszono wszystkie „Próby ogólnej teorii gospodarki planowej”. (...)

Oddzielna lista z 1951 roku zawierała 563 podlegające niezwłocznemu wycofaniu pozycje literatury dla dzieci. Wpisano na nią wszystkie tytuły zawierające słowo „harcerstwo”.

Usunięte były wszystkie utwory ideologiczne tej organizacji: Roberta Baden Powella i Aleksandra Kamińskiego, w tym nawet autorstwa tego ostatniego „Pedagogika Antoniego Makarenki” z 1948 roku. Wyszedł z użytku „Harcerski kodeks honorowy”. Decyzja o likwidacji dotyczyła „Sprawności zuchowych” i „Zuchów na kolonii”.

Na indeksie znaleźli się: „Fucinka”, „Lisek Matysek i jego przygody”, „Królewna Zulejka”, „Madzia męczykotek” oraz zagadnienie „Skąd krasnoludki dostały swoje czerwone kapturki”. W weryfikacjach padły „Egzotyczne zwierzęta” i „Nasze dzikie zwierzęta”, „Pirat i korsarze”, „Ukryty skarb” i „Święty Mikołaj”.

Najpierw wyrzucono bogatych („Z gazeciarza milionerem”, 1938), a potem biednych („Kuma bieda”, 1947). Stracili grunt pod nogami „Syn policjanta”, „Wicek terminator”, „Niania” i „Dobra macocha”.

Z historii wyjęte zostały następujące okresy i postacie: „Pod jarzmem Cezarów”, „Królowa Kinga”, „Łokietek w grotach Ojcową”, „Majster Kiliński”, „Książę Józef Poniatowski”, „W poprzek Sybiru”, „Marszałek Ferdynand Foch”, „Jak Józef Piłsudski walczył o Polskę” i „Mały Ziuk”, „Franek obrońca Lwowa”, „Jak Henio walczył z bolszewikami” i „Jak Janek walczył z Niemcami”.

Wykaz opatrzony był wskazówką: *przy oczyszczaniu księgozbioru należy zwracać baczność uwagę na adres wydawniczy pozycji umieszczonych na liście (miejsce, rok i firma wydawnicza), gdyż w niektórych wypadkach zostaną usunięte pewne tytuły jedynie ze względu na niewłaściwe wydanie. Np. należy usunąć Bajki Grimma tylko w wydaniach zaznaczonych na liście.* Książka Porazińskiej „Wesoła gromada” mogła zostać utrzymana jedynie w wydaniach po 1945 roku.

Łuki powstałe w księgozbiornie zostały zapełnione nowymi pozycjami. Sukcesywnie usuwano je z bibliotek w latach następnych.

Na pierwszy ogień poszło około 2.800 tytułów, wydanych w latach 1949-1955. Dyrektywa stanowiła: *wszystkie publikacje J. Stalina wydane samodzielnie należy przekazać na makulaturę z bibliotek powiatowych i miejskich. Wszystkie publikacje Stalina znajdujące się w bibliotekach gromadzkich przekazać na makulaturę.* Kasacji podlegały kolejne wydania zyciorysów Stalina, jednakże aby uwolnić się od tego autora, trzeba było przejąć wszystkie półki. Wyrzucić należało pozycje: „Stalin — największy strateg naszych czasów” pióra Konstantego Rokossowskiego. „Stalin jako organizator zwycięstw na frontach wojny domowej”, „Stalin twór-

ca i wódz radzieckich sił zbrojnych", „Stalinowski plan przeobrażania przyrody", „Wielka siła idei stalinowskich. W rocznicę opublikowania prac J. W. Stalina o zagadnieniach językoznawstwa". Z działu muzycznego do usunięcia pozostały: „O obiektywności praw w historii i teorii muzyki na marginesie pracy J. W. Stalina" oraz „Pieśń o Stalinie" — 3 wydania.

Poluźniło się pod literą „B". Wycofane miało być sześć utworów Bolesława Bieruta. „Nieśmiertelne nauki tow. Stalina" nie przeżyły swojego pierwszego wydania. Zaraz za Ławrientijem Berią (autorem „Przyczynku do dziejów organizacji bolszewickiej w Kraju Zakaukaskim"), wypadł Jakub Berman.

Nie mieliśmy się już więcej dowiadywać o trzynastu „Procesach...": antypaństwowego ośrodka szpiegowskiego, ośrodka antypaństwowego i antyludowego, sojuszników gestapo, szpiegów i dywersantów bez maski. Dział „praworządność" miał już więcej nie zawierać „Przemówień sądowych" ani „Teorii dowodów sądowych w prawie radzieckim" Andrieja Wyszyńskiego. Przeszto propagować wzory „Jak ludzie radzieccy walczyli ze szpiegostwem".

Wycofaniu uległy wzory postaw obywatelskich: „3.400 cegieł w ciągu 8 godzin". „Jadwiga Niewolik będzie pierwszym wytypiaczem", „Pierwsze zebranie babki Kowalskiej". Jednocześnie zrezygnowano też z lansowania atrakcyjnego modelu życia, usuwając „Informacje o dzieciach, bratankach i kochankach ojców świętych".

Opadła z nas odpowiedzialność za to „Czy nieunikniona jest zagłada Ameryki". Powstrzymaliśmy „Upadek gospodarczy krajów Europy zachodniej" oraz „Zubożenie i masową ruinę chłopstwa w krajach Europy zachodnie" (...)

Zarzucony został rozdział „Ustrój radziecki, najbardziej demokratyczny ustrój świata". Wstrzymano rozpowszechnianie „Wyszłości socjalistycznego systemu gospodarowania nad systemem kapitalistycznym". Kiedy wyrzucono to wszystko, została sama pozycja „Szczęściem jest żyć w epoce stalinowskiej" i ją też trzeba było wyrzucić. (...)

W 1967 roku na makulaturę przeznaczone zostały „Statuty spółdzielni produkcyjnych. Wszystkie statuty wydane w latach 1949-1961". Nieprzyjemności dotknęły prac wydymantarych: książki „Lenin o żyzności gleb" i „Bohaterska pszenica". Biblioteki oczyszczały się z Miczurina i Łysenki; wymieniono na nową całą genetykę. Dodatkowo na wyprowadzenie czekały skutki wieoletnich wysiłków translatorskich w rodzaju „Miczurin — przeobraźciel przyrody".

W roku 1967 zmieniły się zapatrywania na kukurydzę. Wycofano trzy kolejne wydania podstawowego dzieła pod tym tytułem: z roku 1957, 1959 i 1960, jak również „Kukurydzę w każdym gospodarstwie". Zbiegło się to z odstąpieniem od decyzji przechowywania w bibliotekach prac Nikity Chruszczowa.

Niepotrzebne okazały się książki o radach robotniczych i samo-

rzędzie, jak również „Ceny i rentowność przedsiębiorstwa przemysłowego” — dwa wydania z 1957 i 1958 roku.

Ciężką tułaczkę przeszła w polskich bibliotekach Federacyjna Republika Jugosławii. W 1968 roku osiągnął ją już trzeci etap weryfikacji. Wyrzucono teraz pozycje „O samorządzie robotniczym w Jugosławii” z 1958 roku oraz „System jugosłowiański z bliska” z 1957, którymi ledwie parę lat wcześniej zastąpiono „Jugosławię pod terrorem kliki Tito”.

Cofamy to, co kiedykolwiek dobrego powiedzieliśmy o Chinach. Niestosowne stają się tytuły „Chiny zwyciężają”, „Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza”. W niefaskę popadli autorzy: Mao Tse-Tung (5 pozycji) oraz Czu Szao Tang.

W latach 1968, 1972 i 1974 skreślono po 300 kolejnych tytułów. Za przestarzałe i kwalifikujące się do usunięcia z bibliotek publicznych, decyzją Ministerstwa Kultury i Sztuki uznane zostały: jedno przemówienie Bieruta „Pewnym krokiem idziemy naprzód”, dwa wydania „Zmowy grabieżców. Awantury Piłsudskiego w 1920 roku” oraz „Rola sądu radzieckiego w walce z przeżytkami kapitalizmu w świadomości ludzi”. Po raz drugi na liście do wycofania znalazła się „Pedagogika I tonięgo Makarenki” pióra Aleksandra Kamińskiego, tym razem nie ze względu na osobę autora, lecz bohatera. Opublikowany został osobny wykaz zdezaktualizowanych komentarzy krytycznoliterackich.

Pozycje z lat stalinowskich pokutują jednak dalej. Wśród książek przewidzianych do wycofania przez Ministerstwo Kultury w latach '80-tych, znalazły się „Budujemy sami model Pałacu Kultury i Nauki” oraz „Budownicy kolejnictwa radzieckiego Feliks Dzierżyński”. Przeznaczono do wyrzucenia te fragmenty Stalina, które tak przywarły do Lenina, że wcześniej nie udało się ich oderwać. Są to wybory: „O budownictwie partyjnym” i „O roli kobiety” autorstwa ich obu. Restrykcje objęły dzieła klasyków — Marksa, Engelsa i Lenina ze względu na nieodpowiedni czas wydania (lata '40 i '50).

W wykazie znalazła się grupa książek, które zawsze występowały tylko w dwóch postaciach: albo były egzemplarzem obowiązkowym albo wyrzuconym. Władysława Gomułkę spotkało czterdziestokrotne wycofanie, przy czym niektóre decyzje dezaktualizujące jego prace budzą wątpliwości, w tym szczególnie wydane w 1959 roku „Aktualne trudności na rynku mięsny”. Edward Gierek stracił czytelników dla 22 swoich pozycji, w tym wydanej w '64 roku pracy „Nauka i społeczeństwo”. Również „Mała ziemia” Leonida Breżniewa przestała być w 1988 roku zalecaną pozycją wydawniczą. Stracili pozycję inni autorzy zagraniczni: Dè Muna i Jumdzagijn Cedenbał.

Do wymiany przeznaczone zostały wszystkie „Deklaracje ideowe” PZPR, ZSL, SD i 25 zjazdów różnych partii. Odpadła „Dyktatura proletariatu” w wszystkich wydaniach. Do dalszego użytku nie kwalifikuje się dziewiętnaście tomów „Rozwoju...”. Przepadły: „Socjalistyczny sposób życia”, „Socjalistyczny model konsumpcji”, „Moralność socjalistyczna” oraz „Produkcja socjalistyczna”.

Lista książek *przestarzałych lub nie budzących zainteresowania czytelników* jest zestawieniem słów, które nie doczekują jutra. Znowu wszystko jest odwołane. Nie ma już „Polskiego przyspieszenia”, „Siły Polski i dobrobytu jej obywateli” ani „Wzrostu intensywnego w krajach socjalistycznych”. Wycofano „Inwestycje, które decydują o jutrze” oraz opowieści „Jak fabryki stały się własnością narodu”. Trzy kartki zajmuje poniechana „Ekonomia...” i „Ekonomika...”.

Jednocześnie wyrzucając „Krytykę burżuazyjnych koncepcji gospodarki socjalistycznej” i „Kryzys gospodarki polskiej” oraz „Cud mniemany gospodarki zachodnioeuropejskiej” i „Jak się robi cuda: NRD — ludzie, gospodarka, polityka” zostawiono ekonomię bez gruntu pod nogami.

Załamata się półka poświęcona Republice Federalnej. Wszystkie pozycje w rodzaju „Spadkobiercy krzyżackich tradycji”, „Bundeswehra. System urabiania ideologicznego” czy „Przez Ostforschung, wywiad i NSDAP do rządu NRF” utraciły rekomendację.

Ukrócone zostały rozmaite wydania historii najnowszej dotyczące Powstania Warszawskiego, wprowadzania władzy ludowej w Polsce, stosunków polsko-radzieckich. Nie starczyły na długi biografie Marcelego Nowotki, Bolesława Bieruta, „Aleksandra Zawadzkiego — przyjaciela Opolan”.

W trakcie wycofywania są „Przemówienie wygłoszone w Sejmie w dn. 10 kwietnia 1968 roku w odpowiedzi na interpelację Koła Poselskiego Znak” Józefa Cyrankiewicza oraz „Pytania i odpowiedzi w związku z marcowymi wydarzeniami” Kazimierza Kąkola. Niedobrze jest napisać cztery książki na ten sam temat w jednym roku, ponieważ może się zdarzyć, że wszystkie one zostaną anulowane jednocześnie. Jest to przypadek tytułów: „Mechanizm propagandy syjonistycznej”, „Organizacje i działacze syjonistyczni”, „Syjonizm a NRF” oraz „Syjonizm a państwo żydowskie” Tadeusza Walichnowskiego z 1968 roku.

W niepamięć pущzone zostają obecnie zarówno wspomnienia milicjantów, weteranów rewolucji, kobiet i peperowców śląskich, jak i książka Jacka Kuronia „Uwaga zespół! Z drużyną i w drużynie”.

„Protokoły porozumień rząd — służba zdrowia” i „Kierunki reformy gospodarczej” z 1981 roku wymieniono na „Import kontrrewolucji”, „Nadszedł czas prawdy” oraz „Listy do prokuratora” z 1982 roku, po czym wyrzucono jedno i drugie.

Najświeższą przestarzałą książką jest „Czas Reagana” zdezaktualizowany przed zakończeniem kadencji tytułowego bohatera. Spis książek przestarzałych lub nie budzących zainteresowania, przygotowany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w roku bieżącym, zamyka się liczbą 10 tysięcy 500 pozycji.

Z wielu haseł i pojęć nic nie zostało. Całe zakresy zupełnie opustoszały. Tyle było wiadomo, ale przestało.

Ilona MORŻOŁ
Michał OGÓREK

Urząd Celny a książka

Urząd Celny w Poznaniu
nr kodu: JANÓW, ul. Składowa 10
tel.:

Poznań, 30. 12. 1987

Telex nr
0900-PK 442-246(87)

ZA ZWROTNYM POŚWIADCZENIEM ODBIORU

DECYZJA

O przypadku przedmiotów w postępowaniu celnym

Urząd Celny w Poznaniu po rozpatrzeniu sprawy przywozu z zagranicy przedmiotów zatrzymanych według protokołu z dnia 17. 11. 87.

orzeka

przypadek publikacji nadesłanych w przesyłce nr 26(337) z RFN.
Podstawa prawna: art. 13 ust. 1 i 3 Prawa Celnego (Dz.U. 57, poz. 290 z 1984 r.).

Uzasadnienie

Urząd postanowił jak w sentencji ze względu na:

1. *Zeszyty literackie* — 1 egzemplarz — brak debitu komunikacyjnego na polskim obszarze celnym — (Monitor Polski nr 115(85).
2. *Kontakt* — 2 egz. — brak debitu komunikacyjnego na polskim obszarze celnym — (Monitor Polski nr 17(85).
3. *Kultura* — 5 egz. — brak debitu komunikacyjnego na polskim obszarze celnym — (Monitor Polski nr 5(82).
4. *Aneks* — 1 egz. — brak debitu komunikacyjnego na polskim obszarze celnym — (Monitor Polski nr 11(82).
5. „Rozmowy polskie latem 1983” — Rymkiewicz, Instytut Literacki — Paryż 1984 r. — Książka ta jest zlepkiem różnorodnych dywagacji historyczno-politycznych poczynając od początków „Solidarności” i atmosferze* jej towarzyszącej jak i przez nią wywołanej, kończąc na wspominkach Polski od morza do morza, Polski wielonarodowościowej. Cała treść owych „Rozmów polskich latem 1983” utrzymana jest w duchu wspomnień o „pałkowniach” przez ZOMO-wców, wspomnień czasów „stalinowskich”, napojona nienawiścią do ZSRR. Wyliczone są w niej wszystkie potknięcia władz. Treść tej książki narusza art. 13 Prawa Celnego.
6. „Dziennik pisany nocą” — G. Herling-Grudziński. W publikacji tej zawarte są wszystkie zapisy drukowane w tych latach na łamach *Kultury* wydawanej w Paryżu. antyradzieckiej autor potępia ustrój ZSRR określając go jako „komunistyczny wariant faszyzmu”. W kilku rozdziałach autor opisuje sytuację w Polsce w czasie stanu wojennego, wyraźnie gloryfikuje działaczy KOR-u i ośmiesza przywódców partii. Treść tej książki narusza art. 13 Prawa Celnego.

* Tekst drukujemy oczywiście w brzmieniu oryginalnym włącznie z nie odpowiadającą niczemu numeracją *Zeszytów Historycznych* oraz „M. Magle-równą” zamiast Herminii Naglerowej.

7. „Archipelag Gułag” — 1 egz. (3 tomy) — A. Solżenicyn. Publikacja ta stanowi literacki opis części historii powstawania i tworzenia się państwa i władzy radzieckiej w okresie od 1918 do 1956 roku. Główna uwaga autora skupiona jest na ukazaniu tego okresu, jako szeregu cyklów: prześladowań, represji, przesiedleń całych miast, wsi a nawet narodów. „Archipelag GUŁag” to wg autora olbrzymia przestrzeń ZSRR, na której „od cieśniny Beringa aż po cieśninę Bosforąską rozrzucone są tysiące wysp zakłętego Archipelagu. Są one niewidoczne, ale są, i z wyspy na wyspę trzeba, także w sposób niewidoczny, ale nieprzerwany przewodzić niewolników — posiadających ciało, objętość i wagę. Służą ku temu duże porty — więzienia etapowe i porty pomniejsze — obozowe punkty etapowe. Służą temu stalowe, zamknięte okręty...” (str. 489, t. 1). Autor przedstawia życie i pracę więźniów odbywających kary w obozach Archipelagu. Poszczególne rozdziały opisują życie mężczyzn i los kobiet, rodzaje wykonywanej pracy, otrzymywane żywnienie oraz stosunki panujące w obozach, między więźniami, między nimi a nadzorcami, itp. Całość przedstawiona jest przez autora jako odpowiednik obozów koncentracyjnych — hitlerowskich, jedynie brak tam krematoriów. Książka ta narusza art. 13 Prawa Celnego.

8. „Zapłuty karzeł reakcji” — Piotr Woźniak. Są to wspomnienia Piotra Woźniaka, byłego AK-owca więzionego w okresie 1948-1956 we Wronkach i w Głównym Zarządzie Informacji Wojskowej w Warszawie. Autor opisuje metody śledcze stosowane przez pracowników UB i MSW oraz pracowników Informacji Wojsk Lotniczych w Warszawie w stosunku do więźniów politycznych. Publikacja ta narusza art. 13 Prawa Celnego.

9. *Zeszyty historyczne* — tom III, Zeszyt 6, wyd. 1984 przez Instytut Literacki w Paryżu. We wstępie tego wydania znajduje się słownik biograficzny ofiar terroru PRL. Podana jest lista członków PSL zamordowanych w latach 1944-1964. Publikując tę listę wydawcy mieli na celu ocalenie od zapomnienia nazwisk ofiar. Dalej jest mowa o ochronie polskiego społeczeństwa w latach 1946-1949 przez 300 tys. żołnierzy sowieckich, 230 tys. UB-eków i milicjantów oraz 120 tys. ORMO, a wszyscy oni dowodzeni byli przez oficerów sowieckich. Publikacja ta narusza art. 13 Prawa Celnego.

10. *Zeszyty Historyczne* — tom VII, wyd. 1965 przez Instytut Literacki w Paryżu. W publikacji tej zamieszczone zostały artykuły o charakterze historycznym dotyczące Powstania Styczniowego na Litwie, o dziejach emigracji, polityzantki na Wileńszczyźnie, likwidacji polsko-rumuńskiej umowy naftowej itp. Treść tych artykułów znacznie odbiega od faktów historycznych. Publikacja ta narusza art. 13 Prawa Celnego.

11. *Zeszyty Historyczne* — V — 1964 — wydane przez Instytut Literacki w Paryżu. Publikacja ta zawiera szereg artykułów o m.in. wypadkach listopadowych 1923 roku w sądzie wojskowym, o Moskwie i Ukrainie po klęsce Niemiec, o polskim powstaniu w Warszawie 1944 i inne. Wszystkie te artykuły zawierają treści „historyczne” znacznie odbiegające od prawdy i podane wyjątkowo tendencyjnie. Publikacja ta narusza art. 13 Prawa Celnego.

12. *Zeszyty Historyczne* — zeszyt 11, wyd. w 1963 roku przez Instytut Literacki w Paryżu. Podobnie jak w w.w. *Zeszytach*, i w tym numerze znajdują się artykuły o treści „historycznej” dotyczące II wojny światowej. Fakty tu przedstawione znacznie odbiegają od prawdy. Publikacja ta narusza art. 13 Prawa Celnego.

13. „Czarny” — Kamiński, Wasilewski. W książce tej przedstawiona jest historia działalności Józefa Grzesiaka w harcerstwie. Opisane są lata działalności w Wilnie, następnie, zsyłka do obozów pracy w ZSRR i powrót do kraju w 1955 roku. Jego wspomnienia z ciężkich lat za kręgiem polarnym i wreszcie powrót do rodziny i jego dalsza działalność w kręgach harcerstwa polskiego. Wybór do władz centralnych ZHP w latach 1956-1958. Na końcu w.w. publikacji zamieszczony jest wykaz książek wydawanych przez

Niezależne Pismo Młodych Katolików, z których większość ze względu na treść zabroniona jest do rozpowszechniania na polskim obszarze celnym („Zapluty karzeł reakcji”, „Etyka Solidarności”, „Dwa Komitety” itp.).

14. „Kazachstańskie noce” — M. Maglerówna — wyd. Veritas — Londyn. W książce tej spisane zostały przez autorkę wspomnienia poczynawszy od 1940 roku, kiedy to została aresztowana we Lwowie przez „sowieckie władze okupacyjne”. Autorka opisuje swój pobyt w różnych więzieniach, znajdujemy tu opisy przesłuchiwań, tortur, jakie przechodziły kobiety, które się w tych więzieniach znalazły. Podstawą aresztowania autorki było jej opowiadanie zawarte w książce dla młodzieży — „Ludzie prawdziwi” — zatytułowane „Gałązka bzu”. Po 16 miesiącach więzienia — wyrok — 8 lat obozu — *dalekiej kartagier* i szereg tzw. więzień przesyłkowych. Zwolniona na skutek amnestii — została odesłana do Moskwy, a następnie wraz z wojskiem polskim znalazła się (w szeregach Wojskowej Pomocniczej Służby Kobiet) kolejno w Jangi-Jul, Iranie, Iraku, Palestynie i Egipcie. W tym czasie redagowała pismo *Ochotniczka*, które istniało aż do rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych.

Publikacja ta jak i publikacja wymieniona pod poz. 13 — narusza art. 13 Prawa Celnego.

15. „Zniewolony umysł” — Czesław Miłosz — wyd. Instytut Literacki w Paryżu w 1980 roku. Jest to książka napisana w formie traktatu politycznego, pisana z myślą o czytelniku nie-polskim. Charakter polityczny traktatu jest pozorny — jak twierdzi autor, chciał bowiem pokazać dziwactwo formy społeczeństwa, jakie powstało po 1917 [chyba 1947 — Red.] roku. W książce tej próbuje autor przedstawić, jak pracuje myśl człowieka w demokracjach ludowych. Przedmiotem obserwacji było środowisko pisarzy i artystów, a więc środowisko, które odgrywa ważną rolę. Autor zaszerogowuje siebie do grupy ludzi, którzy opuścili swe kraje wówczas, gdy te stały się zależne od Moskwy. Jak twierdzi — nie mógł pozostać tutaj, aby okazywać posłuszeństwo i być używanym przez nowy rząd. Książka ta narusza art. 13 Prawa Celnego.

16. „Zostało z uczy bogów” — Igor Newerly — wyd. Instytut Literacki, Paryż — 1986 rok. Książka ta została napisana pod koniec lat 60-tych i do roku 1980 czekał autor na jej druk w „Czytelniku”.

„W prasie czasu wojennego na uspokojenie, na dowód liberalizacji cenzury, ukazały się dwukrotnie zapowiedzi, że 'Miazga' — Andrzejewskiego i 'Zostało z uczy bogów' Newerlego ukazały się drukiem. Istotnie 'Miazga' ukazała się, a 'Zostało z uczy bogów' zostało w cenzurze. Napisałem do Generała i przysłał mi kierownika kultury KC i dwóch z cenzury. O książce usłyszałem sporo superlatywów, ale co do druku, sam pan rozumie — nie można — godzi w nasze sojusze... Wątku to sojusze, jeśli jedna książka może ugodzić. Czekalem cierpliwie trzynaście lat, to chyba dosyć!”. Treść w.w. książki narusza art. 13 Prawa Celnego.

17. „Historia dwudziestolecia” — Paweł Zaremba — wyd. Instytut Literacki, Paryż — 1981 rok. Przedstawione w tej książce są lata 1918-1939, w wielu przypadkach przedstawione w książce fakty nie są zgodne z prawdą historyczną. Treść w.w. książki narusza przepisy art. 13 Prawa Celnego.

Od decyzji niniejszej służy stronie odwołanie do Głównego Urzędu Celnego w Warszawie za pośrednictwem tut. Urzędu w terminie 14 dni od dnia jej doręczenia. Do odwołania należy dołączyć opłatę skarbową w znaczkach skarbowych w wysokości 50,00 zł od odwołania i po 5,00 zł od każdego załącznika.

Dyrektor Urzędu Celnego
mgr Jerzy JAGIOLSKI

Oddział Celny w miejsco

GŁÓWNY URZĄD CEŁ
 Warszawa
 ul. Świętokrzyska 12
 KC III-44-116/88

Warszawa, 1988. 04. 06.

DECYZJA

Na podstawie art. 127 § 2 i art. 138 ust. 1 pkt 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. — Kodeks postępowania administracyjnego (jednolity tekst Dz.U. Nr 9, poz. 26 z 1980 r.) i art. 13 ust. 1 i 3 ustawy z dnia 26 marca 1975 r. — Prawo celne (Dz.U. Nr 57, poz. 290 z 1984 r.), po rozpatrzeniu wniosku w terminie odwołania Urszuli Zlatkes zam. 00321 Warszawa, ul. Bednarska Nr 24 m 1 od decyzji Urzędu Celnego w Warszawie z dnia 8.02.1988 r. Nr 4/44/L/233/87 o orzeczeniu przepadku 19 egz. publikacji wg załączonego wykazu
 Główny Urząd Cel —

— uchyla zaskarżoną decyzję w całości i zarządza zwrot zatrzymanych publikacji stronie.

Uzasadnienie

W dniu 8.02.1988 r. Urząd Celny w Warszawie dokonał kontroli celnej przesyłki nr 398767 przeznaczonej dla Urszuli Zlatkes i w jej wyniku zatrzymał wyżej wymienioną publikację.

W trakcie dalszego postępowania ustalono, że zawierają one treści szkodliwe dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a ponieważ przywóz takich publikacji jest zakazany, Urząd Celny w Warszawie decyzją z dnia 8.02.1988 r. orzekł przepadek zatrzymanych publikacji.

Od tej decyzji Ob. Urszula Zlatkes złożyła odwołanie, w którym kwestionuje zasadność decyzji Urzędu Celnego w Warszawie w części dotyczącej oceny treści zatrzymanych publikacji.

W związku z powyższym wnosi o uchylenie zaskarżonej decyzji i zwrot przedmiotowych publikacji.

Rozpatrując odwołanie Główny Urząd Celny wziął pod uwagę argumenty przytoczone przez stronę i postanowił jak w sentencji.

Decyzja niniejsza jest ostateczna w postępowaniu administracyjnym.

Na niniejszą decyzję służy skarga do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Z upoważnienia Prezesa
 Głównego Urzędu Celnego
 Naczelnik Wydziału
 mgr J. MARCINKOWSKI

Otrzymują:

1. Zlatkes Urszula
 00-321 Warszawa
 ul. Bednarska nr 24 m 1
2. Urząd Celny w Warszawie
 + akta sprawy do wykonania

PJ

WYKAZ PUBLIKACJI ZWOLNIONYCH do sprawy 4/44/L/233/87

1. „Dziennik pisany nocą”, 2. „Świat na haku i pod kluczem”, 3. „Rzeka podziemna, podziemne ptaki”, 4. „Poeta pamięta”, 5. „Podróż do Burmy”, 6. „Na nieludzkiej ziemi”, 7. *Zeszyty literackie* Nr. 16, 19, 20, 8. *Kontakt* Nr. 11/86, 1-2/87, 4/87, 9. *Kultura* Nr. 7/64, 6/83, 5/87, 6/87, 7-8/87, 9/87, 10/87.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-8-88

Dolnośląskie nagrody „Solidarności” za rok 1988, przyznane przez Porozumienie Społecznych Komitetów Kultury, Nauki, Oświaty i Zdrowia otrzymali: Andrzej Gabryszewski — informatyk z Nowej Soli — za niezależną działalność społeczną na terenie Nowej Soli; Maria Hernasowa — nauczycielka z Wrocławia — za kształtowanie serc i umysłów wrocławskich dzieci na przestrzeni 35 lat; Kornel Morawiecki — za działalność publicystyczną i wydawniczą; Redakcja zakładowego pisma *Solidarność Elwro*, najdłużej i najbardziej regularnie ukazującego się pisma zakładowego we Wrocławiu (ponad 190 numerów); Piotr Bielak — plastyk z Wrocławia — za działalność społeczną i twórczą. Nagrody honorowe przyznano: Jerzemu Giedroyciowi oraz zespołowi organizacyjnemu wystawy Biennale młodych „Droga i prawda”. ■ Rada Dolnośląskiego Funduszu Wydawniczego przyznała 14 kwietnia hr. cztery dotacje I stopnia (równowartość 50 dolarów) następującym organizacjom i wydawnictwom: Młodzieżowemu Ruchowi Oporu, Biuletynowi Informacyjnemu Uczniów Szkół Technicznych (BIUST), studenckiemu pismu *Na indeksie* oraz pismu duszpasterstw akademickich *Sumienie*.

5-8-88

Prasa PRL poświęca ostatnio dużo miejsca orderom i odznaczeniom. M.in. podano koszt produkcji orderów: order Budowniczego PRL kosztuje milion złotych i jest zrohiony z wysokokaratowego złota; order Sztandaru Pracy — 6.500 zł; krzyż kawalerski Orderu Odrodzenia Polski — 3.850 zł; złoty Krzyż Zasługi — 2.000 zł a brązowy — 550 zł.

9-8-88

W telewizji litewskiej powstał cotygodniowy program w języku polskim „Panorama tygodnia — magazyn informacyjny”. ■ Władze PRL zatwierdziły „Fundację pomocy rodzinom wielodzietnym” ustanowioną przez Zbigniewa Bujaka i Zbigniewa Janasa.

16-8-88

W roku akademickim 1987/1988 na wyższych uczelniach PRL studiowało 6.168 cudzoziemców, w tym z krajów rozwijających się 4.445, a z krajów kapitalistycznych 287. Prowadzone są również doktoranckie studia specjalistyczne w języku polskim, angielskim lub francuskim. W ub. roku do tych studiów zakwalifikowano 310 osób. Studia doktoranckie kosztują od 5 do 12 tys. dolarów rocznie. Opłata za studia wyższe wynosi dla cudzoziemców od 3.200 do 5.000 dolarów, a na niektórych wydziałach nawet do 8.000 dolarów. Wpływy uzyskiwane z tego źródła wynoszą około 6 mln dolarów rocznie. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 89 lat Tadeusz Kułśiewicz, wybitny grafik.

21-8-88

Została stworzona polsko-sowiecka spółka wydawniczo-poligraficzna „Orbita”. Odkonano pierwsze posiedzenie wspólników: przedstawiciela RSW „Prasa” oraz Państwowego Komitetu ZSSR do Spraw Wydawnictwa, Poligrafii i Księgarstwa. Pierwsze książki tego wydawnictwa mają się niedługo ukazać.

25-8-88

Zmarł w Warszawie w wieku 80 lat prof. Jerzy Hryniewicz, znany architekt.

ZACHÓD — EMIGRACJA

28-6-88

Zmarł w Los Angeles, CA (USA) w wieku 82 lat płk Tadeusz Boguszewski, dowódca Narodowych Sił Zbrojnych w Powstaniu Warszawskim. ■ Prof. Andrzej Ehrenkreutz został członkiem Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii. Przez wiele lat był on wykładowcą historii średniowiecznej Bliskiego Wschodu na uniwersytecie w Ann Arbor, MI (USA) oraz jednym z założycieli Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polskich.

21-9-88

Zostało otwarte międzynarodowe kolokwium na temat „Le baroque en Pologne et en Europe” zorganizowane przez Institut National des Langues et Civilisations Orientales (INALCO) w Paryżu przy współudziale Centre National de la Recherche Scientifique (CNRS).

KRONIKA AUSTRIACKA

Od 9 maja podania polskich i węgierskich uchodźców o azyl rozpatrywane są w trybie przyspieszonym. W ciągu kilku dni do kilku tygodni znakomita większość z nich dowiaduje się, iż ich wnioski i odwołania rozpatrzone zostały negatywnie i że mają opuścić obóz dla uchodźców w Traiskirchen. 29 czerwca doprowadziło to blisko 99-osobową grupę zdesperowanych Polaków do protestu głodowego, który rozpoczęli demonstracją pod wiedeńską siedzibą ÖNZ. Trwała ona sześć godzin i została zakończona siłą przez policję austriacką, a protestujący zostali odwiezieni do obozu w Traiskirchen. Głodówka trwała także tygodnia, jej celem było początkowo przyznanie strajkującym azylu politycznego, potem, gdy takie postępowanie władze austriackie nazwały szantażem, domagali się oni ponownego i rzetelnego rozpatrzenia ich wniosków. Sześć osób, które w drugiej instancji również otrzymały negatywną decyzję ale odmówiły przyjęcia z powrotem polskiego paszportu i opuszczenia obozu, władze austriackie deportowały poza granice Austrii. Dwie z nich opuściły już na terytorium Czechosłowacji pociąg wiozący ich do Polski i autostopem wróciły do Wiednia. ■ Adwokaci reprezentujący austriacką sekcję *Amnesty International* określili wydalenie Polaków jako sprzeczne z austriackim prawem. Eva Maria Barki nie została dopuszczona do trojga aresztowanych: Stanisława Rogowskiego, Henryka Tysza i Wacława Pędziwiatra, nie zezwolono jej również na wgląd w ich akta. Pomimo złożenia przez nią odwołania, co powinno automatycznie przesunąć termin deportacji o co najmniej tydzień, owa trójka wkrótce potem została wydalona. Z kolei Andreas Steiger zapowiedział skargę do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie bezprawnego aresztowania jego klienta. ■ Szef wiedeńskiej organizacji Austriackiej Partii Ludowej (ÖVP) Erhard Busek oskarżył federalnego ministra spraw wewnętrznych Karla Blecha z Austriackiej Partii Socjalistycznej (SPÖ) o kolaborację z polskimi i węgierskimi władzami bezpieczeństwa („Blecha nazwca generała Kiszczaka swoim przyjacielem”, stwierdził Busek) i skrytykował jego politykę azylową, a w szczególności tryb przyspieszony. W co najmniej dwóch przypadkach osoby, które składały wniosek o azyl w Traiskirchen i powróciły do kraju skonfrontowane zostały ze swoimi zeznaniami złożonymi podczas postępowania azylowego w Austrii. Chodzi tu o nieznazanego działacza „Solidarności” oraz o węgierskiego prawnika Gyula Erdei. Busek skrytykował także liczne wizyty ministra Blecha w Europie Wschodniej. Minister Blecha odrzucił wszystkie oskarżenia Erharda Buska jako absurdalne. Jego polityka jest polityką koalicyjnego rządu

SPÖ i ÖVP, program wizyt uzgodniony został z ministrem spraw zagranicznych Aloisem Mockiem, przewodniczącym ÖVP. Austria prowadzi — zdaniem Blechy — w dalszym ciągu niezwykle liberalną politykę w stosunku do uchodźców („prawdopodobnie najbardziej liberalną w Europie”), ale emigrantów i turystów nie może traktować na równi z ludźmi rzeczywiście prześladowanymi politycznie. ■ Tryb przyspieszony postępowania azylowego stosowany będzie również do uchodźców z Jugosławii — oświadczył na konferencji prasowej w Wiedniu 25 sierpnia minister Blecha. ■ Jeden z niedzielnych programów młodzieżowych telewizji austriackiej *X-Large*, w lipcu br. zatytułowany *Dzieci rewolucji* poświęcony był polskiej młodzieży. Jego autorzy pokazali Pomarańczową Alternatywę, demonstrację 1-Majową w Warszawie (tę nieoficjalną), drukarnię *Solidarności Walczącej*, bunkry w Międzyrzeczu, gdzie mają być składowane odpady atomowe, *happening* grupy TOTART z Gdańska i rozmawiali z działaczami ekologicznymi. ■ 45-minutowym filmem Alfonsa Dalmy o Krakowie i polskiej świetności w złotym wieku Jagiellonów rozpoczęła austriacka telewizja dokumentarny cykl zatytułowany *Miejsca narodzin Europy Środkowej (Geburtsstätten Mitteleuropas)*. ■ W miasteczku Eggenburg, kilkadziesiąt kilometrów na północny zachód od Wiednia, można było oglądać w czerwcu wystawę obrazów Marii Markowskiej z Krakowa. Organizatorem był *Werk Janineum* austriackiego *Pax Christi*. Na wystawie zaprezentowano trzy cykle obrazów: studium architektoniczne *Wawel*, subtelne, oszczędne w barwach *Krajobrazy* oraz pełne zadumy *Portrety*. ■ Wieczór Witolda Lutosławskiego w 75-tą rocznicę jego urodzin na festiwalu w Salzburgu był wielkim sukcesem polskiego kompozytora i jego interpretatora Krystiana Zimmermanna, który zaprezentował austriackiej publiczności najnowszy koncert fortepianowy napisany przez Lutosławskiego na zamówienie organizatorów festiwalu. Dzieło to powstało przez 10 lat. ■ *Julius Meinl*, jeden z austriackich koncernów sklepów spożywczych, który ma już swój sklep wolnodewizowy w Budapeszcie, zamierza podobnie otworzyć w Czechosłowacji, a niedługo potem w Polsce.

(amp)

KRONIKA KANADYJSKA

W pierwszym tygodniu lipca br. odbyła się na uniwersytecie w Toronto 7 Międzynarodowa Konferencja Stowarzyszenia Latynistów. Uczestniczyli w niej przybyli z Polski prof. prof. Jerzy Starnawski (Łódź), Stefan Zablocki (Warszawa) i dr Andrzej Kempfli (Warszawa). ■ W lipcu br. zmarł w Toronto w wieku 79 lat Bohdan Ruszczyk, inżynier, profesor politechniki Ryerson. Po zwolnieniu z ochów sowieckich służył w szeregach Armii Polskiej, a po ewakuacji z ZSSR w 9 pułku artylerii lekkiej (w kampanii włoskiej był pilotem-observatorem artylerii). ■ W drugiej połowie lipca br. bawili w Kanadzie Andrzej Gwiazda wraz z żoną. Spotykali się z Polonią na publicznych zebraniach w Toronto, Montrealu i Ottawie. Gwiazda mówił o sytuacji w Polsce. Podczas wizyty w Ottawie był w Izbie Gmin gdzie przeprowadził rozmowy z parlamentarzystami i został przyjęty przez wicepremiera Mazankowskiego. ■ 4 sierpnia br. na scenie teatru w Toronto odbyła się premiera sztuki „Emperor” Ryszarda Kapuścińskiego. Adaptację sceniczną głośnej książki Kapuścińskiego „Cesarz” wykonał dramaturg brytyjski Michał Hastings. ■ Departament Wielokulturowości opublikował pracę Bogdana Czaykowskiego, profesora uniwersytetu British Columbia pt. „Polish Writing in Canada” stanowiącą zwięzły przegląd twórczości polskiej w Kanadzie, która — jak wskazywaliśmy wielokrotnie — ogranicza się do poezji. Czaykowski, omawiając twórczość siedmiu poetów, przedstawionych bardzo dojrze w niedawno opublikowanej dwujęzycznej antologii, cennie cytuje różne strofy poetyckie. ■ Cztery polskie lekarki, które z ponad

50-osobowej grupy nie otrzymały prawa praktyki, mimo zdanych egzaminów nostryfikacyjnych, nie zarzuciły medycyny ale przerzuciły się na nową jej dziedzinę: Naturopathic Medicine. W Toronto istnieje taka wyższa uczelnia, której absolwenci otrzymują tytuł *naturopathic doctor* i prawo praktyki. Pierwsze nowe adeptki „naturalnej medycyny” to pp. Lidia Dobosz, Grażyna Hofner, Danuta Rozbicka i Halina Sroczyńska.

B. H.

CZY
W POLSCE
MOŻE BYĆ LEPIEJ

Rewelacyjna książka polityczna:

CZY W POLSCE MOŻE BYĆ LEPIEJ?

Henryk A. Kowalczyk

Do nabycia w polskich księgarniach
lub proszę wysłać \$14.00 na adres
Henryk A. Kowalczyk
5746 W. 63rd St.
Chicago, Ill. 60638

Hurtowi nabywcy proszę dzwonić (312) 284-7100

KULTURA I JEJ KRĄG

Les amis de Kultura, Paryż, 1988, str. 203.

Pierwsza historia Instytutu Literackiego
i przedstawienie jego dorobku: katalog-album
z okazji wystawy Czterdziestolecia

Zawiera:

- biogramy twórców Instytutu Literackiego, jego czołowych współpracowników i autorów;
- 10 szkiców o historii Instytutu Literackiego, jego działalności wydawniczej, wkładzie do literatury polskiej i światowej, stanowisku wobec najważniejszych problemów życia narodowego, związkach z krajem;
- 120 ilustracji, w tym wiele nieznanych fotografii i dokumentów;
- pełny spis autorów „KULTURY”.

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich oraz
na zamówienie w Instytucie Literackim.

Nakład ograniczony.

Cena 380 F.

Listy do Redakcji

New York, 3 września 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dowiedziałem się ostatnio, że 18 sierpnia br. Telewizja Polska nadała zapowiadany także w prasie codziennej wywiad, jakiego rzekomo udzieliłem dziennikarzom Pegaza.

Otóż chciałem oświadczyć, że od 13 grudnia 1981 roku nie udzieliłem Telewizji Polskiej żadnego wywiadu.

To co pokazano w Pegazie było fragmentem wywiadu dla Telewizji Polonijnej w Chicago, z okazji wystawienia tam w lutym br. mojej sztuki „Polowanie na karaluchy”.

Łączę wyrazy szacunku,

Janusz GŁOWACKI

Uppsala, 20 kwietnia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

Cieszę się, że J.B. podjął zapomnianą sprawę „najboleśniejszej białej plamy”, czyli eksterminacji ludności polskiej w ZSSR w latach trzydziestych (*Kultura* nr 4/1988). Plama to nie pamiętana, nieznaną w Polsce i ta właśnie niepamięć czyni ją szczególnie drastyczną. Pisał co prawda kilka tygodni temu o tej sprawie w *Polityce* Mikołaj Iwanow, czynił to z dużą kompetencją, ale w sposób niedopowiedziany i boję się, że z jego publikacji mało kto zorientuje się, o co właściwie tam chodzi.

Przy okazji chciałem jednak przypomnieć, że o sprawie tej, drążącej mnie od lat, jednak pisałem, co można sprawdzić w *Zeszytach Historycznych* nr 30/1974, gdzie pod pseudonimem Marcin Wyziembło opublikowałem artykuł „Losy Polaków”, tych właśnie, o których ujmuję się J.B. Przypominam o tym nie gwoli autorskiej próżności, ale głównie dlatego, że artykuł ten zawiera pewne sugestie, w jaki sposób można by podjąć badania w Polsce, nawet przy niedostępności archiwów. Niestety, artykuł nie miał rezonansu, widocznie czas jeszcze nie był ku temu. (Zareagował tylko dr Sz. Krakowski, dyr. archiwum Instytutu Yad Vashem w Jeruzolimie, jako że i to archiwum ma materiały, prowadzące na ślady owej zbrodni).

Przy okazji chciałbym sprostować J.B.: akcja przeciwko Polakom w ZSSR zaczęła się wcześniej niż sądzi, bo co najmniej w 1933 roku, a jej szczyt przypada na 1937 rok.

I jeszcze jedna uwaga: stykając się od czasu do czasu z rodzinami ofiar tej akcji, wiem, że ich przynajmniej pamięć nie wygasła. Odczuwają ból zapomnienia przez społeczeństwo. Dobrze byłoby, gdyby zdało ono sobie sprawę z istnienia Polaków na wschód od granicy państwowej. Jest wśród nich wielu wartościowych ludzi, o czym mogłem wielokrotnie się przekonać.

Łączę najlepsze pozdrowienia zarówno dla Pana jak i Autora, którego uczucia podzielam. Będę wdzięczny za opublikowanie tego listu.

Józef LEWANDOWSKI

Sztokholm, 25 sierpnia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze!

Łatwo dziś o alergię na słowo *perestrojka*, ale *Kulturze* udało się w jednym numerze (lipiec/sierpień 1988) dać aż dwie dalekie od szablonu relacje z pierwszej ręki na ten złożony temat, jakże często spływany przez emigracyjną publicystykę. Mam na myśli „Drugą podróż do Moskwy” czechosłowackiego fizyka i emigranta F. Janoucha i „Czas najwyższy”, fascynującą rozmowę Marka Zielińskiego z dominikaninem Ojcem A. Hauke-Ligowskim.

Obie relacje doskonale się uzupełniają, z tą zasadniczą różnicą, że czeski fizyk — jako członek delegacji Międzynarodowej Federacji Helsińskiej d/s Praw Człowieka (IHF) — znalazł się na orbicie oficjalnej: delegacja IHF miała zbadać, czy Moskwa jest właściwym miejscem dla kolejnej międzynarodowej konferencji poświęconej prawom człowieka. Mimo że delegacja nie sformułowała zbiorowych wniosków, autor precyzuje swoją osobistą opinię: „Warunkowa zgoda na zorganizowanie konferencji mogłaby umocnić liberalne i demokratyczne tendencje w przywództwie sowieckim. ... Z tych powodów popieram sowiecką propozycję zorganizowania konferencji w Moskwie”.

Czytelnik przeciera oczy. Bo dyskusja delegacji w Ministerstwie Zdrowia przebiegała np. tak: „Nadużycia psychiatrii? Nigdy w życiu! Jest pan ofiarą prymitywnej propagandy. Artykuły w *Izwiestiach* i w *Komsomolskiej Prawdzie*? Zostały napisane przez nieodpowiedzialnych dziennikarzy. ... Czy Związek Sowiecki zamierza przystąpić z powrotem do Światowego Stowarzyszenia Psychiatrów? Rozważymy to tylko pod warunkiem, że organizacja ta oficjalnie przeprosi nas, pada odpowiedź z ust szefa szpitali psychiatrycznych resortu zdrowia”. Sprawa tzw. psychuszek jest od lat najlepiej udokumentowanym sowieckim przestępstwem przeciw prawom człowieka i jeśli nawet zwolniono z łagrów ludzi, którym świat zawdzięcza zdemaskowanie tego zbrodniczego procederu, samych zbrodniarzy nie postawiono dotychczas przed sądem, a wspomniane przez prof. Janoucha artykuły prasowe zawierały co najwyżej półprawdy na ten temat. Ale profesor — po mnóstwie podobnych obserwacji, które rzetelnie zanotował — popiera sowiecką propozycję.

Miejmy nadzieję, że społeczność międzynarodowa odniesie się do niej bardziej krytycznie.

Łączę wyrazy najwyższego poważania

Tadeusz POLANOWSKI

Kraków, 14 lipca 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czuje się zaskoczony artykułem pt. „Notatki z Polski” (*Kultura*, styczeń/luty 1988, str. 125). Fragment „Notatek” poświęcony sprawie podręcznika szkolnego „Przysposobienie do życia w rodzinie” zawiera stwierdzenia, delikatnie mówiąc, mijające się z prawdą. Poza tym jego forma przez swą bezzmyślność i arogancję (bliska w tonie do oficjalnego języka mass-mediów) zostawia bardzo niemiłe wrażenie czytającemu.

Zdanie, że „księża i rodzice zareagowali oburzeniem głównie z powodu dwóch schematycznych rysunków pozycji przy stosunku płciowym i paru informacji o seksie” jest po prostu nieprawdą; dość sprawdzić, co na ten temat pisała prasa katolicka. Nie wdając się w odtwarzanie argumentów „księży i rodziców” chcę zauważyć, że stanowisko zajmowane przez autorów książki, oddzielających seks od kwestii moralnych, mocno odbiega od podejścia, powiedzmy, tradycyjnego. Przykładem może tu być choćby kwestia

przerwywania ciąży, jednoznacznie piętnowana przez Kościół jako zabójstwo, a traktowana w książce głównie w kategoriach zagrożenia zdrowia partnerów.

Jest w tej sytuacji zrozumiałe, że rodzice (poza „specjalistami”) zareagowali negatywnie na podjęciu jako na kolejną próbę użycia szkoły do ingerencji państwa w rodzinę, mającą na celu osłabienie wpływu wychowawczego rodziny na dzieci, ingerencji nie liczącej się ze społecznymi kosztami (np. niechciane dzieci) całego przedsięwzięcia. Dlatego też budzi zdziwienie, że ten odruch protestu został odczytany przez Autora „Notatek” jako wykorzystanie „godziwego pretekstu, by wylać tłumioną latami nienawiść do szkoły”. Tu nie o „wylewanie nienawiści” chodzi, ale o samoobronę społeczeństwa przed uciskiem ze strony państwa; Autor widać słabo się orientuje w rzeczach, o których pisze.

Problemy wychowania są z pewnością mniej spektakularne od np. akcji ulicznych, nawet jeśli w nich bierze udział, jak głosi Autor, aż 50 osób (przy całym szacunku i podziwie dla odwagi ich uczestników) i dlatego towarzysko nieciekawe, pomimo to pozwolę sobie mieć odmienne niż Autor zdanie na temat tego, co jest dla nas bardziej, a co mniej żywotne.

Składam wyrazy szacunku

Stanisław SĘDZIWIY

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawatu pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

- L.M.G. w Kraju; R.R. w Kraju; E.Rz., RFN; J.D., Hiszpania; K.B. w Kraju; E.K., USA; J.K., Kanada. — Z wierszy nie skorzystamy.*
- Z.T., USA. — Wspomnienie jest błahe. Czy nie przesadza Pani, pisząc o usuwaniu Mickiewicza i Słowackiego z biblioteki w krakowskiej szkole?*
- P.L., Belgia. — Niezależnie od stosunku do muzyki dodekafonicznej trzeba uznać postulowaną przez Pana „równowagę estetyczną: przyjemne-nieprzyjemne” za uproszczone kryterium oceny.*
- M.F., Szwecja. — Wszystkie trzy felietony są mało dowcipne i dość prymitywne.*
- C.B., USA. — Skłębienie, poplątanie, pogmatwanie, zamącenie okropności, obsceniczności, stylizowanej rubasznosci, przez które chwilami tylko prześwituje, i to na bardzo krótko, zamysł tej „opowieści poświęconej dzieciom ery atomowej”, nie pozbawionej zresztą pewnego daru fantazjowania. *Młot na córy Szatana* nie nadaje się do druku (przynajmniej u nas).*
- A.B., Kanada. — Wzruszający obrazek z zaginionego świata jest niezmiernie warty, pozostawia wrażenie rzeczy, która nie stała się niestety opowiadaniem.*
- L.O., Australia. — Prosi Pan o ocenę „wartości artystycznej i merytorycznej” opowiadania *Psia buda*. Wymyślona przez Pana historia jest słabochetna w intencjach, ale najzupełniej, rażąco wręcz nieprawdopodobna. Nie mówiąc już, z czego Pan sam zdaje sobie sprawę, o „trochę zardzewiałej polszczyźnie”.*
- W.Sz. w Kraju. — Nie drukujemy w *Kulturze* utworów scenicznych. W książkach wydajemy je w wyjątkowych wypadkach, a nie należą do nich obie Pana sztuki.*

Z ostatniej chwili

(Materiał do dyskusji)

PROGRAM GOSPODARCZY

1. Równość wszystkich podmiotów gospodarczych w dostępie do rynku zaopatrzenia i zbytu.
2. Równość fiskalna i kredytowa w całej gospodarce.
3. Jeden kurs dolara do złotego i dalsza liberalizacja wymiany.
4. Wolność tworzenia związków zawodowych, w tym NSZZ „Solidarność”.
5. Wolność zakładania, podziału i łączenia stowarzyszeń i organizacji gospodarczych z klauzulą antymonopolową.
6. Gwarancja niezmienności prawa dla rodzimego i obcego kapitału na okres co najmniej 10 lat.
7. Redukcja administracji centralnej do maksimum 10 ministerstw, w tym urzędów o randze resortu.
8. Obejmująca całą gospodarkę swoboda obrotu ziemią i płodami rolnymi.
9. Konstrukcja prawa, pozwalająca na bezrobocie, bankructwo przedsiębiorstw, zamykanie zakładów niszczących środowisko, bez dodatkowych przepisów wykonawczych dająca wolność tego, co nie jest zabronione.
10. Minimum socjalne równe zasiłkowi dla bezrobotnego w wysokości 40 tys. zł miesięcznie w cenach sierpnia 1988.
11. Swoboda handlu zagranicznego.

Ta alternatywa na jednej kartce papieru określa platformę dyskusji opozycji z władzą. Sprawą władzy jest stworzyć polityczne i prawne warunki normalnego funkcjonowania gospodarki. Przedstawione środki-cele są oczywiste dla obu stron. Od władzy wymagają odwagi decyzji, od opozycji niezłomności trwania przy spójnym programie i społecznej kontroli jego realizacji.

Maciej POLESKI

B. T. Łaszewski, Nowy Jork, po raz 22-gi — \$ 103,00	F. 650,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 31-szy i 32-gi à \$ US 100,00 — \$ US 200,00	F.1.260,00
Edward K. Salamowski, St. Petersburg, FL (USA), po raz 6-ty — \$ 20,00	F. 126,00
W 5-tą rocznicę śmierci Władysława Budyń, uczestnika walk o Monte Cassino — zamiast kwiatów na Jego grób — córka Barbara Dec, wnuk Jerzy Budyń oraz prawnuczki Agnieszka i Ewa — przekazują na fundusz wydawniczy <i>Kultury</i> — zawsze bliski Zmarłemu — Krs 400,00	F. 380,00
Bezimiennie z RFN	F. 200,00

DZIEKUJEMY!

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Association pour la Défense des Droits Démocratiques du Peuple Polonais, Lozanna — na rzecz Komisji do Spraw Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”	F. 800,00
M. Biedul-Kornikowicz, Albany, NY (USA) — na wydawnictwa podziemne „Solidarności” — \$ 25,00	F. 157,00
Fraser, Easton U.B.C., Solidarity Study Group, Vancouver, B.C. (Kanada) — na rzecz Komisji do Spraw Interwencji i Pra- worządności NSZZ „Solidarność” — \$ c. 100,00	F. 495,00

WPŁATY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCĄ”

A. i M. Obuchowiczowie, Fairfield, CT (USA) — złożyli w Redakcji <i>Listów do Polaków</i> — \$ 20,00	F. 126,00
Profesor Uniwersytetu Warszawskiego (nadesłał Kristopher J. Gąsior) — \$ US 150,00	F. 945,00

WPŁATY NA FUNDUSZ INTERWENCYJNY

Bezimiennie z Australii — na pomoc dla strajkujących i przesła- dowanych w Kraju	F. 516,43
Krajowy Komitet Pomocy Opozycji Demokratycznej w Polsce przy K.P.A., Bonawentura Migala — Przewodniczący i Jan Jurewicz — Skarbnik — \$ US 5.0000,00	F.31.500,00
Maria i Bohdan Paczowscy, Paryż — na pomoc dla rodzin straj- kujących robotników	F. 500,00
Barbara Spinelli, Paryż — na pomoc dla rodzin strajkujących robotników	F. 500,00
Stowarzyszenie Polskich Kombatanów, Koło nr 13, Winnipeg, MB (Kanada) — na pomoc dla strajkujących górników w Polsce — \$ c. 400,00	F.1.980,00
Stowarzyszenie Przyjaciół „Solidarności” (Friends of Solidarity), Winnipeg, MB (Kanada) — dla represjonowanych w Polsce za udział w strajkach i ich rodzin: \$ c. 408,00 ze zbiórki podczas mszy św. w kościele pod wezwaniem św. Andrzeja Boboli; \$ c. 100,00 — dar od Księży Oblatów i \$ c. 292,00 — suma zebrana ze sprzedaży <i>Biuletynu Słuchawka</i> (nade- ślała Anna Howiecka) — razem: \$ c. 800,00	F.3.960,40

WPLATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ”

Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym z przemocą komunistyczną — DM 10,00	F. 33,50
Maciej Furgo, Wiesbaden (RFN) — na pomoc dla więźniów politycznych w Polsce	F. 101,49
Krasnoludki z Paryża — na potrzeby wrocławskich krasnoludków Bogusław i Zbigniew Mścichowscy, Jersey City, NJ (USA) — zamiast kwiatów na grób Ojca, Mieczysława Mścichowskiego, zmarłego w Polsce, w czerwcu 1988 roku — na wspieranie kultury niezależnej w Polsce — \$ 52,00	F. 328,00
Eugenia Piórkowska, Nowy Jork — w 6-tą rocznicę śmierci Meża, Jerzego Jana Piórkowskiego, zmarłego 1 października 1982 r. — \$ 22,00	F. 139,00
◆	
Bezimiennie z Australii — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego	F. 508,64
Marek Tokar, Boonton, NJ (USA) — na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — \$ 50,00	F. 315,00

W A W E L PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4^e trimestre 1988.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 9216.

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1988			
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA: « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 10,00	\$ A. 60,00	\$ A. 110,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA: Mrs. J. Minkiewicz, Weilingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv. P.O.B. 29443. Tel.: 821311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D. M. Malinowski, P.O. Box 68, Royston, B.C., V0R 2V0. Tel.: (604)338-80-40; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; Polish Alliance Press, Ltd. (« Zwiast-kowiec »), 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8	\$ can. 10,00 DM 14,00	\$ can. 50,00 DM 80,00	\$ can. 98,00 DM 150,00
NIEMCY: St. Miklcluk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Bærum Verk. Tel.: 51 20 55.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 280,00	K.S. 500,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; Halina Kosciuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, Mi 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 08053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia « Nowego Dziennika », 21, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 7,50	\$ US 40,00	\$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, 00163 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 440 — JAKUB KARPIŃSKI

TATERNICTWO NIZINNE

Autor czterech książek opublikowanych w „Kulturze” (pod nazwiskiem MAREK TARNIEWSKI) tym razem opisuje wydarzenia z powojennej historii Polski z perspektywy osobistej. Odpowiadając na pytanie, jak doszło do „sprawy taterników”, Jakub Karpiński opisuje szkołę w latach stalinowskich, październik 1956, Uniwersytet Warszawski, marzec 1968.
Str. 128.

Cena F. 55,00.



TOM 442 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY PIĄTY

zawiera opracowania: S.N.: *Anielstwo i imperializm. Rozmowa z prof. Danielem Beauvois*; Jacek Trznadel: *Powstanie Warszawskie. Hamlet w historii*; Emanuel Halicz: *Aleksander II — Michał Gorbaczow*; S.W.R.: *Najboleśniejsza biała plama — uzupełnienie*; Aleksander Hrynkiwicz: *Dziennik adiutanta Marszałka Józefa Piłsudskiego*; E. Żagiell: *Gawędy o Polakach na Kowieńszczyźnie*; *Rozmowa z Mieczysławem Rakowskim*; Zbigniew Błażyński: *Dwudziestolecie zmagañ*; Piotr Łossowski: *O decyzji opuszczenia Wilna w 1939 roku*; Jerzy Jastrzębowski: *Paradoks polskiego pacyfizmu*. Oraz działy: OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.
Str. 240.

Cena F. 80,00.



TOM 443 —

WITOLD DOWOYNA SYLWESTROWICZ

LISTY NIEWYŚLANE

Dziennik z okresu wojny: wrzesień 1939 - kwiecień 1945, napisany przez oficera lotnictwa, który brał udział w kampanii wrześniowej oraz w działaniach bojowych na terenie Francji i Anglii. Od wybuchu wojny do jej zakończenia prowadził *Dziennik* w formie nigdy nie wysłanych listów do żony.

Str. 160.

Cena F. 70,00.